

Dziecko salonu



JANUSZ KORCZAK

Dziecko salonu

PUDEL

Śniło mi się, że jestem pudlem.

Miałem sierść wygoloną. Było mi cokolwiek chłodno w tym stroju, ale widziałem, że mój pan jest ze mnie zadowolony, więc wesoło machałem ogonem i patrzałem mu w oczy.

Na szyi miałem ładną, błyszczącą, cokolwiek ciasną obrozę — i znak, że jestem oplacony, że mam właściciela, który mnie karmi i poi, że należę do klasy uprzywilejowanej.

Było mi dobrze na świecie. Pchły mnie nie gryzły: codziennie mnie czesano. Ani kłopotów, ani obowiązków. Jednakże musiałem być posłuszny i wierny, a przy tym w miarę roztropny, gdyż żąda się tego od każdego psa zwyczajnego, a cóż dopiero — od pudła.

Mój pan nie prowadził mnie na smyczy podczas wspólnych przechadzek. Mogłem wyprzedzić go o kilka kroków, zboczyć lub cofnąć się i biec za nim; mogłem zatrzymać się dla obwąchania ściany domu lub latarni; mogłem pędzić za dorożką i czekać na konie, oglądając się za przechodzącymi suczkami lub zaglądać do bram i sklepów, obok których przechodziliśmy.

Od czasu do czasu mój pan szukał mnie oczami, a wówczas nadbiegałem pośpieszenie, okazując mu obłudnie wielkie zadowolenie, aby nie bronił mi owych niewinnych rozrywek; stanowiły one jedyną rozmaitość w nudnej przechadzce po ludnych ulicach miasta, gdzie co krok musiałem zρέcznie wymijać przechodniów, by nie być potrąconym lub nadeptanym. Już to ludzie strasznie są nieuważni.

Wprawdzie ten i ów zwracał na mnie uwagę, cmoknął ustami, obejrzał się za mną lub pogłaskał. A ja, stosownie do wrażenia, jakie wywierał na mnie przygodny znajomy, przebiegałem obok obojętnie, machnąłem mu w podzięce ogonem, a czasem cichutko warknąłem. Warczałem cicho, by nie słyszał ani on, ani, co najglówniejsze, mój pan. Bo mój pan był niezmiernie wrażliwy na każdy przejaw złego wychowania mej pudlej osoby.

Zdarzało się jednak i tak, że ktoś z przechodniów silniej mnie zajął i od razu zyskiwał moją sympatię. Wówczas biegłem za nim kilkanaście kroków, ale wnet powracałem do swego pana, łaszcząc się i patrząc mu w oczy, by nie wzbudzić w nim podejrzeń co do mej psiej wierności i wdzięczności, i nie narazić się na gniew, który był mi niemiły.

Przede wszystkim ceniłem spokój i pogodę.

Sny bywają bajecznie nielogiczne. Już sam fakt, że człowiekowi śni się, że jest pudlem, wydaje mi się dziwny. Jednakże druga część snu była jeszcze mniej zrozumiała.

Oto razu pewnego jeden z przechodniów spojrział na mnie i miast rzec: „jaki to ładny piesek” — powiedział poważnie, z głębokim smutkiem w oczach:

— Ten pies ma kaganiec na duszy.

Jest to coś przekraczającego wszelkie granice logiki.

Po pierwsze, nigdy żadnemu człowiekowi nie przyszłoby do głowy zastanawiać się nad duchową istotą pudła lub boleć nad jego upodleniem; po drugie, jeśli się coś podobnego zdarzyło, pudel nie zrozumiałby przecież jego ludzkiej mowy.

A ja nie tylko rozumiałem znaczenie przenośni, ale i odczułem ją głęboko.

W jednej chwili prysło całe moje zadowolenie z życia; to co uważałem dotychczas za naturalne i zupełnie słuszne, wydało mi się nieznośnym i wstrętnym. Zmieniłem się nie do poznania. Posmutniałem, stałem się opryskliwym i nieposłusznym; straciłem apetyt i sen. Nie smakowało mi jedzenie wykwentne, nie odczuwałem zadowolenia, gdym rozciągał się

na spoczynek na puszystym, ciepłym dywanie przy piecu; nie cieszyły mnie pieszczoty mego pana i jego rodziny. Nie chciałem wykonywać tak łatwych dla mnie, uczonego pudła, sztuczek, jakimi są: chodzenie na dwóch łapach, aportowanie lub trzymanie na własnym nosie cukru, gdy ktoś z obecnych grozi mi palcem, powtarzając: „nie rusz, nie ru-u-sz”. Uważałem, rzecz śmieszna, że to mnie poniża — i unikałem ludzi.

Stosunki moje z domem mego dobroczyńcy z dnia na dzień się pogarszały. Aż doszło do tego, że podczas wymierzanej mi kary ugryzłem pana mego w rękę.

Był to wypadek tak niezwykle, tak nieliczący z moim dotychczasowym charakterem, tak niezrozumiały wobec starannego wychowania, które otrzymałem, tak wreszcie potworny, jeśli zważymy cały ciężar jego dla mnie dobrodziejstw — że postanowiono mnie bez zwłoki zastrzelić, a jego natychmiast odwieźć pod obserwację do doktora Palmirskiego¹.

Pan mój zdjął ze ściany dubeltówkę, wycelował i wystrzelił.

Zdaje mi się, że nie trafił...

I obudziłem się.

PIERWSZY DZIEŃ W GNIEŹDZIE RODZINNYM

I

Moja rozmowa ze Stefcia.

Stefcia liczy siedemnastą wiosnę życia.

— O tak, rozumie się. To jest wielki poeta: pisze bardzo ładne wierszyki. Choć z drugiej znów strony...

— Co z drugiej strony?

— Nic z drugiej strony. Ja tylko tak sobie powiedziałem. Pani ma słuszość.

— Mam słuszość? Kiedy pan wcale nie wie, o czym ja mówię.

— Ależ wiem. Pani mówi o wielkim poecie.

— A czy on żyje?

— Rozumie się, że żyje. Dlaczego by wielki poeta nie miał żyć?

— No, to niech pan powie, jak on się nazywa.

(Jesteś, moja mała, taka śliczna, że wszyscy wielcy poeci całego świata tyle mnie obchodzą, co zeszłoroczna zima).

— No, widzi pan. Czy to tak ładnie? Nie słucha pan, daje pan odpowiedzi ni przypiął, ni przyłatał. I w ogóle tak, jakby mi pan łaskę robił.

— A panna Stefcia gniewa się na mnie?

— Rozumie się, że się gniewam.

— I panna Stefcia nie chce już ze mną rozmawiać?

— Rozumie się, że nie.

— No, to niech panna Stefcia weźmie jeszcze kawałek mięsa.

— Nie chcę; dziękuję bardzo... Doprawdy, co się z panem zrobiło? Taki pan jakiś dziwny.

— A pani nie pamięta, że ja zawsze byłem taki jakiś dziwny?

— Ale dziś pan taki jakiś zamyślony, zamiast się cieszyć.

— A dlaczego to panna Stefcia każe mi się cieszyć?

— Niby pan nie wie. Przecież to pana siostry zaręczyny.

— Ale przecież moja siostra nie dziś się zaręczyła.

— Ale to są oficjalne zaręczyny.

— No, kiedy to są oficjalne zaręczyny, to niech panna Stefcia weźmie jeszcze łyżeczkę kompotu.

— Niech mnie pan przestanie nazywać ciągle panną Stefcia.

— A dlaczego ja nie mam nazywać panny Stefci panną Stefcia?

— Bo nie mam dwunastu lat.

— A ile panna Stefcia ma lat?

— Ile mam, to mam.

¹Palmirski, Władysław (1861–1940) — warszawski lekarz bakteriolog, zajmował się między innymi szczepieniami przeciw wściekliźnie. [przypis edytorski]

— Więc jakże ja mam nazywać pannę Stefcią, kiedy panna Stefcia, ile ma, to ma, lat.
 — Proszę mnie wcale nie nazywać.
 (Czuję ogromne zadowolenie z gadania od rzeczy. Żal mi dzieciaka, ale nie mogę inaczej. Jaka to już kobieta).
 — Naprawdę, taka jestem zła na pana. Tyle czasu nie widzieliśmy się. Tyle pan podróżował, tyle pan widział.
 — To ja mam opowiedzieć wszystko, co widziałem?
 — Myślę, że to byłoby ciekawsze niż takie bajanie.
 — Kiedy ja nie mogę wszystkiego opowiedzieć.
 — Ciekawa jestem bardzo, dlaczego?
 — Boby się pani mama na mnie gniewała.
 — O, niech się pan nie obawia.
 — To mama by się nie gniewała?
 — Panu się ciągle zdaje, że jestem dzieckiem. A pan to niby taki dojrzały człowiek.
 — Rozumie się, że jestem dojrzały.
 — Ciekawam bardzo, dlaczego?
 — No, bo ja mam już wąsy, a panna Stefcia nie ma jeszcze wąsów.
 — To chyba.
 — Bo ja palę papierosy, a panna Stefcia nie pali papierosów.
 — Jakbym chciała, tobym paliła.
 — A panna Stefcia nie chce?
 — Nie chcę.
 — No, to niech panna Stefcia weźmie bardzo dużo lodów. A potem będziemy pili wino szampańskie.
 — Ale pan tyle już pił.
 — Muszę pić, bo to są przecież oficjalne zaręczyny siostry.
 — A pan powie toast?
 — Pan nie powie toastu.
 — A jak ja pana poproszę?
 — To także nie powiem.
 — A jak ja pana bardzo poproszę?
 — To panna Stefcia umie bardzo prosić? A jak to się bardzo prosi?
 — Jaki pan niedobry.
 (Rozkosznie zepsuty dzieciak. Tak mało wie, a tak wiele przeczuwa).
 — Czy pani umie flirtować?
 — Niech pan nie nalewa, bo nie będę piła.
 — To pani tak kocha Jadzię; to pani tak dobrze życzy mojej siostrze? Bardzo ładnie...
 O, widzi pani, mama patrzy na panią i kiwa głową. Mama pozwala.
 — Nie potrzebuję, żeby mama pozwalała albo nie pozwalała. Jak zechcę, to sama będę piła.
 — A pani bardzo mamę kocha?
 — O, widzi pan. Niech pan teraz nic nie mówi.
 (Pierwszy toast).
 — A teraz na pana kolej.
 — Ale proszę wypić cały kieliszek.
 — A powie pan toast?... Doprawdy, że to nieładnie: wszyscy wiedzą, że pan jest poeta.
 — A czy ja także jestem wielki poeta?
 — Nie, mały, uparty i nieznośny. Niech pan nie dolewa... Cicho.
 (Drugi toast: nasz lekarz fabryczny).
 — Czego się pan śmieje?
 — Bo bardzo lubię pannę Stefcią i tak się z tego cieszę.
 — Jest z czego.
 — I tak mi okrutnie wesoło, że aż strach.
 — Bo mnie wcale.
 — To panna Stefcia smutna? Biedna panna Stefcia.
 — Bardzo proszę. Mówiłam, że pan za wiele pije.
 (Trzeci toast).

— O, widzi pani — teraz za gospodarzy. To zupełnie co innego. Teraz trzeba już wypić calutki kieliszek.

— Więc pan nic nie powie? Bo zaraz wstaną.

— Kiedy teraz już nie mam o czym. Jak pani bardzo chce, to powiem taki toast, żeby się cały świat mył naszymi mydlami i perfumował naszymi perfumami. To pani tatuś i mój tatuś zarobią bardzo dużo pieniędzy. Dobrze?

— Fe! jaki pan nieznośny.

— No widzi pani: fe!

— Niech się pan odsunie. Patrzą na nas.

— A gdyby nie patrzyli?...

Wstajemy.

Ogólne wrażenie:

Ptaszyno mała, jesteś urocza ze swą wstążeczką białą w czarnych włosach i swymi błękitnymi oczętami, patrzącymi z niezdrowym zaciekawieniem na świat przeczuwany; z policzkami zarumienionymi drganiem nieznanym żądz.

Całowałbym, całował, całował — bez opamiętania.

II

Mama Stefci:

— Cóż, panie Januszu? Jakże moja córka? Gąsiątko jeszcze? Nic nie spowaźniała... Obserwowałam was (was — z naciskiem). Zdaje mi się, że pan pokpiwał z niej trochę. Straszny to dzieciak. Pan jej rok cały nie widział?

— Panna Stefania bardzo spowaźniała.

— O, bo pan ogromnie się zmienił. Nic dziwnego: zagranica szalenie kształci. Ja wszystko zawdzięczam zagranicy.

— ?

— Cóż pan zamierza dalej czynić?

— Jak dotychczas, nie wiem jeszcze.

— Burzy się pan? Tak, ja rozumiem młodych.

— ?

— Długo pan bawił w Wiedniu?

— Tydzień.

— Cudowne miasto. Zwiedzał pan galerie, muzea? Ile razy przejeżdżam, zawsze muszę się zatrzymać. Ale pan pędził dalej. Rozumiem młodych.

— ?

— Ach, pan bawił dłuższy czas w Krakowie... Poznał pan tak zwaną Młodą Polskę².

— Niekoniecznie.

— Prawda, pan taki nietowarzystki... Czy pan sądzi, że z tego się coś wykluje?

— Owszem, bardzo być może.

— Ale nie Mickiewicz i nie Słowacki... Jakże Warszawa? — Czy pan ma zamiar pozostać już w kraju?

— W tej chwili sam nie wiem jeszcze.

— Tak. Po zagranicy trudno się przyzwyczaić do Warszawy. Choć z drugiej znów strony, ciągnie rodzina, stosunki. Jak to mówi przysłowie: wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej... Sądzę, że pan znów będzie u nas częstym gościem...

Poczekaj, babo — ze swoim: „rozumiem młodych”; — będziesz siedziała w powieści, i to na honorowym miejscu. Tylko twego starego trzeba zmienić.

III

— Cóż, poeto, myśleliśmy, że nam palniesz mówkę? Ja, stary, musiałem gadać za was, młodych. I to, panie, młodzież — młodzież z dyplomami, uniwersytetami, zagranicami, lichami. Wstyd!

(„Jowialnie”).

— Cóż robić? Takie teraz czasy.

²Młoda Polska — tu w znaczeniu: krakowska bohema artystyczna, cyganeria krakowska. [przypis edytorski]

— Czasy, nie czasy, tylko młodzież diabła warta. Nie czasy robią ludzi, ale ludzie — czasy... Cóż? nawłóczyliśmy się, a teraz znowu do orki? Ja tam pana zawsze broniłem. Cóż to złego, że sobie młody zrobił wakacje? Niech papa trząśnie workiem.

Klepie mnie po ramieniu.

— No co? Nie pogadasz pan ze starym przyjacielem? Jakoś głupio w rodzinie po rocznym fiu! fiu!... Ha, ha, ha, ha — co?

— Myli się pan. Ciepło rodzinne bardzo mile mnie grzeje.

— A grzeje, grzeje... Oj! filut z pana. Wiem ja coś o tym. No, chodźmy na cygarko. I on rozumie młodych.

IV

Pan doktor:

— Cóż, kolego, jako syn marnotrawny powracacie na łono medycyny?

— Być może.

— Nie — może, a musi i powinno.

— Chyba na brak lekarzy pan doktor nie ma powodu się żalić.

(Myśli sobie: poczekaj, smarkaczu, dam ja ci za to).

— Ha, powołanych dużo, ale wybranych mało. Ale po zapale, z jakim mimo protestów ojca wziął się kolega do naszej biednej medycyny — należałoby się spodziewać, że nasza biedna medycyna zyska w koledze jeśli nie fundament, to choć filar.

(I pojednawczo).

— Nie macie pojęcia, co tu teraz chorób. Bronchitis³, pneumonia⁴, tyfus⁵. Aż strach pomyśleć... Tak. Poezja i medycyna nie dadzą się połączyć żadną miarą. Tu trzeba pracować, pracować i jeszcze raz pracować. Nie ma czasu na marzenia. Zobaczycie sami: niewdzięczny zawód.

(Wwąchuje się w dym cygara — cynicznie wytworny).

V

— Bójcie się Boga. Panny w salonie, a młodzież i kochany gospodarz junior siedzą tu sobie w najlepsze... No, powiedz no pan kilka świeżych zagranicznych anegdotek — i jazda do panien. No, gadaj pan... prędeż.

— Zaraz. Muszę sobie przypomnieć.

— Otóż to. Takich rzeczy nie wolno zapominać. Ja w pańskim wieku miałem do tego specjalny notesik. Nie radzę panu, co prawda, bo po ślubie, lichy wie jak — dostał się do rąk mojej żony. Miałem ja za swoje. No, jazda, młodzi. Panie mecenasie, panowie, siadamy? — Jeżeli dziś przegram, to, jak Boga kocham, kart już do rąk nie wezmę. Wczoraj dostałem tak w główkę, że proszę siadać. Trzydzieści rubli bez małych kopiejek diabli wzięli. Cały ten tydzień. Panowie, prędeż, bo czasu szkoda.

VI

— A ty, smyku, dlaczego jeszcze nie śpisz?

— Prosiłam Jadzi, żeby poprosiła mamy, i mama mi pozwoliła. Jutro i tak nie pójdę na pensję.

— A pałek masz dużo?

— A jakże — pałek. Żeby nie ta Żydówka Zilberhornówna, tobym była pierwsza. Ale mama wzięła mi znów Szwabkę, i ona zjedzie ze swojego pierwszego miejsca... Słuchaj, Janek: prawda, że ty znowu wstąpisz na uniwersytet? Tatuś zapłacił wpis, bo pisali w kurierze, że drugorocznik muszą zaraz płacić, bo ich wyrzucają inaczej.

— A ty skąd wiesz o tym wszystkim?

— Bo ja bym okropnie chciała, żebyś znowu włożył mundur. Tak ci paskudnie w tym ubraniu.

Nie chce mi się już pisać.

³bronchitis (z gr.) — bronchit, zapalenie oskrzeli. [przypis edytorski]

⁴pneumonia (z łac.) — zapalenie płuc. [przypis edytorski]

⁵tyfus — choroba zakaźna znana pod kilkoma postaciami: brzusznym, plamistym, powrotnym. [przypis edytorski]

Po rocznym oddaleniu wszystko żywiej wpada mi w oczy.
Jacy oni niesmaczni i obcy.
Nie wiem jeszcze, co to ma być, ale chciałbym ich tak trochę pokąsać, wydrwić,
odebrać im tę pewność siebie i strącić uśmiech bezmyślnego zadowolenia.
A naprawdę chwilami tęskniłem za nimi — tam.
Znów ten sam pokój, ten mój pokój.
Ciekaw jestem, kto zacz ów pan narzeczony.
Chciałbym, żeby Jadzi było dobrze.
A ja? — Znów? — A potem, w nagrodę — Stefa.
Tfu, tfu, tfu! Spać mi się chce. Znużyła mnie podróż i — to tam wszystko.

DUSZA MOJA ZIEWA

Ojciec miał dziś ze mną „poważną” rozmowę. Wszedł. Mina stanowcza, ale jeszcze niegroźna. Usiadł na krześle.

Nuda, Mieszczanin, Ojciec

Usiadłem na krześle na oklep, wsparłem ręce na poręczy, na rękach oparłem brodę — i czekam.

Milczenie.

Wydobynam z bocznej kieszeni papierośnicę, powoli ją otwieram; wydaję i zapalam papierosa.

Zagajenie:

— Wpis zapłaciłem.

— Szkoda wielka.

Długa chwila milczenia.

— Co masz zamiar robić?

— Nie wiem jeszcze...

— Za granicę już nie pojedziesz.

— I nie pragnę wcale.

Jeszcze dłuższa chwila milczenia.

— Masz lat dwadzieścia trzy...

— I miesięcy pięć.

— Ja w twoim wieku...

— Od siedmiu lat sam na siebie pracowałem — wiem o tym.

Długie, ponure milczenie.

— Jesteś... pasożytem.

— I gorzej jeszcze. Pasożyt tylko się karmi na koszt swego gospodarza, a ja się jeszcze ubieram, jeżdżę za granicę i szukam rozrywek...

— Widzę, że nieźle spędziłeś ten roczek.

— Niekoniecznie dobrze.

— Bo nie rozjaśniło ci się w głowie za tą granicą.

— Widocznie za długo żyłem w ciemności.

— Aha — filozofia.

— Nie lubię, gdy kto używa wyrazów, których nie rozumie.

Pauza. Burza wisi w powietrzu.

Ziewam.

— Wiesz: wolałbym cię widzieć ostatnim łajdakiem niż takim niezdecydowanym błaznem.

— Tylko marny i nieuczciwy lekarz woli ciężkie i nieuleczalne cierpienie, byle mu to ułatwiło postawienie diagnozy.

Cisza.

— Widzę, że ci się zupełnie przewróciło w głowie...

— Bez najmniejszego wątpienia.

— Z lenistwa, z braku obowiązku, z dobrego bytu.

— Ojciec ma zupełną słuszność...

— Powiedz mi, czego ty chcesz?

— Chcę wiedzieć przede wszystkim, czego ojciec chce ode mnie.

— Chcę, żebyś był człowiekiem.

— Po co?

Ojciec wstaje z krzesła i chodzi po pokoju.

— Wstyd mi przynosisz.

— Wobec kogo?

— Wobec wszystkich.

— A kto są ci wszyscy?

— Ci wszyscy to są ludzie.

— A co znaczy: być człowiekiem?

Ojciec staje przy oknie i bębni w szybę.

— Bo jeżeli być człowiekiem znaczy zarabiać ileś tysięcy rubli rocznie, ożenić się, mieć dzieci, wychować dzieci na pasożytów, a gdy te dzieci pytają w swoim czasie, co znaczy być człowiekiem — zamiast odpowiedzi bębnić w szybę — to takie człowieczeństwo ani trochę mnie nie pociąga.

— A czym jest twoje człowieczeństwo?

— Nie wiem i szukam.

— Aha. Chcesz być mądrzejszy od milionów ludzi?

— Czy jest w tym coś złego? Gdyby ktoś jeden nie chciał być mądrzejszy od milionów innych i nie zaczął wyrabiać mydła z gliceryną, toby nie istniały wcale na świecie glicerynowe mydła.

— ...Te mydła glicerynowe dają ci jeść i pić; mydła glicerynowe ciebie wychowały — rozumiesz?!...

— Mydła wychowały mnie widocznie źle, kiedy ojciec jest ze mnie niezadowolony.

Atmosfera ciężka, jak paka mydeł.

— Tak dalej nie będzie!

— I ja tego pragnę...

— Chciałeś być doktorem, pozwoliłem ci być doktorem; chciałeś być nagle filozofem, pozwoliłem ci być filozofem; chciałeś być zagranicznym chemikiem, wysłałem cię, dokąd chciałeś. Ale jeżeli chcesz być nieukiem i błaznem, to bądź sobie bez mojej pomocy.

— Ja właśnie nie chcę być błaznem.

— Ale nim jesteś!

— Ależ zapewniam ojca, że ojciec się myli. Doprawdy, ojciec się myli...

*La bonne papa*⁶ trzasnęła drzwiami i wyszła.

Ojciec przemawiał do rozumu, matka — do serca.

— Swoim postępowaniem zabijasz ojca.

Nie odpowiadam.

— Czy ty naprawdę straciłeś dla nas zupełnie serce? Cośmy ci złego zrobili? Miałeś wszystko, czegoś chciał. Przecież niczego ci nie brakowało. Powiedz: może naprawdę — może my nie wiemy. Przecież widzisz, że się staramy, żeby wam dogodzić; przecież my nic innego nie robimy, tylko o was myślimy. Ojciec chciał, żebyś był chemikiem. Nie, to nie. Bądź sobie doktorem... Słuchaj, Janku — jeżeli ci ojciec powiedział coś takiego, to nie powinienes mu brać za złe. Zawsze mężczyzna jest bardziej prędko. Skąd ty możesz wiedzieć, jakie on ma kłopoty i zmartwienia? Ty niby taki psycholog, powinienes to rozumieć... On nie powie, bo tacy ludzie, co wszystko zawdzięczają własnej pracy, są skryci i zamknięci w sobie. Ty tego nie możesz rozumieć, boś ty się wychował w zupełnie innych warunkach. Ty wszystko bierzesz po swojemu... Może ty naprawdę więcej wiesz i więcej umiesz. Ojciec nie miał czasu ani tyle czytać, ani tyle pracować nad sobą. Pomyśl tylko, jak on musi cierpieć, jak widzi, że ty mu się marnujesz... Straciłeś rok — no dobrze. Ale teraz powinienes znowu wziąć się do pracy.

Chwila milczenia.

— I żebyś był jakiś niezdolny albo chorowity — no, to trudno. Ale tak: wiesz, jak to ludzie umieją wszystko, szczególnie, jak się komu lepiej powodzi. Tacy zaraz kontenci. A kto dziecku lepiej życzy niż rodzice?

Pauza.

⁶*La bonne papa* (z fr. *le bon papa*: dobry tata) — dobra tata. [przypis edytorski]

— Ja nie rozumiem, skąd nagle takie zniechęcenie... Ja nie chcę, żebyś od razu coś postanowił. Teraz zajęci jesteśmy Jadzią. Pomyśl sobie jeszcze; tylko cię proszę: oszczędzaj ojca. Bo powinieneś rozumieć, że on nie tylko do ciebie należy i jakby mu się, broń Boże, coś przez ciebie stało, to jesteś przed nami wszystkimi odpowiedzialny.

Pocałunek serdeczny, macierzyński, i znów wir myśli.

Przypomniał mi się wiersz, bardzo gdzieś dawno czytany:

Leży lew w klatce. Za chwilę rozpocznie się przedstawienie. W uszach króla pustyni brzmiały poszumy jego wolnej ojczyzny. Oto wytaczają klatkę na arenę. Do klatki wchodzi pogromca. Lew wita go rykiem, opiera się jego rozkazom — pełen nienawiści i buntu. Ale pogromca błyska w powietrzu stalowymi końcami kańczuga. Chwilę krótką patrzy sobie groźnie w oczy. Lew cofa się w głąb klatki, jeży grzywę, groźnie przykuca — i na dane hasło...

Hop! i przez kijek przeskoczył.

Czy istnieją specjalne mikroby, które zabijają wolę, a legną się w atmosferze niewoli?

Nie koniec jeszcze.

Rozmowa z panem Andrzejem, mecenasem, Jadwigi panny narzeczonym, rodzicom moich przyszłym zięciem, a moim niezadługo szwagrem.

Wyciągnął mnie na „kawalerski” kieliszek.

— Panie Janie, pragnąłbym z panem pomówić, ale się obawiam, aby pan nie sądził, że czynię to z polecenia lub za namową rodziców... Nie... Ja mam dla was wszystkich bardzo wiele życzliwości i przykro mi, że bez ważnego powodu dręczycie się wzajemnie.

— ?

— Idzie o to, że — o ile się nie mylę — pan chce się poświęcić dziennikarstwu... Panie Janie, co to jest u nas dziennikarstwo?

— Są tacy, którzy zarabiają po kilka tysięcy rubli rocznie.

— No tak, ale to są wyjątki.

— Czemu ja właśnie nie mam być takim wyjątkiem?

— Pan jest za wielkim idealistą. To przeszkadza.

— Nie tylko w dziennikarstwie.

— I przy tym pan się w ten sposób wykoleja.

— Proszę pana, o ile ani myślę zostać dziennikarzem, o tyle całą duszą pragnę się wykoleić.

Ogromne zdziwienie.

Ząb mnie boli; jestem wściekły.

Przyszedł mi na myśl początek powieści: taki miły, dobrze wychowany, posłuszny i wierny pudel — budzi się nagle z upodlenia i gryzie...

Doznaję wrażenia po tych dwóch dniach przeżytych na łonie rodziny — jakbym je przespał w kurzu i spiekocie; — aż oczy palą, w gardle zasycha i jakoś brudno w całej istocie.

Iść w ślady dziadka i w łeb sobie palnąć? Gotowi pomyśleć, że się zakochał nie-szczęśliwie w szwajcarskiej krowie...

Ilekrót wpadnie mi w rękę nudna powieść, rzucam ją bez skrupułów w piec albo na piec i nie czytam dalej. A przecież tak nudnej książki, jak moje życie — nie spotkałem jeszcze. Takie rozpaczliwe ubóstwo treści.

I czytam to życie, jak się czyta arkusz powieści znalezionej w szalecie, pozostawionej tam przez poprzednika. Nie znam autora ani tytułu, ani początku; bohaterowie mnie nie zajmują, a końca się nigdy nie dowiem.

I mdli, oddechu brak — i dusza ziewa.

Zapewne przez tydzień będzie dyplomatyczna cisza.

BEZ NADZIEI

Za dawnych czasów ojciec przeklinał marnotrawnego syna, nakazywał hajdukowi⁷ wylżyć mu pięćdziesiąt batów i wyrzucił na cztery wiatry. A dzisiaj mniej poetycznie — tylko z nim nie rozmawia, zamyka worek — i na tym koniec.

Bo też i syn marnotrawny nie bywa dziś „skończonym łajdakiem”, tylko „niezdecydowanym błaznem”. To nawet było wcale dowcipnie powiedziane...

Wstałem o godzinie jedenastej. Ojciec na mieście, mała na pensji, mama z Jadzią w magazynie konfekcji (wstrętny wyraz!).

Chodziłem po mieszkaniu.

Ani jednego sprzętu z tradycją, ani jednego przedmiotu ze związanym z nim jasnym wspomnieniem. Takie sobie pyszałkowe mieszkanie kapitalisty, fabrykanta, który powoli się dorabiał, kupował, co w danej chwili było modne, a stare meble zastępował nowymi.

Na meblach stołowego pokoju uczyłem się słówek francuskich z mademoiselle Jeanne.

Duszno mi w tym obszernym, codziennie przewietrzanym i zaopatrzonym w wentylatory ulepszone, mieszkaniu.

Taka nuda beznadziejna, jak pukanie palcem w szybę...

Byłem u Adeli. Ani słowa o niedawnej przeszłości. Ani chwili zakłopotania.

Ucharakteryzowała się na szanującą się żonę statecznego męża.

„Co robiłem przez ten rok? Czy pisałem?”

— Nic nie pisałem.

Uśmiechnęła się. Uśmiech pogardliwy miał oznaczać, że spodziewała się tej odpowiedzi. Naiwną była: wierzyła, że powrócę w promieniach sławy, aby ją unieść za sobą w podniebia. Rozumie dziś już, że jestem tylko rozkapryszonym synkiem bogatego papiusa, a nie orłem.

Przyszedł mąż, całował się ze mną, pytał, dlaczego w początkach tylko przysyłałem mu takie dowcipne pocztówki, a potem przestałem. Pokazywał albumy z pocztówkami.

— Prawda, że ładny zbiorek?

— Bardzo ładny.

Prosił, żebym został na obiedzie. Wołałem, niż wracać do domu.

Nuda beznadziejna, jak album z dowcipnymi pocztówkami.

Chodzę po ulicy.

Ludzie snują się. Każdy z nich ma jakiś cel urojony, złudzenie celu. Żaden nie zdaje sobie jasno sprawy, że on jest zupełnie niepotrzebny.

Do Adeli nie pójde więcej. Niech będzie cnotliwa.

Spotkałem Władka i spiesznie go pożegnałem. Ma tyle spraw do załatwienia, tyle ważnych i różnolitych spraw — tak zajęty, tak pracuje.

Bajecznie się to wszystko trzyma kupy...

Sklep obok sklepu. Każdy sklep ma swego właściciela, a każdy właściciel ma swoich dostawców i odbiorców, subiektów, kasjerki, służących i praktykantów.

Właściciel sklepu albo sam wyrabia towary, albo je sprowadza. W każdym z tych wypadków stara się jak najtaniej kupić i jak najdrożej sprzedać. Różnica — to dochód brutto. Z owego dochodu płaci komorne posiadaczowi placu i domu, opłaca ogłoszenia, patent, gaz, personel.

Wśród personelu są ludzie, którzy przez kilkadziesiąt często lat po trzysta kilkadziesiąt razy do roku przychodzą do sklepu o ósmej rano i siedzą wieczór do ósmej lub dłużej — by drożej sprzedać tańszy towar pryncypała.

A później, aż do udania się na spoczynek, kształcą się, szukają tanich rozrywek, Kochają się, marzą, żenią, płodzą dzieci. Czasem uwodzą szwaczki albo chorują na choroby weneryczne i podczas pauzy obiadowej biegną do lekarza.

I ludzi, którzy wiodą taki lub podobny byt, zwany ironicznie życiem, istnieją miliony.

(W tramwaju widziałem konduktora, który mi dawał „książeczki” od biletów, gdy był we wstępnej klasie. Dwadzieścia lat jest konduktorem tramwajowym. To przecież straszne!)

A pan pryncypał?

⁷hajduk — służący. [przypis edytorski]

Ba, jego synowie kształcą się w domu lub za granicą, chorują na zmodernizowany bajronizm⁸, a żona czytuje powieści z „Czytelni dla kobiet” lub inne. Pan pryncypał chodzi z żoną na koncerty do Filharmonii, na kolacje, do teatrów. To dochód — netto.

Przechodzę koło naszej „firmy”. Szyby błyszczą, gaz się pali, a w oknie: mydła, perfumy, eliksiry, pomady, szczotki do zębów. Na pierwszym miejscu własne wyroby, dalej — składy główne, jeszcze dalej — obce „wydawnictwa”.

To jest handel!...

Byłem w „Tygodniku”⁹ z ohydnie głupią nowelą:

Stary służący z prosektorium ma syna, który kształci się na fryzjera. Wieczorem młody fryzjer wprawia się w czesanie na trupach. Sadza je na fotelu, nagie, blade i nieruchome, zwilża skłębione włosy, fiksatuaruje¹⁰ i czesząc, opowiada nowiny z miasta — dowcipy — zupełnie jak żywym — żeby się wprawić. Jest nastrój.

Redaktor przyjmuje przed obiadem. Po co pójdę tam jutro? Aha — sława...

Zastawiłem breloki. A te dumania na temat: *vanitas vanitatum*¹¹ — wykwitły na gruncie zamkniętej na cztery spusty kasy ojcowskiej. Ale mniejsza — i to jest natchnienie...

Byłem w cukierni i czytałem pisma. Przyszło mi na myśl, że to wszystko było nasamprzód pisane, potem żmudnie składane po literze przez zecera, potem poprawiane dwa razy — i to się nazywa naprzód, *excelsior*¹² — wyżej — *ad astra*¹³...

Czybym ja, u diabła, więcej miał wiedzieć niż inni? A może to głupia, niezręcznie robiona poza?

Nudno, aż mdli.

A dalej?

Kilka dni nie będziemy z papą rozmawiali, potem papa strzeli w moją stronę, ja odpowiem. Będzie burza. Ojciec wyjdzie i trzaśnie drzwiami albo ja trzasnę drzwiami. Wyniosę się na kilka dni do Janka, napiszę wiersz, zacznę powieść — jedno i drugie podrę i wrócę do domu.

Synku, synku, synku — hop przez kijek!

— Janku, chodź do salonu. Jest Andrzej. Dwa razy się już pytał o ciebie. Tak wygląda, jakbyś go unikał.

— Aha: wygląda. Mam do salonu? Już idę.

Salon.

Lampa, abażur, pianino, firanki, dywany, meble stylowe, na stole *Tadeusz*¹⁴ nie czytany, w bogatej oprawie, *Wojna*¹⁵ w teczce — krakowskie wydanie, jakieś widoki, „Rok Polski”¹⁶. Wszystko lśniące, wytworne.

— Więc Zosia nie da mi buzi? Zosia boi się, że jej wąsy urosną? — ciągnie Andrzej.

— Wcale nie — odcina się mała.

— A dlaczego Zosia nie chce mi dać buzi? Przecież ja jestem teraz Zosi wujaszek.

— Ładny mi wujaszek.

— Fe, Zosiu, kto tak mówi! — gromi mama.

— Bo przecież nie wujaszek, tylko szwagier, bo Jadzia jest moja siostra — broni się mała, mocno zawstydzona.

— No, a szwagrowi nie można dać buzi? — ciągnie bardzo dowcipnie Andrzej.

— Ale pan dopiero będzie, a nie jest jeszcze.

— Wszystko jedno: mnie już panna Zosia może dać buzi, bo ja jestem już staruszek.

⁸bajronizm — prąd literacki i obyczajowy XIX w. ukształtowany na kanwie twórczości i legendy biograficznej ang. poety George’a Byrona (1788–1824), charakteryzujący się buntem przeciwko panującemu porządkowi społecznemu. Określenie *zmodernizowany bajronizm* odnosi się raczej do bezproduktywnej mody na naśladowanie bohaterów Byrona. [przypis edytorski]

⁹„Tygodnik”, właśc. „Tygodnik Ilustrowany” — pismo wychodzące w Warszawie w latach 1859–1939. [przypis edytorski]

¹⁰fiksaturować — smarować włosy fiksatorem, czyli pomadą. [przypis edytorski]

¹¹*vanitas vanitatum* (łac.) — marność nad marnościami (Koh 1,2). [przypis edytorski]

¹²*excelsior* (łac.) — wyższy. Tu: krój czcionki, ale również hasło postępu. [przypis edytorski]

¹³*ad astra* (łac.) — do gwiazd. [przypis edytorski]

¹⁴*Tadeusz*, właśc. *Pan Tadeusz* — epos Adama Mickiewicza. [przypis edytorski]

¹⁵*Wojna*, właśc. *Padół łez (Wojna)* — cykl 11 obrazów Artura Grottgera (1837–1867). [przypis edytorski]

¹⁶*Rok Polski*, właśc. *Rok polski w życiu, tradycji i pieśni* — zbiór materiałów literackich i etnograficznych autorstwa folklorysty Zygmunta Glogera (1845–1910). [przypis edytorski]

— A jakże: staruszek.

— Rozumie się, że staruszek. Czyż nie, panno Jadwigo?

Rozmowa kropka w kropkę w tym samym tonie, w jakim ja prowadziłem ze Stefą. Tylko Zocha ma dopiero dwanaście lat. Drażni mnie ten pan, ten pan narzeczony.

Zosia siedzi chwilę jeszcze na fotelu, bujając nogami w powietrzu — zakłopotana. Nagle zrywa się, przybiega do mnie i całuje mnie w usta.

— A to kokietka — śmieje się uradowany „mecenas” — jak ona grzecznie dała mi do zrozumienia, do kogo jej buzia należy...

Potem rozmawiano o literaturze.

Potem przyszedł ojciec, ze mną się nie przywitał — i mówił z Andrzejem o prawie, o podatkach, o rynkach, cłach i ciężarach, o demoralizacji pracowników, niesumienności — i o głupich mrzonkach niedowarzonych mlókosów, którym się we łbach poprzewracało.

Więc papa ma mnie za socjalistę? Ale może i lepiej wreszcie: postawił diagnozę przy najmniej.

Przechodzimy do stołowego pokoju. Zasiadamy. Andrzej stara się wytworzyć serdeczny nastrój, co mu się fatalnie nie udaje. Jest śmieszny. Mama z nim na spółkę pragną mnie gwałtem wciągnąć do rozmowy. Duszno!

Wreszcie dają mi spokój...

Przyglądam się ojcu, jak się patrzy na człowieka dawno nie widzianego lub człowieka, o którym się wiele sprzecznych zdań słyszało — i oto jest przed nami.

Widzę każdy najdrobniejszy szczegół jego postaci: znużone oczy, krawat jedwabny, poczerwione z lekka wąsy, zmarszczki na czole i nieskazitelnie czysty gors koszuli.

Czegoś bezwiednie szukam w tej postaci i znaleźć nie mogę, pytam o coś, na co mi nie daje odpowiedzi.

Czemu pan, panie ojcze, jesteś mi tak obcy?

Gdy patrzę na pana, widzę przed sobą przemysłowca, który w ruchach i mowie zdradza wiele nieszczerości, widzę takiego niemilego pana, który jest moim wierzycielem, którego niewypłacalnym dłużnikiem jestem ja.

Wiem, że mi pan nie przyślesz komornika, nie zamkniesz mnie do kozy, że mnie pan nie będziesz szykanował. Owszem, cenię pańską grzeczność, może nawet wspaniałość. A mimo to, wybac pan, wołałbym być dłużny każdemu innemu raczej niż panu.

I dlaczego to tak jest?

Czemu pan, panie ojcze, jesteś mi tak bardzo obcy?

Teraz patrzę mu już prosto w oczy.

DZIECKO SALONU

Ojczel!

Byłem wówczas bardzo mały jeszcze. Myślałem, że Bozia bardzo by się gniewała, gdybym wziął ciastko po kryjomu — a gdy się nogami buja, to się diabła kołysze. Lubilem gryzmolić ołówkiem i ustawiać domki ze starych kart, i oglądać malowanki, i dorabiać wąsy obrazkom, i słuchać bajek o sierotach, macochach i strachach. I dziwiłem się, skąd konie wiedzą, dokąd tatuś kazał dorożkarzowi jechać, że trafiają — i jak starsi umieją odróżnić psa od suczki — i jak się wszyscy umarli mogą pomieścić w niebie. Nie chciałem pić mleka i wcześniej chodzić spać. Mówiłem przy gościach: „Piał kogucik kukuryku”¹⁷, i inne bajeczki — i bardzo bałem się ciemnego pokoju i obcych ludzi.

Boście mówili mi, że do obcych nie wolno się zbliżać, bo sprzedają małe dzieci dziadom i do cyrku — że nie wolno nic brać od obcych: ani karmelków, ani wisienek, bo mi nos odpadnie — i że nie wolno nic z ziemi ani w ogrodzie, ani na ulicy podnosić, bo będę miał wszędzie brzydkie, czerwone plamy i krosty.

¹⁷ *Piał kogucik kukuryku* — początek wierszyka dla dzieci autorstwa Stanisława Jachowicza (1796–1857). „Piał kogucik: kukuryku! / Wstawaj rano, mój chłopczyku. / A chłopczyk się ze snu budzi, / Patrzy... dużo chodzi ludzi; / Więc się szybko zrywa z łóżka, / By nie uszedł za leniuszka; / I rzekł: za tve kukuryku / Dziękuję ci koguciku”. [przypis edytorski]

I zdawało mi się, że poza czterema ścianami domu czatuje przyczajona jakaś siła wroga i groźna, złe tajemnicze mroki — a poza wami, wszyscy ludzie-wrogowie, którzy pragną mnie zgubić.

Gdy mama dała mi dwa grosze, abym podał dziadkowi — „że on mi nic nie zrobi” — tom się bał i oglądał, czy mama sobie nie pójdzie i mnie nie zostawi samego bezradnego. A gdyście mówili: „zostań tu, będziesz tu miał dużo zabawek i ciasteczek” — tom płakać zaczynał, a wyście się śmiali. Bałem się Boga, was, ludzi — bałem się, tylko bałem — i nie ufałem.

Wyszliście wieczorem do teatru. Do niańki przyszedł jakiś człowiek w długich butach; siedział w kuchni w czapce. Począłem płakać: „niech ten chłop sobie idzie”. Kazała mi go przeprosić, pocałować w rękę. Nie chciałem — drżałem. „Jak nie przeprosisz w tej chwili, to zgasimy lampę, pójdziemy sobie, a ty zostaniesz sam. Przyjdzie dziad bez głowy, zatka ci usta, zawiąże, wsadzi w worek i rzuci do wychodka”... Przynieśliście mi z teatru czekoladki i pudełko z obrazkiem. Mama pytała: „dlaczego Janek nie śpi? czy nie płakałeś, Janku? — masz takie oczki czerwone”. — „Nie, mam” — i cisnąłem do ust jej miękką rękę...

Następnego roku otrzymałem spodenki i bonę Francuzkę...

*

W maju miałem zdawać do gimnazjum.

Przy gościach deklamowałem *Powrót taty*¹⁸. Zbierałem pudełka od cukierków i lekarstw, kasztany w Ogrodzie Saskim i bilety tramwajowe. Lubilem ciastka, ulegalki (w tajemnicy), pierniki, orzechy w cukrze, „sachar”¹⁹ (w tajemnicy), chleb świętojański²⁰, wodę z sokiem i siedzieć w dorożce na dużym siedzeniu. Mówiłem: „jak mamę z duszy kocham” i „kogo ta książka”. Wystawa taniego sklepu zdawała mi się skarbcem Sezamu, złotówka — majątkiem, a imieniny moje — świętem całego świata.

Robiłem z Jadzią perfumy ze skórki pomarańczowej. Z „dziewczynami” nie chciałem się bawić, bo beksy. Grałem z uczniami w klasy na marki²¹: Egipt z piramidami lub Kanadę z bobrem. W Rinaldinim²² stałem przy fortecy, a w pałancie²³ byłem „młodszym bachorem”, bo jeszcze ani biegać, ani dobrze piłki podrzucać nie umiałem. W ogrodzie na welocypedzie²⁴ wstydziłem się już jeździć, uczennice nazywałem: „o gęsi, gęsi idą” — i psulem dziewczynkom kółka, gdy bawiły się w głupiego bąka²⁵, „Różę od Torunia”²⁶ i „poszła panna po ziele”²⁷.

Mówiłem: „oliwa nie cebula” i „Was”²⁸ — Kapusta i kwas” — i „co? — pstro!” — i „dobranoc, pchły na noc, karaluchy pod poduchy, a szczypawki do zabawki”.

Wiedziałem, jak napisać zmarznątą wodę w trzech literach: — lód, i wyschlą trawę w pięciu: — siano — i że funt²⁹ pierzy jest tak samo ciężki jak i funt ołowiu. Wiedziałem, że „kobyła ma mały bok” — od końca czyta się tak samo — i że jak mówić: „masło, masło, masło” — to wychodzi: słoma, słoma, słoma. Uczyłem się prędko i wyraźnie wymawiać zdanie: „brzmi chrząszcz w trzcinnie” — i walczyłem z dzieleniem przez trzy cyfry z próbą.

Marzyłem o czapce z gwiazdką, o pasku z klamrą, o bocznej kieszeni, jak u dorosłych, w bluzie i o tylnej przy mundurze... Wierzyłem, że znaleziona podkowa przynosi szczęście,

¹⁸*Powrót taty* — ballada Adama Mickiewicza z tomu *Ballady i romanse*. [przypis edytorski]

¹⁹*sachar* (ros.) — cukier, lody sprzedawane na ulicy. [przypis edytorski]

²⁰*chleb świętojański* — karob, szarańczyn strąkowy, strąki wiecznie zielonego drzewa uprawianego w krajach śródziemnomorskich. [przypis edytorski]

²¹*marka* (daw.) — znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

²²*Rinaldini, Rinaldo* — bohater popularnych opowiadań dla młodzieży. Pierwotny obraz postaci został stworzony przez niem. pisarza Christiana Augusta Vulpiusa (1762–1827). [przypis edytorski]

²³*palant* — gra, w której uczestnicy podzieleni na dwie drużyny podbijają kijem małą piłkę gumową (wódz był nazywany „matką”, a szeregowi gracze „młodszymi bachorami”). [przypis edytorski]

²⁴*welocyped* — rower z przednim kołem dużym, a małym tylnym. [przypis edytorski]

²⁵*bąk a. cyga, fryga* — wydrążona kula na pręciku, wokół którego okręcony był sznurek. Bąka wprawiało się w nagły ruch, odciągając sznurek. Zabawa polegała na tym, żeby nie dopuścić do zatrzymania bączka, podtrzymując ruch biczykiem lub kijkiem. [przypis edytorski]

²⁶*Róża od Torunia* — zabawa w kółka, osoba w środku była różą, w odpowiednim momencie piosenki dzieci zaczynały tańczyć, a róża wybierała kolejną osobę do kółka. [przypis edytorski]

²⁷*poszła panna po ziele* — popularna piosenka ludowa, do której dzieci tańczyły w parach. [przypis edytorski]

²⁸*was* (niem.) — co? [przypis edytorski]

²⁹*funt* — dawna jednostka wagi. [przypis edytorski]

że gdy się w nocy tak obudzić, jakby się spadało — to się rośnie albo Bóg grzechy waży — nie wierzyłem w duchy, ale się ich bałem. Bawiłem się w loteryjkę, w szubienicę³⁰, cetno i lichu³¹ i zgaduj zgadula, w którym ręku złota kula. I mówiłem: „no, ściśnij palec” — i siniejąc z bólu, z obojętną miną: „mocniej ściśnij, bo wcale nie boli — tylko nie wolno paznokciami”.

Modliłem się, aby umrzeć razem z rodzicami.

Wstrząsnął mną widok karmienia węzów gołębiami w zoologicznym ogrodzie i widok tortur figur woskowych w panopticum³², i — gdy zwariował jeden znajomy tatusia. Boże! jakie to straszne; to pewnie Bóg za grzechy tak karze... Poza tym wierzyłem, że Bóg na to stworzył zwierzęta, żeby je ludzie jedli, ale męczyć zwierząt nie wolno, i że biedne dzieci są nieprzyzwoite — w ogóle wierzyłem we wszystko, co mówili: tatuś, korepetytor, mama i książki z obrazkami...

Mieszkaliśmy wówczas na Nowym Świecie.

Siedziałem na kanapie w twoim gabinecie, panie ojczy, i czytałem bajkę Andersena³³ o matce, która szukała zmarłego dziecka i oddała swe włosy piękne, zęby i oczy, by znaleźć drogę do śmierci — do dziecka swego. Ty siedziałeś przy biurku i pisałeś. Weszła służąca i coś powiedziała. Po chwili weszła kobieta w chustce, upadła na kolana, całowała cię po rękach i błagała, żebyś przebaczył jej mężowi. — Tę całą skrzynkę on sprzedał za dwa ruble; jakież złe go kusiło; przecież on nie jest ani złodziejem, ani pijakiem — on ciężko pracuje, tylko złe go skusiło. Dwoje dzieci umarło im przed tygodniem, a trzecie jest chore. — Powiedziałaś, że jej nic już teraz nie możesz pomóc, że nad złodziejami nie masz litości. — Wychodząc, spojrzała na mnie wzrokiem, który zwiastuje nieszczęście. Drżałem przerażony — z bajkami Andersena w ręce. Po raz pierwszy dusza moja z lękiem odskoczyła od ciebie. O! ja bym inaczej postąpił.

A był to czas, gdyś był jeszcze dla mnie ideałem, doskonałością bezwzględna. Wszystko mi w tobie imponowało: i to, że masz włosy na rękach i żyły, i to, że wieczorem w łóżku czytujesz kuriery, że masz karty wizytowe, suszkę³⁴ ciężką marmurową, a nie bibułę na włóczce z pieczątką. Imponowało mi, że zamoczywszy pióro w kałamarzu, zręcznym ruchem strącasz nadmiar atramentu, tak że nigdy kleksa nie zrobisz, że nakręcasz zegary i wiesz, kiedy już dosyć, że gdy idziesz przez ulicę, tylu ludzi ci się kłania, tylu masz znajomych; że otrzymujesz listy z zagranicznymi markami; nosisz binokle, które ci nie spadają z nosa; że palisz cygara i masz tyle szuffad; że nie zawsze zdejmujesz kapelusz przed kościołem...

*

Wsiąknęłam dużym kęsem duszy w szkołę. Teraz imponowali mi: przede wszystkim klasowy gospodarz i nauczyciele, potem dopiero ojciec i drugoroczni koledzy, i głównie z wyższych klas uczniowie, którzy umieli dym nosem wypuszczać, dalej, korepetytor, wreszcie — książki z powiastkami, prymus i ostatni uczniowie. Mamę już kochałem; obok mamy był ksiądz, który był dobry i nie stawiał dwójek.

Nauczyciel był nadprzyrodzoną istotą. Znaczek zrobiony na książce jego ręką, niebieski ołówek, frak nauczyciela, stopień czerwonym atramentem — wszystko to było jakieś tajemnicze, godne szacunku. Naśladowałem w domu ich sposób mówienia, głos, ruchy.

Wiedziałem już, że dziecko rodzi się..., wiedziałem, że nawet ojciec nie zna się na ślepej mapie, nie umiałby odmieniać: *hic, haec, hoc*³⁵; *is, ea, id*³⁶; *fero, tuli, latum, ferre*³⁷ lub wyliczyć wyspy we wszystkich częściach świata.

³⁰*szubienica* — zabawa w krzyżak i kółko, przegrywający rysuje kawałek szubienicy, przegrywa ten, kto pierwszy wyrysuje szubienicę w całości. [przypis edytorski]

³¹*cetno i lichu* — zabawa polegająca na zgadywaniu, czy przedmioty schowane w dłoni są w liczbie parzystej (cetno) czy nieparzystej (lichu). [przypis edytorski]

³²*panopticum* (łac.) — gabinet osobliwości. [przypis edytorski]

³³*Andersen, Hans Christian* (1805–1875) — duński poeta i pisarz, autor słynnych baśni. [przypis edytorski]

³⁴*suszka* — przedmiot do osuszania papieru z atramentu. [przypis edytorski]

³⁵*hic, haec, hoc* (łac.) — ten, ta, to. [przypis edytorski]

³⁶*is, ea, id* (łac.) — który, która, które. [przypis edytorski]

³⁷*fero, tuli, latum, ferre* (łac.) — nieść, formy podstawowe czasownika. [przypis edytorski]

W sklepie czasem pytano: „czego pan sobie życzy?”; raz sam wróciłem do domu po jedenastej, dałem stróżowi dziesiątkę za otwarcie bramy i przez kilka dni stróż mi się kłaniał; służąca mówiła: „niech panicz”.

Zbierałem stare monety i marki na wykupienie niewolnika, dawałem koledze jedną bułkę ze śniadania, co parę tygodni sprowadzałem zabłąkanego głodnego pieska, któremu mama kazała dać mleka i wyrzucić.

Kupiłem czerwony atrament i pisałem swe nazwisko z wielkim zakrętasem po dziesięć razy na każdej stronicy brulionu. Drugorocznicy podpisywali nauczycieli i dawali im swoje przezwiska.

Na dłoni pisałem trudniejsze nazwy geograficzne, przemieniałem: Kuba, Haiti, Portoryko na — Kuba ma gatki i portki; na bibule notowałem trudniejsze wyrazy z dyktanda, żeby się w domu zapytać korka³⁸, czy dobrze.

W tym czasie kochałem się w jednej dziewczynce ze ślizgawki i przez dni kilka w Lucynce, która miała wtedy lat ośm i deklamowała w ogródku na Foksalu, i ojciec ją potem hipnotyzował.

Wierzyłem w feralne dni i w to, że grosik, kamyk, bluza, wyjście z domu prawą lub lewą nogą lub wiadro wody — przynoszą szczęście lub nieszczęście, że za jedno pociągnięcie papierosa Bóg karze dwójką z dyktanda albo wierszy.

Chodziłem oglądać z kolegami trupy w kaplicach, czytałem w kurierze wszystkie wiadomości o zbrodniach, żywcem pochowanych, Kubach Rozpruwaczach³⁹ i lunatykach — i nakrywałem się wieczorem koldrą na głowę. Sadziłem w doniczkach pestki od daktyli i pomarańczy; rzadko co wyrosło, a jak wyrosło, to zwiędło. Wycinałem ramki laubzegą⁴⁰ i marzyłem o basenie z rybkami, ślimakami i morskimi roślinami.

Lubiłem gry towarzyskie: pierścionek, dukat, lub: imię męskie, imię żeńskie, gdzie byli, co robili, co na to świat powiedział. Czasem wychodziło bardzo dowcipnie: Władzio i Mania w naparstku kichali; świat powiedział, że to grzech. Na prima aprilis mówiło się: „masz nos zawalany atramentem”, „o, bluza ci się podarła”. W tłusty czwartek drugorocznicy rysowali na tablicy pączki. W śmigus oblewałem kolońską wodą Jadzię, kucharkę i służącą. Wiosną grałem w „zielone” na „fundę”⁴¹: chałwę, makagigi⁴², miętówki i sachar.

Wówczas to siedziałem trzy godziny w kozie, bo byłem dyżurnym i nie chciałem wydać kolegów, którzy coś przewinili. „Sami powinni się byli przyznać” — twierdziłeś wtedy, panie ojcze. Ale prawdziwa burza wówczas dopiero powstała, gdy przyniosłem trójkę ze sprawowania za kwartał. Groziłeś różgami i oddaniem mnie do szewca. A wiedziałeś, że nie mogłem być lizuchem, żeby potem ciągle mi mówili: „No idź, polizuchuj się; prędzej, ja ci każę iść”. Skrzywdziłeś mnie pan, panie ojcze. Widzisz? Jeszcze pamiętam...

*

Nie bawiła mnie już proca ani palant, ani czwórki z tłumaczeń; nie brałem udziału w bitwach na podwórzu podczas pauzy. Czytałem Kraszewskiego⁴³, nowelki (po kryjomu) i *Ogniem i mieczem* (otwarcie). Próbowałem pisać wiersze i urządzić własny dzwonek elektryczny. Przed każdymi dłuższymi świętami postanawiałem od nowego kwartału już dobrze się uczyć: powtórzyć, dopełnić, układałem plany, po ile stronic dziennie powtarzać, ile rozwiązać zadań — i kończyło się na planach.

Chciałem być aktorem, poetą, księdzem, wodzem, podróżnikiem, chemikiem, adwokatem, Kmicicem — co dni kilka kochałem się w innej ze spotykanych w drodze do szkoły pensjonarek i rwałem listki: „kocham, lubi, szanuje, nie chce, nie dba, żartuje” albo „napluje”. A przede wszystkim chciałem już być dorosłym... być — sobą.

Byłem ci już, panie ojcze, zupełnie obcy.

„Czcij ojca twego i matkę twoją”.

³⁸korek (gw.) — korepetytor. [przypis edytorski]

³⁹Kuba Rozpruwacz — pseudonim nadany zabójcy londyńskich prostytutek, jego tożsamość nie została ustalona. [przypis edytorski]

⁴⁰laubzega — przyrząd do cięcia, wyrzynarka. [przypis edytorski]

⁴¹funda — fundowanie. [przypis edytorski]

⁴²makagiga — ciastko z miodu maku i migdałów. [przypis edytorski]

⁴³Kraszewski, Józef Ignacy (1812–1887) — polski pisarz, publicysta, historyk i działacz społeczny. [przypis edytorski]

— Przez co się czci ojca i matkę?
— Przez miłość, uszanowanie i posłuszeństwo.
Więc grzeszny byłem i żałowałem za grzechy.
— Iloraki jest żal?
— Żal jest dwojaki: doskonały i mniej doskonały.
— Co to jest żal doskonały?
— Żal doskonały jest to obrzydzenie sobie grzechów pochodzące jedynie z miłości Pana Boga.

— Co to jest żal mniej doskonały?
— Żal mniej doskonały jest to obrzydzenie sobie grzechów pochodzące z obawy utraty nieba lub zasłużenia na piekło, ale już z mniejszą miłością Pana Boga.

Żal mój był mniej doskonały: obawiałem się utraty nieba lub promocji.

Zauważyłem, że po każdej zapomnianej rano modlitwie, ukradkiem wypalonym papierosie albo nierozmyślnie złamanym poście — następowała kara w postaci dwójki — i podziwiałem czujność i sprawiedliwość.

Im bliżej egzaminów, tym dłuższe i gorętsze pacierze. Bo na zielonym suknie stołu leżały pytania, gorąco pożądane, obojętne lub pytania fatalne, złowieszcze. „Boże! już nigdy nie będę”. I ręka drżała, przed oczyma biegały ciemne plamy, dech zamierał, serce kurczyło się w trwożnym oczekiwaniu: czy Bóg pomoże?...

Bolek i Franek Tomczyńscy, Stasiak Żabicki („Żaba”) i ja — postanowiliśmy urządzić pieszą wycieczkę, jeżeli wszystko pójdzie dobrze. I przeszliśmy nawet bez poprawki. Na przyszły rok usiądziemy razem: Franek z Bolkiem na trzeciej, a my na czwartej; bo oni lepiej robili zadania, a my wspomagać ich będziemy łaciną — więc *viribus unitis*⁴⁴, razem, nie damy się.

Zezwoliliście na jednodniową pieszą wycieczkę do Wilanowa. Ale nazajutrz zmieniliście, ojcze, zdanie: zabroniliście. Nie mogłem ich nawet uprzedzić. Po południu chcieliście wziąć mnie w Aleje. Uparłem się i zostałem w domu — sam, przy oknie, z żalem i gniewem bezsilnym i wrogim — w duszy.

Prawda, że to drobiazg? A jednak pamiętam...

*

Spętaliście mi czyny, ale myśli bujały swobodnie. Bo troskliwość wasza nie sięgała aż tak głęboko, bo nie zagłębialiście się nigdy bardziej niż w jamę ustną: czy jem — i muszę uszną: czy czysta.

Już nie odgadywałem szarad w kurierze. Marzyłem o innej, większej sławie.

— Cicho, Jadziu, nie przeszkadzaj, bo Janek się uczy.

A Janek pod gramatyką grecką miał powieść, na policzkach — rumieńce, w oczach — iskry lub łzy, a w duszy — burzę: zapał, obawę, ból i wyrzuty sumienia...

Przyszła miłość śnieżnobiała i nauczyła czuć i marzyć. Z nią mieszkam w latarni morskiej i pracuję nad latającą maszyną lub *perpetuum mobile*⁴⁵. Matka jej umarła na suchoty; znajduję lekarstwo przeciw suchotom i nazywam jej imieniem: Anieli, Anielki mojej.

Pisałem listy do pisarzy: — do Belmonta⁴⁶:

„Panie! Czytałem twoje arcydzieło: *W wieku nerwowym*. Boże! Jakie to arcydzieło...”

Do Choińskiego⁴⁷:

„Pan, taki sławny i taki wielki, będzie się śmiał z listu sztubaka. Ale przecież *Stumione iskry* to takie potężne dzieło. Och! jak pan zna duszę ludzką” — itd.

I listów nie wysyłałem, bo bałem się, że są śmieszne, że drwić z nich będą, jak drwią moi najbliżsi ze mnie, z mej ukrywanej miłości, marzeń i wątpliwości moich.

— O, widzisz, to jest *taka*.

⁴⁴*viribus unitis* (łac.) — jak jeden mąż. [przypis edytorski]

⁴⁵*perpetuum mobile* (łac.) — mechanizm, który raz uruchomiony, działałby zawsze. [przypis edytorski]

⁴⁶*Belmont, Leo*, właśc. *Leopold Blumental* (1865–1941) — polski pisarz, eseista i tłumacz. Autor powieści *W wieku nerwowym* (1888) kreującej postać dekadenta. [przypis edytorski]

⁴⁷*Jeske-Choiński, Teodor* (1854–1920) — powieściopisarz, krytyk literacki i teatralny. *Situmione iskry: opowieść z 1886* to historia rodziny mieszczańskiej, prusko-polskiej, w której dochodzi do konfliktów na tle narodowościowym. [przypis edytorski]

— A po czym ty poznajesz?
— To od razu można poznać... Nie wierzysz, to stańmy: zobaczysz, że od rogu znowu zawróci.

I zawracała od rogu.

I na to się pozwala?... To przecież straszne, tego być nie powinno.

*

Smutny snulem się po mieszkaniu: dowiedziałem się, że stryj wyjeżdża na Kaukaz. Więc i Aniela pojedzie i może nigdy jej nie zobaczę. Stałem przy oknie w salonie i patrzyłem na chmury, i wiersz układałem. Drzwi do gabinetu twego były uchylone. Głośno się śmiałeś, panie ojcie, głośno i serdecznie, z dowcipów, które przywiózł pan Antoni z ostatniej podróży. Słyszałem wszystkie anegdoty, które opowiadaliście sobie wzajemnie. Jedną najlepiej pamiętam:

„Pewien ojciec miał dwie córki i tak bał się o ich cnotę, że kupił dwa kosze, które przewiesił przez ramię i wsadził w nie obie córki, i nosił przez lat osiemnaście. Zgłosił się młodzieniec i powiada: »daj mi jedną z córek, tylko musisz zaręczyć, że jest niewinna«. Stary poskrobał się w głowę. »Widzisz, za tę, która siedziała w przednim koszu, to ręczę, ale za tę, co w tylnym koszu — to nie, bo jej nie miałem ciągle na oku«”.

Były i gorsze. A potem sądy i komentarze.

Czy pamiętasz, z jakim wyrzutem bolesnym patrzyłem wówczas na ciebie, panie ojcie — podczas kolacji na cześć pana Antoniego wydanej; leguminę orzechową z kremem jedliśmy dnia tego...

*

Przed modlitwą stale teraz mówiłem „modlitwę o dar modlitwy”.

„Panie mój! z pokorą idę przed Ciebie prosić Cię o największą dla człowieka łaskę, o dar szczerzej a żarliwiej modlitwy... Niechaj mi przy modlitwie znika z oczu i z myśli wszystko, co nie jest Tobą; niech żadne roztargnienie mnie od Ciebie nie odrywa... O, naucz mnie, Panie, modlić się do Ciebie z nadzieją i wiarą”.

I to długi czas pomagało.

Przestałem czytać powieści na czas pewien.

W klasie byli tacy, którzy już... Jeden miał pojedynek o pannę.

Dlaczego są choroby dziedziczne?...

A my ze Stachem mieliśmy wstąpić do seminarium: on zaraz, a ja po skończeniu uniwersytetu. Będziemy mieli kazania dla prostytutek; będziemy razem je pisali. Mieliśmy plan: że mężczyźni je krzywdzą, że one nie tylko duszę, ale i zdrowie rujnują — to będzie dla nich bardziej zrozumiałe, bo w duszę mogą nie wierzyć.

Nasze reformy: za uwiedzenie — kara śmierci. Chorym nie wolno się żenić. Zamiast wódki — pieniądze na biednych. Instytucja sprawdzania talentów: czy do malarstwa, czy do poezji, czy do muzyki? Zamiast wojska — wielkie warsztaty.

Dla wzmocnienia w sobie woli piliśmy herbatę, bez cukru i w ogóle — żadnych łakoci. Będziemy jaroszami, bo ksiądz nie powinien jeść mięsa.

Uczyłem syna stróża czytania. Chłopiec był pojętny; widziałem w nim przyszłą chwałę narodu. Lekcje trwały dwa tygodnie. Jadzia skarżyła się na ból głowy. Doktor powiedział, że to będzie odra.

— Czy nie mógł przynieść zarazy chłopiec stróża?

— Owszem, mógł. Mieszkanie stróża to siedlisko zarazy dla całego domu.

— Słyszysz, Janek, co pan doktor mówi?

Tak skończyły się moje lekcje...

Czy wy pamiętacie to wszystko?

Nie!

WRÓŻBA

Dwoje oczu wielkich, czarnych, uparcie nieruchomych i smutnych. Wargi drżące w kurczowym półuśmiechu. Nad białym czołem koroną żalobną włosy bujne. Głos cichy, monotony. Lituję się nad tobą, mój pięknie odziany, mój syty, mój urodziwy młodzianie. Widzę twą przeszłość i czytam przyszłość.

Mgła wilgotna i chłodna, opary zgniłe, trujące, a po kolana błoto — i grzęzniesz. Nie masz sił, aby się wyrwać, nie masz odwagi, by wołać o pomoc. Pomarszczona jest dusza twoja, a czoło gładkie — i płakać zapomniałeś. Za wiele we własną, za mało w ludzi patrzysz duszę; nie odnajdujesz we własnej duszy ani przeszłości, ani przyszłości, ani cech wspólnych dla wszystkich dusz. Za wiele wiesz, aby wierzyć, za mało, aby wiarę utraconą odzyskać, a nie wierzyć i kochać nie umiesz, i cierpisz. Kochanką jest ci cierpienie — nie mistrzem: ku ziemi tłoczy cię ono, nie podnosi, karli, nie wyolbrzymia; bo woli nie masz i kochasz cierpienie swoje.

Przekleństwo ściga cię za krzywdy, które wyrządziłeś — przestępstwa, które nie z własnej popełniłeś woli — przekleństwo od kołyski do grobu, i poza grób daleko jeszcze.

I pierwszą krzywdą-przestępstwem, które popełniłeś, było — żeś ssał pierś, która nie tobie przynależna była, zabrałeś dziecku-rówieśnikowi matkę, kradłeś pokarm, niemowlę. I drugą krzywdą-przestępstwem, które popełniłeś, było — że nie matce, która cię w bólu wielkim zrodziła, lecz płatnej kobiecie-mamce pierwszy swój uśmiech złożyłeś w darze, dziecię-samolubie. I cały ich szereg płynął i płynął, a Bóg je liczył...

Czy pamiętasz, gdyś miał długie loki, które ci opadały na ramiona, białka oczu bez żadnej żyłki czerwonej, i całowano cię, i dawano cukierki — cukierki za pocałunki? Łóźeczko twoje było miękkie i ciepłe, a głodu nie znałeś, i dużo zabawek miałeś pięknych i kosztownych. Obawiałeś się ludzi, a gdy cię całowano, piąstkami ścierałeś ślinę, choć to nieładnie. Kazano ci dla wszystkich być grzecznym, a nawet dla tych, o kim źle mówiono — nawet dla... służby — chłodno grzecznym.

I przeczucie jasne, lękliwe jasnej duszy dziecięcej mówiło ci, że sierotą jesteś, że nie ma pogody w dzieciństwie twoim. Miałeś świat swój własny i tajemniczy — ponury świat zaczarowanych królewien, złych czarowników i wiedźm mściwych, o których ci nie ojciec i nie matka opowiadali. Uczyłeś się tabliczki mnożenia, która trudna była, i karano cię, jeśli cacko kosztowne zbiłeś. Staraleś się nie walać czystych ubranek i hałaśliwe zabawy pod okiem czujnym płatnej wychowawczyni nie twoim były światem.

A czy pamiętasz swe modlitwy dziecięce, naiwne i tęskne?...

Lituję się nad tobą, młodzianie, bo nikt cię nie kocha i ty nie kochasz nikogo, i niewidzieć nawet silnie nie potrafisz, i nie znasz walk, jeno z duchem własnym, i sierotą jesteś. Nie wierzysz, a zabobonny jesteś, drwisz z miłości, a kochać pragniesz, nie cenisz życia, a boisz się śmierci, pogardzasz sobą, a czujesz się być wyższym ponad mrowisko ludzkie, śmiejesz się z przesądów i konwenansów, a ulegasz im z pokorą niewolnika; nie cenisz otoczenia, a grasz przed nim wieczną komedię, aby o tobie mówiono; uwodzisz i wolisz o równouprawnienie kobiet; jesteś bystrym obserwatorem, a widzisz w człowieku to tylko, co śmieszne i brudne, nie dostrzegasz tego, co smutne; wśród towarzyszków chwalisz się tym, coś złego uczynił, a kryjesz i wstydzisz, jeśliś pomyślał jak człowiek. I z życia, i z poezji truciznę ssiesz jak pszczoła miód z kwiatu. Cierpisz nad cierpieniami świata, a silny ból zęba gotów jesteś okupić cierpieniem tysięcy, niewolniku bólu, psie, czujny na każdą zachciankę ciała.

I wleciesz swe życie niechlujne i nudne, bez myśli mocnej i czynnej, bez punktu stałego, gwiazdy przewodniej, idei szerokiej — wąskie i samolubne, i prawie zwierzęce.

I nie wiesz nawet, co jest tobą, a co obce tobie...

A czy pamiętasz owe marzenia chłopięce, dumne?

A czy pamiętasz to rwanie się wyżej, wyżej — na szczyty.

O sławie marzyłeś i ludzkość szczęśliwą widzieć pragnąłeś — i mówiono, że dzieckiem jesteś kapryśnym; ty czuleś, że dzieckiem być już przestałeś. A czy pamiętasz owe modlitwy młodzieńcze, natchnione? A czy pamiętasz legendę o bocianie i uśmiechy, i półsłówka — i szeptane, poufne zwierzenia rówieśników? I to, co piękne i tajemniczo święte jak nieśmiertelność życia — brudnym i śmiesznym, i nęcącym grzechem się stawało.

Dzieciństwo

I nieraz zwiślało ci na ustach pytanie serdeczne, które ci chłodem niezrozumienia mrożono i jadem zepsucia w zawiązku zatrutowano. Pamiętasz, jak byłeś zatrwożony, zraniony, gdy po raz pierwszy zrozumiałeś to, o czym starsi mówili, sądząc, że ich nie słyszysz lub nie rozumiesz? I gdyś ty świat reformował, bohaterów wzywał, przyjaciela szukał — kazano ci przynosić piątki z uwagi i algebry.

A wiara twoja wówczas się chwiać poczęła, gdy widmo nieznane, zrazu niejasne, przyoblekło się w formę cielesną i przerażało cię, i krew twą pić chciało, i zbliżało się krokiem miarowym, upartym; chłód konieczności powiał na cię. Czuleś, że odstępuje cię wszystko, co dobre, a otaczają złe moce i uciec nie możesz, bo drogi nie znasz, i nie ma kogo byś zapytał o drogę. Pamiętasz swą miłość pierwszą, czystą; pamiętasz dziewczę, które ci się w tęczy kolorach, jak święte, na krótką ukazało chwilę i znikło na zawsze? I przyszła kochanka pierwsza — druga — trzecia — czwarta — piąta — dziesiąta — płatne — widzisz ich twarze? Nie płaczesz, piękny młodzianie?...

Płynie echo wspomnień dziecięcych skargą bolesną, obłądną; płynie jak fala wielka, przejrzysta i otacza cię, i dech wstrzymuje w piersi, i serce zamiera w skurczu bolesnym. Drży struna wspomnień nutą jęklivą i miast coraz ciszej, coraz głośniejsz dźwięczy, zawodzi żalostnie.

Gdyby posąg, który miał wyobrażać rysy szlachetne męża wielkiego, oszpecon sromotnie przez nieudolność jednych, przez złośliwość nikczemną drugich, gdyby posąg ten umiał czuć, a taką jak ty wołę posiadał, toby tak jak ty cierpiał i jak ty czuł żal i wstręt i stałby ułomny, i śmieszny.

Roślina, którą by wyhodowano w sztucznym świetle, ciepłe i sztucznej rosie, obrączkowana, karłowata, twoim byłaby obrazem. Ptak, który długą niewolą miałby połamane skrzydła, nie mógł wzlecieć i nie wołał o pomoc, bo nikt go nie usłyszy, do ciebie byłby podobny...

I pytasz — myślą bezradną:

„Co mętne jutro ze mną uczyni?...”

Nie wzywaj, mój kształtny ciałem, a duszą garbaty młodzieńcze, upiórów zamarłego dzieciństwa, nie wywołuj błędnych widm dawnych, poblakłych obrazów, marzeń twych młodocianych, modlitw i miłości białych bielą konwalii. Bo ci one myśl z orbity wytrącają, i błądzić poczniesz, i jutrzni wypatrywać tęsknisz, i ludzie orzekną cię obłąkanym. Nie ma, pomnij, ducha, jest tylko system nerwowy, i lekarze leczą ten duch — nerwy, ów mózg — sumiennie. Zażywaj brom, gdy ci myśli kłębić się poczną i szamotać, i w przeszłość rwać się, i ciągnąć ku marom smętnym i niepowrotnym. Niech przyjaciele kielichem i pieśnią, i żartem, i nocą bezsennością — widma te o wielkich nieruchomych i pełnych wyrzutu oczach — odpędzą, dziewczyna pocałunkiem strąci westchnienie, krew gorąca wstęgą krwawej łuny oczy ci przepasze; ty patrzeć przestaniesz, myśleć przestaniesz i ukojenie znajdziesz... na chwilę.

Inaczej zbrzydzisz sobie życie. Zechcesz uciec, i nie będziesz miał woli ani w nim pozostać, ani je wyzwąć do boju; połamać cenne cacka, które zdołają tve biurko, ludziom prawdę mówić, płakać, kiedy chcesz płakać, nie kłamać ani śmiechem, ani ukłonem, ani pocałunkiem, nie zdobywać nic podstępem ni obłudą: ani życzliwości, ani wygod życia salonu.

Wzrął się w ciebie ten salon, w którym i dla którego wychowałeś się i dojrzałeś. Nie imaj się żadnej pracy dla ludzi, bo wszystko, czego się dotkniesz duszą zakażoną, tobie i ludziom na złe się obróci. Idź drogą udeptaną, bagnistą; wyzyskuj prostotę i słabość, i szczerość, korzystaj ze swej siły — i zrównoważysz się, ustanie ferment w twej duszy.

Ożenisz się, będziesz miał dziecko; lekarz przyjdzie, zbada pokarm mamki; naciśniesz pierś, obejrzy zęby i powie, że dobrą będzie karmicielką. Dasz lekarzowi pięć rubli, w kantorze zapłacisz dług, mamce obiecasz nową suknię na Gwiazdkę. Otoczysz nerwowe swe dzieci komfortem, córkę obwarujesz zgrają płatnych strażników cnoty, aby ją czystą ciałem dochować dla takiego, jakim ty jesteś i jakim syn twój będzie.

Nie przywiązuaj się do nikogo, nie kochaj ani nauki, ani ludzi, i wyklnij wszystko, co białe i czyste w przeszłości twej było — i może jeszcze część szczęścia utraconego odzyskasz...

I oto między myśli moje zwykłe, codzienne, wplątało się coś nieprzezroczystego, z tępymi brzegami, jak gdyby łańcuch złożony z wielu ogniw, porzucanych w różnych

punktach mego mózgu, na rozmaitych jego powierzchniach, a jednak ciągly. Jak gdyby ten łańcuch poruszał się ruchem leniwym węża, a nie zwiżał się w kłębek, tylko cisnął tam we wnętrzu czaszki, gdzie nie ma miejsca. I to mi ból nieznośny sprawia.

Poparzyłem sobie duszę wspomnieniami.

PRECZ

W dzieciństwie niegdys.

Po przeczytaniu fantastycznej *Podróży naokoło Księżycy*⁴⁸ marzyłem nocami, że w kuli stalowej odbywam tę podróż...

Umilkły oklaski żegnającego tłumu.

Ziemia coraz szybciej zapada się, ucieka sprzed oczu. Kula stalowa pędzi szalonym lotem w górę — nic już jej nie powstrzyma.

Miasto coraz mniejsze, mniejsze — chmura mi je zakryła.

Cisza. Wielka cisza w bezruchu.

Już Ziemia złotą tarczą jest tylko, z plamami mórz i lądów, jak na ślepej mapie. A wokół czarno i zimno.

I nagle budzi się we mnie miłość Ziemi. Zatapia mię ból, kąsa tęsknota — zrywa się upiorny lęk przed tą samotnością w bezkresie.

Wrócić, wrócić!

Wrócić, rozbić się o skały, ale być trupem bezkształtnym — tam — na Ziemi — pośród swoich — tam, gdzie są wszyscy razem: mama, tatuś, Jadwisia i wszyscy ludzie...

Bezradny i drżący, tuliłem się, dziecko, do poduszki — i płakałem prawdziwymi łzami — i zasypiałem zmęczony.

Była w tym dziwnym marzeniu potrzeba kochania, potrzeba męki i prorocza obawa samotności...

Znów, po latach, uczucie tej pustki ślepej, czarnej, niemej i groźnej — wskrzesło. Ogarnia, okrąża, zatapia miarowo — ścisnęło tchawicę i dusi, i ssie chciwie...

— Skąd, dlaczego i po co? — pytam.

— Tak sobie. — Tylko — tak sobie. Nic więcej.

— Ja nie chcę. Ja muszę wiedzieć, dlaczego i po co?

— Tak sobie. Tylko — tak sobie.

— Ja nie chcę, nie chcę — nie chcę.

Uczepiłem się tej myśli kurczowo.

I strach paniczny. Pustka zimna, bezwzględna, silna — i jeszcze szydzi — i znęca się — i uśmiecha...

Powoli, skradając się, żeby nie widziała, otwieram szufladę i wyjmuję rewolwer. Powoli, skradając się, żeby nie wytrąciła mi broni, cicho przykładam go do skroni. Ona uśmiecha się i nie dowierza mi...

Serce bić przestało. Powieki zastygły nieruchomo w uroczystym oczekiwaniu cudu.

Na skroni chłodne kółko, które szybkim ruchem śrubowym wdraża się w czaszkę, nie sprawiając najmniejszego bólu.

— Już!... No już!... No, już.

Trzask tępy.

Przymykam oczy. Ręka opada bezwładnie. Dreszcz jak ołów przesywa mi mózg, rozpryskuje się i spływa nerwami.

Tak cicho i dobrze.

Otwieram oczy. Oddycham głęboko. Zęby poczynają szczękać. Przeżyłem śmierć i żyję. Dziwne. Chcę przelknąć ślinę, ale nie mogę. Drżę.

Bardzo przyjemnie — żyć...

Serce mocno tłuc poczyną w piersi; czuję mocne jego skurcze.

— Serce się cieszy, że bije.

Fala krwi gorąca, nie tak, aby ból sprawiała, ale się bieg jej znaczy drogą gorącą z piersi do skroni: czuję wyraźnie bieg krwi.

⁴⁸*Podróż naokoło Księżycy* — powieść pt.: *Autour de la Lune* Juliusza Verne'a (1828–1905), fr. pisarza uważanego za jednego z prekursorów fantastyki naukowej. Po polsku ukazała się pod takim tytułem w 1870 r. [przypis edytorski]

Chowam rewolwer do szuflady — mój pocziwy, mój dobry rewolwer, kładę go ostrożnie.

Chcę wstać z krzesła, ale nie mogę.

Dziwnie, bardzo dziwnie. Taka bardzo miła cisza. Taki bardzo równy płomień lampy. — Właściwie po co wstawać? Żeby położyć się do łóżka i odpocząć. — Czy jestem zmęczony?, — Tak, jestem zmęczony. — Czy bardzo zmęczony? — Oo, bardzo, bardzo. — No, to wstań: tylko powoli — żeby nie spłoszyć tego miłego, żeby nie urazić. — Oprzyj się ręką o stół. — Dobrze. — I do łóżka. — Dobrze. — Rozbierz się teraz — tylko powoli — wszystko powoli. I zgaś lampę. A może nie gasić? — Ee, lepiej zgaś. — A teraz okryj się kołdrą, bo ten zimny pot jest nieprzyjemny. — A może i przyjemny, bo chłodzi... — Prędko wystygł. — Kto wystygł? No — pot. Aha — tak — pot — ja wiedziałem, że on.

Dziwnie...

Trzeba leżeć mocno, bo łóżko się kołysze — dziwnie się kołysze.....

— Aa — aa — kotki — dwa.

Szare — bure — obydwu.

Nie, nie to... Tu będzie coś zupełnie innego...

I oto jasność oślepiająca.

I ukazuje się pierwszy obraz, a cały ich szereg, z ostrymi konturami, jak na ekranie. Są tu moje własne obrazy, a obce. Nie wiadomo, skąd przyszły i dokąd dążą, i czemu się tak śpieszą. Bezladne, a mają jakiś przeczuczany związek, bo płyną tak bez wahania, bez wątpliwości — jakby na rozkaz. Coś niezależnie ode mnie się buduje — o! fundamenty jakiegoś gmachu — tworzy się coś, czego się nie domyślałam — zobaczę, czemu współdziałać ani czego powstrzymać nie mogę — nie chcę; coś się wznosi czy przetwarza pod ogromnym ciśnieniem, coś roztopia w silnym rozżarzeniu i zastyga — rozszerza, kurczy i przystosowuje.

Wszystko wiruje, ucieka, powraca, pozornie bez celu, a jednak tak właśnie być powinno...

Ależ nie... To przecież płatki śnieżne — padają, padają — białe, znajome — białe płatki — wspomnienia — białe, puszystym kobiercem wokół — ale nie patrzę — tylko na te, które padają, padają — białe, śnieżne...

Kto to?!... Czy on musiał?

— Nie chcę — boję się... Tak — to on.

Boże, ratuj mnie. Boże, wysłuchaj kornego sługi Swego... Boże, zmiłuj się nade mną. Zdrowaś Maria... Boże!... Błogosławionaś... Ja nie chcę!... Boże!... Jezus Maria!... Ja nie — nie — nie!...

Poczwarą toczy się ku mnie, przelewając na krzywych i anemicznych nogach — miękka, wilgotna i pulchna. Na wzdętym brzuchu wystaje brunatny pępek; piersi kobiece, obwisłe. Długie palce bez paznokci — jak macki. Twarz biała, zmięta. Niskie na centymetr czoło; nad nim białorude, twarde, ulizane, tłuste włosy. Z płaskiego nosa sączy się brudna, śmierdząca posoka. W oczodolach dwa mętne, wypukłe, zielonawoszare, bez powiek — wrzody.

Poczwarą ma wyraz pożądanego.

Zbliża się, kołysze na rachitycznych nogach.

Czuję już słodki, zgniły oddech upiora. Już jest przy mnie. Już mnie opasuje — zagarnia.

Jedną ręką odpycham, a drugą biję w piersi i w brzuch. Wewnątrz poczwary coś przelewa się i bulgoce. Jeśli ustane, ona przycisnie mnie do siebie i całować pocznie.

Stoi spokojnie — bez ruchu — patrzy się jądrami wrzodów ciekawie, pożądliwie — i uśmiecha się idiotycznym uśmiechem, sytym i lubieżnym.

Gdyby nie te oczy, mętne wrzody, i nie ten uśmiech — ja bym zmorę zmógł.

I plunąłem jej w oczy, i drugi raz — w twarz.

I stała się rzecz straszna: zrozumiała!
Z wrzodów-oczu snują się łzy: cichy jęk, a na białych policzkach — sina plama rumieńca wstydu.

I męka targnęła trzewiami moimi.

— Przebac — wołam. — Już teraz wiem!

Więc poczwara niewinna, tylko tak być musi...

He, he! Jeden człowiek majaczy, a drugi i ten sam zarazem — błazen i sprawozdawca w jednej osobie — powieść chce o błaznie napisać.

He, he!...

W stajni cyrku stoi koń osiodłany; przy nim woltyżerka. Ubrana w trykoty, w kołpaczku na bujnych włosach, z lśniącą przepaską; tyle mieniących się blaszek.

Tuli do twarzy łeb konia.

— Halim! prawda, że ty mnie nie zrzucisz? Prawda, że przeskoczysz? Halim, przeskoczysz — prawda? Będziemy razem, zawsze razem, wszędzie razem. Lubisz cukier? Ja ci zawsze będę cukier dawała. Nigdy nie będę cię biła, choćbyś był niegrzeczny, bardzo niegrzeczny... Ty jesteś mój dobry, mój kochany konik. Ty przeskoczysz, a później znów będziesz sobie odpoczywał... Tyś zazdrośny, Halim?... Więc ci przysięgam, na Boga ci przysięgam, że z nim nie pójdę, ani z nikim nie pójdę... Halim, dlaczego ty na mnie tak patrzysz? Dlaczego ty mnie nie wierzysz? Słuchaj, Halim, jakbyś mnie zrzucił, no to pomyśl, sam tylko pomyśl, co by się stało? Halim, prawda, że ty mnie nie zrzucisz?

Dzwonek.

A wuj pisał:

„Mam już 60 lat. Wszystko jedno, gdzie pochowają...”

Świeca dogasa w lichtarzu. Świeca się dopala. Knot się wydłużył i wysysa resztki brudnego tłuszczu. Knot się zapadł i wylizuje ostatnie krople. Płomień się chwieje i kopci... Zgaśnie?... Jeszcze nie: wystrzelił jaśniejszym błyskiem i skurczył się, i trzeszczy, i przyska... Zgaśnie?... Jeszcze nie. Znow wysunął się poza obręb lichtarza i liże ściany. Kolysze się, dojada brudny, zakopcony tłuszcz. Boryka się z niemocą i dławi.

Tragedia dogasającej świecy...

A królewna wyszła z kąpeli i położyła się nad brzegiem źródła, na słońcu, wśród lilii. I lilia zapłodniła królewnę. I urodziło się dzieciątko, królewna-lilia...

Idzie chłop za pługiem i orze. Kto orał pole? Pradziad, dziad i ojciec. Kto będzie orał pole? Syn, wnuk i prawnuk... A chłop idzie pochylony i krople potu z brunatnego czoła na czarną ziemię padają!... Pole duże, mały chłop. Chłop daje pot, a zbiera ziarno skąpe. Co chłop jadł w poniedziałek? Żur, kartofle na rzadko i na gęsto. Co jadł we wtorek? Żur i kartofle drewnianą łyżką. Co we środę? Żur i kartofle ze wspólnej miski. Żegna się nabożnie i je żur i kartofle siedm „raz” w tygodniu. Idzie chłop za pługiem — słońce pali. Koń, słońce, chłop, ziemia, śnieg, rosa i pług żelazny razem pracują na chleb czarny i na rozpustę miast. Ruszczy⁴⁹ jest wielkim malarzem.

„Muzyka” znów dostał pałkę i ryczy. Ojciec go będzie znów łoił. — „Jak nie przestaniesz piszczeć, za drzwi wyrzucę... Won! za drzwi”. — „Muzyka” — za drzwi — cieszy się wstępna klasa, i popychają go. Ostatni uczeń!...

Szelest jedwabiu jest bezmyślny; szelest jedwabiu jest tak bezmyślny, jak kosz kwiatów dla aktorki, jak szyld, gdzie z muszel od ostryg zrobiono napis: „ostrygi”. Ale z dźwięków szelest jedwabnej spódnicy jest najbezmyślniejszy; jest w nim wilgoć, egoizm i chłód!...

Urodziła suka-matka szczenięta pod płotem.

Suka stara, chora — z jednym okiem. Zawłokła się do zajazdu — gość rzucał kielbasę. Pochwyciła kielbasę zębami, chciwie — i nie może. I zawyla suka-matka. Rozgniewał się gość. Zrzucili sukę ze schodów — na śmietnik. I zdechła — trup — i trup suki-matki — i szczenięta-sieroty — pod płotem — i pisk szczeniąt głodnych.

I płakałem. Dygasiński⁵⁰, pedagogu — poeto, czemu wycisnąłeś dziecku łzy, jałowe łzy, z oczu?...

⁴⁹Ruszczy, *Ferdynand* (1870–1936) — polski malarz, rysownik i ilustrator, reprezentant symbolizmu. Do jego najslawniejszych dzieł należy obraz pt.: *Ziemia* z 1898 r. przedstawiający chłopca orzącego pole. [przypis edytorski]

⁵⁰Dygasiński, *Adolf* (1839–1902) — powieściopisarz i pedagog, a także prywatny nauczyciel. Przedstawiciel naturalizmu polskiego. Autor m.in. noweli *Psia dola*. [przypis edytorski]

Kamila siedzi na kolanach bankiera z blaszanką wódki we wzniesionej ręce. — „Za zdrowie mojej matki-ulicy i ojca-cyrkuła⁵¹. Śmierć filistrom⁵²”. Pijcie, chłopcy — Pupek płaci”. Bankier patrzy nieufnie na obdartych przyjaciół z podmiejskiej karczmy. A oni krzyczą: „Niech żyje ulica, niech żyje Pupek!”. Kamila obejmuje mnie za szyję: „Tyś mój, tyś mój... synek”. Całuje bankiera: „I Pupuś — *tysz*”...

Siada Ironia w czerwonym stroju trefnisa — siada na biurku; zakłada nogę na nogę; puszcza kółka dymu z cieniutkiego papierosa i raz po raz pryska mi w twarz śmiechem, i mówi:

— Tak, tak... tyś człowiek, człowiek, człowiek, król stworzenia...

Można wymiotować wspomnienia... A rewolwer miał cztery naboje... Dlaczego ten upiór nie był ubrany w zieloną jedwabną spódnicę?...

Istnieje na świecie x szczęścia i x nieszczęścia. Kto bierze szczęście — innym zostawia mniej...

Czy ja muszę tak myśleć, czy to jest błazeństwo, jak wszystko... wszystko... wszystko?...

A czytałem w gazecie, że milioner zatrzasnął się we własnej ogniotrwalej szafie-skarbcu i umarł tam — może z głodu?... I czytałem, że chłop ma raka na języku; mieli mu język wyciąć. — „No, powiedz coś sobie — coś ostatniego — w życiu — w całym życiu”. A chłop powiedział:

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”... Ostatnie słowa w życiu...

Dlaczego na lipie dobrzyńskiej nie ma bocianiego gniazda? Czemu lipa dobrzyńska smutna?... A Anielka za weterynarzem — aż pod Uralem — daleko... Jak wygląda człowiek dojrzały, którego nikt w życiu jeszcze nie pocałował — ale to nikt?...

„Nieszczęsny, kto częściami do mogiły wrastał”⁵³ — mówi Mickiewicz.

„Wiara i wiedza w najwyższej potędze są równie potrzebne, ale każda w swoim zakresie; wiara dla kierowania duszą, wiedza dla opanowania przyrody. Najuniwersalniejsza wiedza w służbie najgorętszej wiary — najskuteczniejsza umiejętność działania w służbie najszlachetniejszego charakteru — oto typ, co zawładnie ludzkością, bo któż się oprze takiej potędze?” — mówił Szczepanowski⁵⁴.

„Nie *credo* wyznawane w słowach, ale *credo* objawiające się w życiu — jest miernikiem i sprawdzianem religii każdego człowieka i każdej epoki” — mówił Szczepanowski — i zasiadł na ławie oskarżonych — fałszerz, oszust, szkodnik!...

— „Jestem naturą, nie mam sumienia, bo ona go nie ma”.

— „Dążenie jest bólem, a posiadanie nudą” — mówi Przybyszewski...

I *tego* siedzi we mnie tysiące. Każdy choć przez chwilę był moim bogiem...

Śmieszne: jeden *ja* majaczy, a drugi *ja* go obserwuje, żeby napisać powieść...

Dziewczę — dziecko, kocha się w nauczycielce, i oto klęczy i modli się: „Niech ja będę najnieszczęśliwsza, byle ona była szczęśliwa”. I pisze pamiętnik: „Moja stokrotka była dziś smutna. Długo płakałam. Dzisiaj Mańka podawała jej palto, a jutro — moja kolej. I Zośka także chciała, ale dałyśmy jej odprawę, bo tylko małpuje. Kupujemy jej palmę; mam już trzy ruble z tego, co mama daje mi co dzień na ciastko. Boże, czy to nie grzech, że ja ją czasem więcej kocham niż rodziców?”.

— Tatus ma rację — mówi matka.

— A gdzie tatuś ma rację? — pyta dziecko.

I dlaczego się mówi: „pogoda pod psem?”...

Zgubiłem duszę. Dziwne...

Zgubiłem nie pamiątkowy zegarek, nie cenne cacko, nie laskę ze srebrną rączką, ale zgubiłem duszę — zatraciłem gdzieś siebie.

⁵¹*cyrkuł* — posterunek policji w zaborze rosyjskim. [przypis edytorski]

⁵²*filister* — człowiek bez wyższych potrzeb, ograniczony, mieszcuch. [przypis edytorski]

⁵³*Nieszczęsny, kto częściami do mogiły wrastał* — słowa Starca z *Widowiska*, cz. I *Dziadów* Adama Mickiewicza. [przypis edytorski]

⁵⁴*Szczepanowski, Stanisław* (1846–1900) — przemysłowiec, innowator (branża naftowa), działacz społeczny i publicysta. Usiadł na ławie oskarżonych, gdy Galicyjska Kasa Oszczędnościowa, finansująca jego działalność, ogłosiła upadłość. [przypis edytorski]

Ja — to nie ja.

Ja — to katalog czytelnicy, fonograf⁵⁵ kupiony na raty, z dokupywanymi coraz to nowymi sztuczkami, ja — to księgarnia; ja — to wszystko, co sobie kto życzy, byle nie taki ja jednolity, taki, który wie, skąd, dlaczego i po co, taki ja świadomy siebie, swych dążeń, myśli, czynów.

Ja — to Mickiewicz, Rozbicki⁵⁶, Żuławski⁵⁷ i Laskowski⁵⁸; ja — to Gawalewicz⁵⁹ i Żeromski⁶⁰, Tolstoj⁶¹ i Rodziewiczówna⁶², Bałucki⁶³ i Świętochowski⁶⁴, Andersen i Przybyszewski⁶⁵, Nowaczyński⁶⁶ i Klementyna z Tańskich Hoffmanowa⁶⁷. Ja — to „powieści polskie oryginalne i tłumaczone” — z czterdziestu kopiejkami miesięcznie za dwie książki — i dwoma rublami kaucji.

Smutne — doprawdy smutne...

Zgubiłem duszę.

Zgubiłem nie mopsa ulubionego, nie kwit lombardowy, nie książkę legitymacyjną lub fotografię kochanki — ale zgubiłem własną swoją duszę.

A bez duszy przecież żyć nie można... Co to będzie teraz?...

Ja nie umiem duszy szukać.

Uczyli mnie szukać logarytmów i sodu w roztworze, i nerwów na trupie — ale jak szukać duszy, kiedy zaginie?...

Panowie! Ja proszę, żeby mi z duszy wyszli wszyscy, którzy tam siedzą: wszyscy wielcy i mali, mądrzy i mądrale, silni i słabi, dobrzy i źli, bohaterowie i niewolnicy, cynicy i zapaleńcy, szczerzy i obłudni, łajdacy i asceci — wszyscy — co do jednego.

Stańcie wszyscy długim, nieskończenie długim szeregiem, jak żołnierze na mustrze, stańcie ramię do ramienia. Może sobie jakoś poradzę.

Bo tak nie można. Bo w tym tłumie bezładnym stanowczo nie znajdę siebie — nie znajdę — a dłużej już tak nie mogę i nie chcę. Nie chcę — rozumiecie?

Tyle różnych, różnych dusz — a pośród nich zabłąkała się gdzieś moja jedna. Jak ją znajdę?

Proszę was, panowie, stańcie w szeregu — nie wstyďte się. — Widzicie — wszyscy mi w duszy wiercili, każdy tam coś zostawiał, przestawiał. Widzicie, ja was wszystkich

⁵⁵*fonograf* — przyrząd odtwarzający głos, poprzednik gramofonu. [przypis edytorski]

⁵⁶*Rozbicki, Soter Antoni* (1823–1876) — polski humorysta i facecjonista, do którego przylgnęła latka grafomana. [przypis edytorski]

⁵⁷*Żuławski, Jerzy* (1874–1915) — autor młodopolski, prekursor fantastyki naukowej w Polsce, katastrofista. [przypis edytorski]

⁵⁸*Laskowski, Kazimierz*, ps. *El* (1861–1913) — autor wierszy, żartów scenicznych, piosenek. [przypis edytorski]

⁵⁹*Gawalewicz, Marian* (1852–1910) — twórca powieści obyczajowych, dramaturg, współwydawca i redaktor popularnych pism: „Tygodnika ilustrowanego”, „Kłosów”, „Kuriera Warszawskiego”. [przypis edytorski]

⁶⁰*Zeromski, Stefan* (1864–1925) — prozaik, dramaturg, publicysta. Współtwórca i pierwszy prezes Związku Zawodowego Literatów Polskich, w 1924 założył oddział polskiego Pen Clubu. Główna tematyka jego pisarstwa to krytyka społeczna, zacofanie cywilizacyjne warstwy chłopskiej, etyczny obowiązek walki o sprawiedliwość i postęp, więź z tradycją walki narodowowyzwoleńczej, tematy historyczne związane z powstaniami, walka z rusyfikacją. Stworzył swoisty dla swego pisarstwa wzór bohatera, samotnego inteligenta-społecznika, który podejmuje zmaganie o dobro ogółu, a odrzuca przy tym szczęście prywatne. Napisał m.in.: *Popioły*, *Przedwiośnie*, *Rozdziobią nas kruki, wrony*, *Szyfrowe prace*, *Ludzi bezdomnych*. [przypis edytorski]

⁶¹*Tolstoj, Lew* (1828–1910) — rosyjski prozaik, dramaturg, myśliciel, krytyk literacki, publicysta. Jego dzieła wywarły duży wpływ na literaturę światową i rozwój myśli moralnej na początku XX wieku. Jeden z najwybitniejszych realistów, łączył wnikliwą obserwację z własnymi poglądami na rzeczywistość. Dzieła: *Wojna i pokój*, *Anna Karenina*. [przypis edytorski]

⁶²*Rodziewiczówna, Maria* (1864–1944) — pisarka pisząca zwłaszcza o życiu polskiego ziemiaństwa, prowadziła aktywną działalność społeczną. Dzieła: *Straszny dziadunio*, *Dewajtis*, *Lato leśnych ludzi*. [przypis edytorski]

⁶³*Bałucki, Michał* (1837–1901) — autor powieści tendencyjnych i komedii przedstawiających życie mieszczaństwa w Galicji. [przypis edytorski]

⁶⁴*Świętochowski, Aleksander* (1849–1938) — publicysta, literat, filozof, historyk, działacz społeczny doby pozytywizmu. Założyciel tygodnika „Prawda”, prowadził działalność społeczno-oświatową. [przypis edytorski]

⁶⁵*Przybyszewski, Stanisław* (1868–1927) — pisarz, dramaturg, poeta, twórca manifestu Młodej Polski (*Confiteor*), jeden z pierwszych ekspresjonistów w literaturze europejskiej, skandalista, członek cyganerii krakowskiej, redaktor krakowskiego „Życia”, artystyczny przywódca Młodej Polski. Pisał m.in.: powieści (*Dzieci szatana*, *Homo sapiens*), dramaty (*Śnieg*, *Matka*), poematy prozą, eseje, wspomnienia. [przypis edytorski]

⁶⁶*Nowaczyński, Adolf* (1876–1944) — dramaturg, satyryk i publicysta słynący z ostrego pióra. [przypis edytorski]

⁶⁷*Hoffmanowa z Tańskich, Klementyna* (1798–1845) — pisarka, pedagogka, tłumaczka. Pisała dla dzieci i młodzieży, założycielka i redaktorka pisma „Rozrywka dla dzieci”. [przypis edytorski]

z taką ufnością wpuszczałem. No, i coście zrobili? Mierzwiście, gnoiliście mi duszę pod zasiew życia — ażście mi ją zaśmiecili — i krzywda mi się stała.

Nie myślę wam czynić wymówek. Byli wśród was i tacy, którzy dobrze chcieli. Wyście — niektórzy — rolę użyźniali: życie miało siać.

Otóż to właśnie: życie miało siać. Może by i dobrze było. Ale rodzice nie pozwolili siać, nie pozwolili żyć.

— O, masz tu, synuś, ciasteczko. Masz, synuś, czystą chusteczkę do nosa. Nie wychylaj się, dzidzius, przez okno, bo wylecisz; nie biegaj, aniołku... Masz tu, synku, wykształcenie. Masz, kochanku, dyplom... O, masz, złotko — dziewczynę: bądź sobie trochę świnią, pobaw się trochę, młodość musi się wyszumieć. Synuś, masz tu protekcję, posadę, stanowisko — pozycję w świecie, kochasiu. Widzisz, jacy my dobrzy: wszystko ci dajemy, o wszystkim pamiętamy. A kochasz ty nas — co? — daj buzi... A teraz, synuś, masz żonkę — widzisz: i o żonce pomyśleliśmy. A teraz weź żonkę pod pachę, ruszaj z nią do sypialni — i teraz sam już będziesz robił dzieci — musisz sam — nie ma rady. A czy potrafisz?

— Oj, oj, tatusiu! Dobrze.

— A kto cię nauczył, hultaju — co?

— Sam z siebie, tatusiu.

— A... ty... ty... łobuzie jeden...

I tatus się śmieje. I synuś tatusia pac! w rączkę, i mamusię pac-pac! w rączkę. A oni mają w oczach łzy rozrzewnienia... Udał im się: porządny chłopiec...

A mnie znudziło przedstawienie i nie chciałem takt w takt, na komendę. Nie stanąłem, broń Boże, dęba, nie kopnąłem pogromcy. Tylko opuściłem łeb w ziemię i nie chciałem więcej — i tak bardzo się na mnie rozniewano...

Oj, za długo żyłem w smrodzie bezpłodnych marzeń, jałowych łez nowelkowych i cyrkowych, popisowych czynów... Więc otwieram duszę na oścież i powiadam:

— Precz!

Zrzucam z pyska kaganiec i biegnę w świat *siebie* szukać.

A wam wszystkim powiadam mocne i stanowcze:

— Precz!

Dość kompromisów z wami i z sobą — dość.

— Precz! precz! precz!!!

Świta. Dzień.

Notatka późniejsza:

Urywek ten daje błądy obraz tego, com przeżył owej nocy. Niezmierne ciśnienie, pod którym odbywał się cały proces myślowy — nie może być oddane w tłumaczeniu na mowę. Notatki tej nie chciałem przerabiać, gdyż utraciłaby wartość dokumentu, niewiele zyskując na sile.

Uwaga ta dotyczy wielu miejsc moich „materiałów”.

BEZ STERU

Przez ostatnie trzy dni jadałem obiady w swoim pokoju, z którego prawie nie wychodziłem. Byłem bezgranicznie znużony. Leżałem na łóżku w ubraniu i drzemałem. Nie obchodziły mnie nawet szeptane narady mamy z Jadzią: co robić? Wiedziałem, że się naradzają, ale bez ojca nic nie chcą przedsięwziąć. O tym myślałem jak o czymś dawno gdzieś czytany.

Wczoraj przed wieczorem wszedł ojciec. Usiadł na brzegu łóżka i niespokojnym, choć umiarkowanym głosem zapytał:

— Janku, powiedz mi, co ci jest. Ty musisz być chory?

I nagle oczy napęłniły mi się łzami.

Otworzyłem prędko szufladkę nocnego stolika i powiedziałem, siłąc się na spokój:

— Jeśli ojciec chce wiedzieć, to tu jest *wszystko*.

Niech się już raz skończy.

Czułem, że nie mogę z nim mówić, bo się rozplącę; chciałem za jaką bądź cenę zwrócić jego uwagę w inną stronę, aby nie spostrzegł.

Wyjął papiery moje z szufladki, położył je na oknie, przysunął krzesło, nałożył binokle, usiadł i przerzucił. Nasamprzód szybko przerzucił kartki, nagle się zatrzymał i czytał wolniej, coraz wolniej, jak gdyby słowo po słowie, rozważając czy z trudem odczytując niewyraźne pismo.

Mijały długie minuty. Z salonu dobiegały przyciszone tony wygrywanych przez Zocheć etiud.

On coraz bardziej nachylał się nad zeszytem, bo zmrok zapadał.

Pode drzwiami rozległ się szelest, mama, zaniepokojona ciszą, zaglądała zapewne przez dziurkę od klucza.

Wstał, zamknął drzwi na klucz, zapalił świecę i czytał dalej.

Leżałem nieruchomo, z zamkniętymi oczami, bo obawiałem się spotkać z jego wzrokiem. Czulem, że go lżą każdym wyrazem, czulem, że go policzkuję, że tu cisza, tam etiudy Zochy, a w duszy jego burza.

Biedny!

Czytał. Trwało to bajecznie, nieprawdopodobnie długo.

Wreszcie poruszył się. Patrzy na mnie. Otwieram oczy.

— Słuchaj, Janek: czy... to, co ty tutaj... to powieść... czy tak... naprawdę?

— Naprawdę.

Usiadłem na łóżku. Chcę mówić.

On tarł czoło. Potem uderzył palcem w stół kilka razy — jak wtedy w szybę — i natychmiast spojrzał na mnie bojaźliwie, jak dziecko, które spsociło i nie tyle się boi, ile wstydzi. Znow łzy mi się cisną do oczu.

Znow długo trwa dławiąca cisza. Otwiera usta, ale nie mówi nic.

— Bo widzisz... owszem... to bardzo dobrze, że ja już teraz przynajmniej wiem... Tak... że ja już teraz wszystko wiem.

Chce powiedzieć coś jeszcze, chce dużo mówić. Zbiera rozpierzchłe myśli.

— Bo ja, proszę ojca, właściwie... Ojciec ma do mnie żal.

— Nie, ja wcale nie mam do ciebie żalu... Owszem, to bardzo dobrze, że ja przynajmniej teraz już wszystko rozumiem.

— No tak, ale ojciec ma do mnie żal... Ale ja nic nie mogę poradzić... Ja nie chcę łaski, bo to mnie poniża... Ja nie chcę być ojca utrzymanką, bo to mnie poniża... Ja chcę sam na siebie zarabiać... Ja chcę pracować.

Ocknął się.

— Ano tak... Ale matka będzie pewnie chciała... to ty nie zwracaj na to uwagi... Tak będzie najlepiej... Już ja wszystko sam...

Pochwyił mnie za rękę.

— Tylko musisz mi przysiąc, że nie będziesz znowu próbował... Rewolwer zostawisz, a ja ci już sam wszystko odeślę... Ja się na wszystko zgadzam, tylko ty musisz mi dać słowo... Co?

— Dobrze.

— Jak zobaczysz, że *nie*, to wrócisz?

— Dobrze.

Pocałowałem go w rękę.

— No to już idź... Idź prędzej... mój kochany... Gdzie masz palto?

Bezradnie, niezgrabnie plątał się po pokoju.

Przeprowadził mnie na schody i szybko cofnął się do mieszkania...

Stałem na ulicy — na rogu.

Co u licha?

Patrzę na trzy rzędy kamienic i nie wiem, dokąd iść.

A może tak dojdę do stójkowego i powiedzieć:

— Proszę pana. Ja się nazywam Janek. Ja wyszedłem z domu i zabłądziłem. Mój tatuś ma fabrykę. Niech mnie pan odprowadzi do mamusi, tatusia, Jadzi, Zosi i do naszej papugi.

Janka w cukierni jeszcze nie było. Teraz przychodzi dopiero około dziesiątej.

Miejsce starego Wernera puste: umarł. Jeszcze na dwa dni przed śmiercią odgrażał się kelnerom, że jeżeli mu nie zamówią „Kolców”⁶⁸ i „Roli”⁶⁹, to przeniesie się do innej cukierni.

Pan radca mile mnie wita. (Tu wszyscy są radcami).

— O, kochany partner. — Już z podróży? — Zagramy?

Rozstawiamy szachy.

— No jedź pan... Teraz ja... Ano, dobrze... O, ho, ho... Ślicznie... A to znowu co?... Niech mu będzie. — Już poszedł... Pan tak?... Co, już szach? — Ano, szach, to szach... Znowu szach?... A to z pana, proszę pana — no, no!... Dajesz pan konia? Czemu nie? — O, zaraz luźniej. — Za gorąco pan gra...

Przegrał.

— Głupia partia — mówi radca. — No, jeszcze jedna... Napije się pan? — Hej, chłopiec, dwie czarne.

Audytorium, pół siwe, pół łyse — spiera się o rozegraną partię. Wchodzi Janek, spozstrzega mnie:

— Patrzcie tylko, moiściewy... Myślałem, żeś już kopyta wyciągnął... Gdzieś był?...

Wiesz: robię w cukrze. Pieniądzy, powiadam ci, jak lodu... Masz czas?

— Słuchaj no: musisz mnie przyjąć u siebie.

— Jużeście sobie znowu ze starym na mordy wleźli?

— Ano trochę.

— To ślicznie: nie dajmy się, powiadam... Poczekaj no: jak to będzie po czesku?...

Słuchaj: jeden bilardzik — i na przepalankę⁷⁰.

„Matka w różek... Córeczka w boczek... Dublik... Chlapnął... Panieczka do śródeczka... Ma go”.

Ogarnia mnie po chwili to nasze miłe, swojskie, senne, kojące i na wskroś warszawskie — owo:

„I znów dzień przeszedł”.

I zrywa się z uczuciem ulgi kartkę ze ściennego kalendarza...

Wróbel. — Przepalanka. Dwie kielbasy. — Wszystko jak przed rokiem. — Śmieszne, że mnie to dziwi.

— Powiadam ci — zapala się Janek — palce lizać. Mała, czarna — a jak zbudowana — a co za ciało, powiadam ci — co za ciało. — Idę z Felkiem — (poznasz go) — przez Marszałkowską... Zaraz przeniuchałem, że nietutejsza. — On mówi: „Nie zawróć sobie łba”. — Dobrze, zobaczymy. — Nie chciał wierzyć... Ale teraz już wierzy i łązi z wywieszonym ozorem, aż ja ją puszczać kantem... Ale... ale: patrz no, co za pocztówki wspaniałe. Widzisz? — O ta... albo ta... Cywilizuje się Warszawa — coo?...

Janek — towarzysz wspólnych zabaw z „Saksy”⁷¹. — Matka ich miała sklep jubilerski obok naszej perfumerii. — Mieli bardzo surową bonę — Niemkę. — Raz zerwałem różę z klombu i przyniosłem jego siostrze — Wańdzi. Niemczura kazała jej za karę wziąć różę w piąstkę i ścisnąć. Kolce wpiły jej się w ciało i krew koralami spływała z palców. Cicho powiedziała mi przez łzy: „To nie boli, Janku — to nic”. — Wyszła za mąż za starego, potem uciekła z młodym — ostatecznie „puściła się”.

— Kelner, jeszcze karafkę przepalanki.

— Słucham pana.

Rojno, gwarno, kojąco.

— Słuchaj no, tworze ojcowski i boski — o coś się pożarł ze starym?

— Mniejsza o to.

— Ja przynajmniej, świeć Panie nad jego grzeszną duszą i innymi częściami jego ciała i garderoby, nie mam ojca... Tylko słuchaj: musisz się meldować. Bo stróż strasznie zażarty na nasz czwartak. Bo od czasu jakieśmy się dowiedzieli, że szpicel — bojkotujemy go z dychami. — Z początku nie chciał „kobiet” puszczać, aleśmy mu obiecali gratisowe

⁶⁸„Kolce” — tygodnik ilustrowany o charakterze satyrycznym wydawany w Warszawie od 1871 r. Z pismem współpracowali m.in.: Adam Asnyk, Bolesław Prus, Janusz Korczak. [przypis edytorski]

⁶⁹„Rola” — warszawski tygodnik społeczno-ekonomiczny wydawany w latach 1883–1912. Publikował treści zachowawcze, a także antysemityczne. [przypis edytorski]

⁷⁰przepalanka — wódka z dodatkiem karmelu. [przypis edytorski]

⁷¹Saksy — Ogród Saski. [przypis edytorski]

mordobicie — i spotulniał. — Poznasz kapitalnie ciekawą sztukę: „Rozkraczajkę”. Mówię ci: boki zrywać. Niewinny, że Longinus⁷² — pies przy nim. — Farmak⁷³. — Na pamięć umie pół *Tadeusza*. — Kpimy z niego na potęgę. — Kefir pije. Poznasz całą paczkę. — Kapitalnie wesoło u nas...

Sądziłem, że gdy powiem łodzi mego życia:

„Płyn bez steru” —

łódź popłynie, wartkim prądem niesiona — daleko — gdzie jasno i czysto.

I odetchnę powietrzem lasów żywicznych i pieśni słowicznych, i wietrzyk czesać mi będzie włosy, i gładzić czoło, i całować usta...

Nie ma lazurów!

Opuściłem dom rodziców, jak się opuszcza hotel, gdzie gospodarz za drogie pieniądze dał nocleg z pluskwami — szukałem.

Nie ma lazurów — nic nie ma...

I czegoż ja szukam?

Kłamstwo, płacone miesięcznie albo od wiersza.

Kłamią po pięć, dziesięć, piętnaście centów albo kopiejek od wiersza. A za guldeny⁷⁴ lub ruble stawiają kolację, płacą zaległe komorne, kupują kapelusz żonie albo nie żonie. A że tam gdzieś rozplomienią duszę sztubaka lub rozkołyszą wyobraźnię pensjonarki — to nic — to przejdzie — kto by tam na to zwracał uwagę?

Każdy być musi choć rok, choć miesiąc — „taką altruistą”, „taką namiętną idealistą”, co wierzy i pragnie świat reformować.

I czegoż ja tu, u diabła, szukam jeszcze?

*

Na czwartaku panuje wszechwładnie dowcip, polegający na tym, że przy czytaniu drobnych ogłoszeń kuriera dodaje się wyrazy: „z przodu” i „z tyłu”.

Szwaczki bardzo się śmieją — i my także. Rozkraczajło się gniewa.

Byłem w kantorach i kurierze: ani jednej oferty.

Ojciec przysłał mi rzeczy.

Zastawiam...

Słyszałem taki urywek rozmowy prowadzonej między kasjerką i chłopcem — w cukierni:

— Pani jest bardzo samolubna.

— A skąd pan to może wiedzieć?

— Bo samolub to jest w ogóle taki zarozumiały człowiek, że jest zupełnie pod każdym względem niemożliwy.

— O, to pan się myli, bo ja jestem tylko rozgoryczona.

— O, nie, proszę pani. Ja się w ogóle znam na ludziach. Człowiek, który się rozgoryczył, to go już nic w ogóle nie weseli. A pani zupełnie przeciwnie.

Chłopiec się kocha, a ona kpi.

I kto by pomyślał, że ten chłopiec w białym fartuchu, który podaje „jedną białą” lub „dwie czarne” — ma swój własny pogląd na rozgoryczenie i swoją własną miłość.

Zupełnie tak samo jakby dorożkarz miał duszę lub szwaczka pisała wiersze, lub służąca miała narzeczonego.

*

Spotkałem moją pierwszą nauczycielkę — pannę Bronisławę:

— Ach, jak to dobrze, że ciebie spotykam. Może wiesz, jakie są książki we wstępnej klasie w czwartym gimnazjum, bo nie wiem, czy z Jewtuszewskiego⁷⁵, czy z Wiereszcz-

⁷²*Longinus Podbipięta* — bohater *Trylogii* Henryka Sienkiewicza przestrzegający kodeksu rycerskiego. [przypis edytorski]

⁷³*farmak* — student farmacji. [przypis edytorski]

⁷⁴*gulden* — złota lub srebrna moneta. [przypis edytorski]

⁷⁵*Jewtuszewski, Wasilij Adrianowicz* (1836–1888) — ros. pedagog i metodyk, autor zbiorów zadań matematycznych. [przypis edytorski]

gina⁷⁶? Dostałam lekcję u tego krawca. Musisz wiedzieć: to taka znana firma. Ale prawda: co ty już doktor? Niece? Więc wyrzucony? Wdałeś się w co? Może gryziopiórkiem chcesz zostać? Pamiętasz swój wiersz na śmierć Wisnowskiej⁷⁷:

Umarłaś w kwiecie życia swego,
Zraniłaś wiosną życia mego —?

Widzisz: sam się teraz śmiejesz. Każdy pisarz, co napisze, to się potem z tego śmieje. Miałam niedawno podobnego ananasa: syn fotografa. Ten znowu pacykował, a na egzaminie *wieleli*⁷⁸ napisał pierwsze *jat*⁷⁹, a drugie — *je*. Wiesz: ciocia Rogowska umarła. — Eee? Jadzia się zaręczyła? Z kim? — Słuchaj: nie rzucaj ty medycyny. Może się zakochałeś, jak ten Korycki — musiałeś słyszeć o nim?... Skończył z medalem w Moskwie i coś mu do głowy strzeliło: ożenił się z jakąś praczką czy coś takiego, a teraz siedzi gdzieś pod Radomiem czy Kielcami i wstydzi się nos w Warszawie pokazać.

I podreptała dalej.

I znów wir myśli, wspomnień, obrazów i tematów.

Czy ja się wezmę do pisania? Tak mi się nic nie chce. Z trudnością zmuszam się do robienia notatek, ale się to kupy nie trzyma.

Żeby tak kondycję⁸⁰, gdzie na wsi...

Czytałem w jakimś francuskim romansie, że są trzy rodzaje samobójstwa: ostre, chroniczne i jedno tylko śmiertelne. Moje ostre przeszło w stan chroniczny.

„Korepetytor z francuskim i niemieckim poszukuje kondycji na wyjazd”.

Teraz nie dostanę już, bo późno.

Tfu! jak mi podle.

GRZECH MARZYĆ

Na płowym niebie rosa gwiazd.

Zadumana noc lipcowa — wiejska, rzewna — nuci tęskną kołysankę.

Zadumała się dziewczeczka — dziecko nieledwie — patrzy w niebo i szepcze:

— Kocham... Kocham...

Kogo kochasz, maleńka?

— Nie wiem... Ale Kocham, bo muszę; bo mi ktoś kochać każe, a nie wiem, kto...

Zadumana noc lipcowa — wiejska, rzewna — nuci tęskną kołysankę.

Zadumało się chłopię — dziecko nieledwie — patrzy w niebo i szepcze:

— Kocham...

Kogo kochasz, chłopcze — dziecię?

— Nie wiem... A Kocham, bo muszę; bo mi ktoś kochać każe, a nie wiem, kto...

Płyńcie ku mnie, wspomnienia mojej pierwszej miłości — niezabudki — może zapłaczą...

*

Stryj mój był dozorcą w Dobrzyniu.

Nie ożenił się, opiekował się „całym światem” i mówił prawdę w oczy.

Latem domek jego przy plancie podobny był do ula.

Kiedy czternastolatkiem spędzałem tam wakacje — w trzech jego pokojach mieszkała wdowa po dozorczy z dwojgiem dzieci, żona chorego umysłowo telegrafisty z dzieckiem, starszka — matka maszynisty, chora na oczy — i Anielka. Stryj i ja zajmowaliśmy komórkę.

⁷⁶ *Wiereschczagin, Iraklij Pietrowicz* (1846–1888) — ros. nauczyciel matematyki, autor podręczników do trygonometrii. [przypis edytorski]

⁷⁷ *Wisnowska, Maria* (1861–1890) — polska aktorka teatralna, zastrzelona w Warszawie przez kochanka, oficera gwardii carskiej. Na kanwie tej historii powstało wiele utworów literackich. [przypis edytorski]

⁷⁸ *wieleli* (ros. *вѣлѣли*) — zamówili. [przypis edytorski]

⁷⁹ *jat* (ros. *Ѣ, ѣ*) — litera starej cyrylicy, zlała się całkowicie z e. Jej obecność w ortografii XX w. wynikała z wpływu języka staro-cerkiewno-słowiańskiego, który był językiem liturgicznym. [przypis edytorski]

⁸⁰ *kondycja* — posada nauczyciela domowego najczęściej związana z wyjazdem na wieś. [przypis edytorski]

Prócz tego domek stryja był punktem zbornym i miejscem odpoczynku w czasie polowań i letnich wycieczek młodzieży ze stacji.

(Podobno taki był dwór dziadka, dopóki zrujnowany przez „nowinki chłopskie” i życzliwych sąsiadów — w łeb sobie nie strzelił. Groźny przykład nie nauczył stryja, jak żyć należy).

U stryja „przewróciło mi się w głowie” — twierdzili rodzice moi i mieli słuszność: tam nauczyłem się kochać...

Pokochałem Anielkę, stare meble z wytartą ceratą, dobre oczy i długie kosy Anielki, cmentarz wiejski z kaliną i brzozą i mogiłą ojca Anielki, i lipę z bocianim gniazdem, biały fartuszek i skromną sukienkę Anielki, siwą sukmanę chłopca, śpiew chłopski w wiejskim kościółku i jego: „Z Bogiem, panocku”. Pokochałem szosę wyboistą i rozmowy, które z Anielką prowadziliśmy, idąc szosą do zmurszałego krzyża i z powrotem — i pokochałem ten krzyż pochylony i czarną ziemię, i stary podarty album z wyblakłymi fotografiami, i poźółkłe domino, w które grywaliśmy, i niezdatną Walerkę, która „okrutnie lubiła gości, ale jak dużo było, to jej się wszystko z paliców wysowało”. Pokochałem długie bajki starszego robotnika i jego rude wąsy, lokomotywę — kobylę i drezynę, mruczenie kota przy piecu, lasek brzydki sosnowy i słońca zachód, i gościnność stryja, i niewymyślne dowcipy kolejarzy — i Anielkę, której matka umarła na suchoty, ojca przejechał pociąg, gdy wracał plantem do domu — pijany, i stryj mój wziął ją czteroletnim dzieckiem do siebie, na własność, i był dla niej bardzo dobry.

Bywało, księżyc świeci jasno, druty telegraficzne śpiewają swą tajemniczą pieśń, a my siedzimy na ławce pod lipą, słuchamy, milcząc. Ona gładzi główkę któregoś z dzieci wdowy, trzymając je na kolanach — ja myślę: czy wyznać jej miłość?

Nagle szyny poczynają drżeć, z hukiem przebiega pociąg, maleństwo objaśnia sennym głosem: „to extla przejechała”.

— Bywało, Anielka uczy dzieci, a ja przerzucam stare roczniki „Kłosów”⁸¹ i słucham, co mówi, i cieszę się, gdy malcy odpowiadają rozumnie i czytają płynnie, i niecierpliwie się, gdy które dłużej się namyśla nad odpowiedzią lub źle czyta.

Bywało, patrzymy na zachód słońca, a gdy ostatni rąbek słońca glinie, Anielka westchnie, i mnie się tak smutno robi, bo myślę, że ona nie będzie szczęśliwa, i lży nabiegają do oczu, i chcę jej powiedzieć, że kocham, i boję się, by jej nie rozgniewać.

Idziemy plantem i ona mówi, że stryj mój jest bardzo dobry i że to wielkie szczęście mieć rodziców, i pyta, czy mama mnie całuje na dobranoc.

I ostatni wieczór przed moim wyjazdem, i mój wyjazd... Druty i słupy tak smutnie huczały.

Prosiłem, żeby stała przed domem, gdy będę przejeżdżał. Napisałem na kartce, że ją kocham, że nie jestem godzien jej miłości, „ale zrobię coś takiego, że będę godzien, i wtedy rzucę swe serce pod jej stopy; że kobiety są niestałe i zmienne”. Miałem rzucić tę kartkę z okna wagonu, ale bałem się, by jej nie obrazić — i nie rzuciłem listu z „wyznaniem”.

Ludzie lubią pocziwców, ale nie lubią *prawych*. Stryj był prawy. Więc rozgniewał doktora, gdy go od kart odciągnął do dziecka dróżnika, i księdza, i tych wszystkich, którzy korzystali z jego gościnności, i podwładnych, i przelożonych. A gdy naczelnik jakiś zażądał trzysturublowej pożyczki, a stryj odmówił — został dozorcą, z większą nawet pensją, ale na Kaukazie.

„Mnie już sześćdziesiąt lat” — pisał stryj przed rokiem... Anielka wyszła za mąż za weterynarza; a lipa dobrzyńska smutna...

Wspomnienia odżyły, gdy spotkał Wacka. Wacek miał wówczas poprawkę z geografii i ja go uczyłem. Śmieszny Wacek, któremu psuto „jeża” i proponowano obcięcie uszów, żeby ojciec nie miał go za co ciągnąć i żeby uszów myć nie potrzebował, śmieszny swą dumą uczniaka i syna zagonowego szlachcica, śmieszny Wacek — studentem.

Nie poznałem go; on mnie poznał i wstydliwie mi się przypomniał.

Mieszkam u niego od dwóch dni. Opowiada mi o Dobrzyniu, i tak mi smutno, ale dobrze. Jest taki czysty, młody, świeży — ze swym blond jeżem i niebieskimi oczami,

⁸¹„Kłosy” — tygodnik ilustrowany poświęcony sztuce i nauce. Wychodził w Warszawie w latach (1860–1890). [przypis edytorski]

i mocną ręką, która i pług nieraz, i cep, i kosę trzymała. Mówi mi „pan”, nie chce się nawet zgodzić na: „kolego”.

— Przecież panu wszystko jedno, a mnie tak jest zrzęcznie — powiada.

*

Wacek jest wstrętny.

Wstaje o wpół do ósmej i z wielkim hałasem czyści sobie rzeczy. Potem myje się, czesze, ubiera, klęka i modli się. Zawiesił nad łóżkiem obrazki i co dwa dni patrzy, czy nie ma pod nimi pluskiew. Wychodzi punkt o kwadrans na dziewiątą. Ani jednego wykładu nie opuścił jeszcze. Stołuje się w kuchni studenckiej; potem ma jakieś dwie lekcje. Wraca punkt o siódmej; chwyta za kości i atlas i mruczy pod nosem do dziesiątej. Potem nastawia maszynkę, o ile gospodyni nie zaprosi nas na herbatę; Wacek dostaje wówczas do herbaty łyżkę soku malinowego, ja — nie.

Gospodyni nasza bardzo się nim opiekuje, temperując go na męża dla swej najmłodszej z trzech dziewczec. Najstarsza ma lat trzydzieści; nie lubiła poezji, ale od czasu jak El zaczął pisać, najbardziej kocha wiersze. Średnia jest damą klasową; życie jej się przykrzyło i zrobiłaby ze sobą koniec, gdyby to nie był grzech. Przyszła małżonka Wacka, *resp.*⁸² pani Waclawowa, pani doktorowa — chodzi do konserwatorium i gra pięć godzin dziennie na fortepianie.

Drugi pokój odnajmuje od zacnej emerytki eks-adwokat — tabetyk⁸³. Chętnie częstuje mnie papierosami, byle mógł opowiadać mi o żonie, która go z „córeczkami” opuściła teraz właśnie, kiedy on jest chory z pracy, i nieszczęścia do reszty zwały go z nóg. — Mieszka z synem, śniadym siódmoklasistą, Bronkiem.

Rozmawiałem z Bronkiem kilka razy. Przeczytał w jakiejś broszurce, że ojcu grozi obłąd, że jest to choroba dziedziczna — i postanowił zrobić tak jak ten — z *Nory Ibsena*⁸⁴. Biedny chłopiec!...

*

Stanowczo długo tu nie wytrzymam. Wacek drażni mnie niemożliwie ze swym:

— Kolego, proszę pana, niech mi pan nie przeszkadza, bo się muszę uczyć.

Albo:

— Kolego! mówiłem już panu, że nie znoszę żartów z siebie. Pan może być bardzo mądry dla siebie, a ja chcę być głupi dla siebie.

Cynicznie zrównoważony, prowincjonalny medalista.

*

Ulica Marszałkowska. Ponury ranek jesienny.

Skończyło się panowanie prostytutek nocą; dzieci idą do szkół.

Idą.

Idą pojedynczo, po dwoje, po troje — chłopcy, i dziewczęta — starsze, młodsze, najmłodsze — w nowych lub zrudziałych tornistrach — i ledwie od ziemi odrosłe — w szubkach⁸⁵ albo szynelach⁸⁶ na wyrost.

A nad dziećmi wąski pas kirem chmur zasnutego nieba, na które nie patrzą, a pod stopami wilgotne błotem kamienie.

⁸²*respective* (łac.) — względnie. [przypis edytorski]

⁸³*tabetyk* — człowiek cierpiący na uwiąd rdzenia kręgowego w wyniku zakażenia kiłą, które prowadzi również do zaburzeń psychicznych. [przypis edytorski]

⁸⁴*Ibsen, Henryk* (1828–1906) — dramaturg norweski. Początkowo tworzył utwory oparte na motywach historycznych, legendach i sagach skandynawskich, później podjął tematykę społeczno-obyczajową w duchu realizmu i naturalizmu oraz symbolizmu. Dzieła: *Grób Hunów*, *Nora czyli dom lalki*, *Dzika kaczka*, *Kobieta morska*. [przypis edytorski]

⁸⁵*szubka*, *szuba* — długie wierzchnie okrycie, często podszyte futrem. [przypis edytorski]

⁸⁶*szynel* — płaszcz o charakterystycznym kroju noszony w XIX w. i na początku XX przez ros. żołnierzy, urzędników i uczniów. [przypis edytorski]

Idą drobnymi, szybkimi krokami — młodsze, i poważnie, ociężale — z klas wyższych. Mijają się, krzyżują, prześcigają, spotykają — witają podaniem ręki — chłopcy lub pocaunkiem — dziewczęta, i idą razem, mówiąc o lekcjach dzisiejszych, klasowym zadaniu lub ostatnim w tym kwartale dyktandzie.

Idą — objęte wspólnym mianem „młodzieży szkolnej”, która ma ulgi w tramwajach.

W czapkach z różnymi znaczkami, w kapturkach i kapeluszach, przybranych wstążką, piórkiem, puszkami, w kaloszach lub bez kaloszy, zapięte na wszystkie guziki lub tak tyllko sobie — byle z domu prędzej wyprawić.

Idą do szkół — ze wszystkimi lub niektórymi tylko prawami, do pierwszo- lub drugorzędnych, do renomowanych i mało lub wcale nie znanych. A każde ma kogoś, kto mu do tornistra włożył bułkę lub dwie bułki, z wędliną lub pieczenią od wczoraj, kto wpis opłaca i w domu pyta o stopnie — i mówi: „ucz się”.

Idą — o włosach jasnych i ciemnych, ładne i brzydkie; podobne do mamy lub taty, takie, które „nos szpeci lub oczy zdobią, usta mają za szerokie lub gryzą paznokcie”. Idą dzieci paralityków, głupców, suchotników, ideowców, kokot salonowych, rozpustników, lichwiarzy, fabrykantów. Idą — których lekarz nie pozwolił forsować, idą za wcześniej lub za późno oddane do szkoły, pierwszo- i drugoroczne, które trzeba prosić, aby jadły, które tran piją, które stanowią całą, pół lub ćwierć pociechy rodziców — i pólsieroty — i sieroty...

Wiedzą, że za dwa dni niedziela, że w przyszłym tygodniu nie ma święta — za dwa tygodnie — galówka⁸⁷, za sześć dopiero miesięcy — wakacje...

Idą — dobrze lub źle wychowane, psute przez mamę, ojca, dziadków lub za surowo chowane — którym idzie łatwo, łatwiej, najłatwiej — trudno, trudniej, najtrudniej — które „cudem przechodzą” lub pół nocy siedzą nad książką, książkę pod poduszkę kładą i rano wstają, żeby powtórzyć. I te, które piszą wypracowania „dla całej klasy”, ale ściągają zadania; które zaraz zasypiają, gdy się położą, lub długo mają oczy otwarte, bo chcą wiedzieć, jak to się zasypia, albo myślą, myślą o różnych, różnych rzeczach, albo w ogóle zasnąć nie mogą. Leniwe i kowale, które z byle czego lub rzadko się śmieją, uległe lub uparte jak koziele, lubiane lub nie lubiane przez klasę; które ze wszystkiego się zawsze wykręcą i mogą lekcji nie umieć, a piątkę dostać — śmiałe i lękliwe, radykali i ugodowcy szkolni — kłamcy i prawdomówne — które chcą lub nie chcą, dobrze lub źle podpowiadają — królewężka i kopciuchy szkoły i kinderbalów; — które „chlubę lub wstyd rodzicom przynoszą”.

Idą dzieci małżeństw z rachunku, przypadku, miłości, litości lub obowiązku — małżeństw dobranych lub niedobrych, niby-szczęśliwych i nieszczęśliwych — zawartych za zgodą lub bez zgody rodziców — gdzie ojciec wziął lub nie wziął posagu, lub stracił posag, lub tylko mu obiecano. Dzieci małżeństw, gdzie ojciec karcciarz, kobiecciarz — a mama go kocha i płacze po nocach lub mama gości przyjmuje, a ojciec myśli o wszystkim; gdzie mama lub ojciec chory albo zniechęcony, albo nerwowy — gdzie rodzice się kłócą, jedno skąpe, a drugie rozrzutne; gdzie starsza siostra akurat się zaręczyła lub wczoraj urodził braciszek; — dzieci długo oczekiwane i z radością witane lub witane niechętnie, przez nieostrożność poczęte — a później nic zrobić się już nie udało.

Idą i obliczają, z czego dziś na pewno i może odpowiadać będą, czy będą wyrwane na poprawkę, czy chory nauczyciel już zdrow i przyjdzie, i w jakim będzie humorze. Idą i mówią o nauczycielach, o ostrych i łagodnych, sprawiedliwych i niesprawiedliwych, takich, co dużo lub sami nic nie umieją.

Idą dzieci kształcone z wysiłkiem lub z nałogu. Idą — które mają lub nie mają własnego pokoju, które uczą się w stołowym, sypialni, same lub z rodzeństwem, którym pomaga „rutynowany i energiczny” korepetytor lub same radzić sobie muszą; które uczą się grać na fortepianie i „języków” lub drżą, że przełożona znów się o wpis upomni; gdzie jest lub nie ma salonu, jest lokaj lub „do wszystkiego”, lub wcale nie ma służącej; które za piątkę rubla dostają, lub za dwójkę — bity od ojca. Które marzą o kucu lub sławie, o nowej sukience lub — niezależności kobiet...

Taki wielki tłum dzieci, taki długi sznur ludzi; taki nieskończony szereg przyszłych lekarzy, techników, ładacznic balowych, kucharek i działaczek, księży, adwokatów, głów

⁸⁷galówka — impreza galowa, uroczysta. [przypis edytorski]

szalonych, kamieniczników i wykolejenców, wodzirejów, marzycieli; plotkarek o kurzych mózgach, filantropiek na gumach, karierowiczów w najrozmaitszych zawodach i szubrawców. I tyle łez, i tyle istnień zmarnowanych.

Idą — które bez pardonu roztrącać będą — i takie, które pierwsza złamie zawada; które przejdą przez życie jak przez froterowaną posadzkę salonu lub które wzrok zatopią głębiej — jeszcze i jeszcze głębiej — i w górę wzrok wzniosą i gwiazdę ujrzą. I ku gwieździe wzlecieć zapragną — ale zawrócą, bo im wyżej, tym mroczniej i chłodniej, a w chlewku ciepło, choć duszno — i te, które się nie cofną z pół drogi.

*

Bronek przyniósł mi swój utwór pod tytułem: *Młodość*. Chce posłać do „Ziarna”⁸⁸, ale pragnąłby wiedzieć, czy przyjmą.

Czytał mi sam:

„Młodość — hej — młodość!... Ileż potęgi, ileż siły mieści się w tym wyrazie tak krótkim, a tyle zawierającym treści. Hej, wy dumni, czyście zajrzeli w pierś młodzieńca, czy wiecie, co to jest młodość, która kipi, czyście zajrzeli w piekło, które się dzieje choćby w duszy ucznia siódmej klasy? Tam jest burza, która porywa swą grozą majestatyczną.

Nadmiar sił wylewa się jak bałwany z koryta rzeki i w szalonym pędzie chwyta wszystko na drodze, i pędzi w dal z szumem, trzaskiem, rykiem i wrzawą. Młodość — to szal. Nadmiar sił rozrywa pierś słabą, zapal, gorączka — wstrząsa całą istotą; duch rozbudzony jak olbrzym wstrząsa ciałem — karłem i kruszy kajdany.

Fantazja, natchnienie, wyobraźnia — przypina młodemu Ikarowe skrzydła, a ten, niebacznym, pędzi ku słońcu jak ćma, oślepiony jego blaskami: O! jak piękna ta podróż na skrzydłach wyobraźni, która niesie hen, hen w górę!!!

Nie ma przeszkód, nie ma przeciwności — nic nie wstrzyma śmiałka. Ha! oto wdarł się na szczyt skały i patrzy z uśmiechem w otchłań, a oto pędzi już dalej, wyżej. Kończy się powietrze, lecz co go to może obchodzić! Mija Księżyc i Słońce, lecz co mu po Ziemi, co on ma wspólnego z tym pyłkiem rzuconym w przestrzeń bezgraniczną, z tym okrucieństwem gnanym tajemniczą siłą — on, do którego należy wszechświat cały!

Co? Tam żyć na Ziemi? Nigdy! Tam mu ciasno, tam mu duszno; jemu potrzebna nieskończoność...

Dokąd pędzisz, młody duchu, co ciągnie cię w te wyżyny, czy nie męczy cię ta podróż szalona?

Ha, ha! męczy? Co znaczy to słowo? O nie! zmęczenie — to nie wyraz młodości.

Nareszcie powraca na Ziemię, nie spocząć, lecz oto tak sobie.

Czy nie dlatego, duchu młody, wróciłeś na Ziemię, że ciągnie ona twe ciało, czy nie przez mus twarde wróciłeś?

Mus? Co znaczy to słowo? Młodość nie zna musu. Ona wie tylko, co znaczy chcieć! Powiem Słońcu: »Stać«, a ono stanie natychmiast; powiem gromom i wichrom: »milczcie«, to zaraz umilkną; powiem morzu: »uspokój się«, a wściekle i rozszalałe bałwany u stóp mych legną, jak tygrysy u nóg pogromcy...

Ale oto płynie jakaś czarna chmura. Co to jest? Smutek, tęsknota. Oto chmura u nóg mu leży, ale się podnosi i okręca go; oto sięga już szyi, dotyka brody, zasłania oczy... Och, jak smutno.

Ha, ha! Marzenia. O, nie zastąpią one rzeczywistości. Po co wyrywać się w zaczarowane krainy, aby spaść znów na Ziemię z przebitym bólem sercem? Po co patrzeć przez różowe szkiełka optymizmu, kiedy świat weń rzuci kamieniem? Po co kochać i idealizować chuć, którą jest miłość? Po co uczyć się, aby po latach dowiedzieć się, że więcej człowiek umieć nie może, bo to niedostępne? Wierzyć w ideały? Kiedy wszyscy mówią: »nie ma ideałów«.

Precz, czarna chmuro! Płyn, łódka moja, która mnie unosisz, płyn znów w nieskończoność, a ja wiosłować będę. Jak imię łodzi czarodziejskiej?

Fantazja. A wiosła? Marzenia. I znów w wątlej łódce rzucam się w wir wszechświatów, nie zważając, że mogę stracić równowagę i spaść w rozpalone łono Słońca i spłonąć”...

⁸⁸„Ziarno” — warszawskie pismo codzienne, wychodziło od 1897 r., w 1900 r. zamieniło się w tygodnik. [przypis edytorski]

Oczy chłopca płonęły. Na śniade policzki wypłynął rumieniec.

Odgarnąłem mu włosy i pocałowałem w czoło.

— Ty marzysz, Bronku! — szepnąłem.

Chłopiec pochwycił mnie za rękę mocno, wpił się w nią palcami i patrzył bolesnym pytającym wzrokiem.

— Ty marzysz, Bronku — powtórzyłem. — To bardzo źle, że ty marzysz. Nie wolno marzyć. Bóg się gniewa. Bóg nie pozwala. Grzech marzyć, Broniu — grzech.

Opuścił głowę na piersi.

— Wiesz, co ci odpowiedzą i w „Ziarnie”, i wszędzie... wszędzie?

— Co? — zapytał nagle.

— Że twoja *Młodość* nie nadaje się do druku.

— Dlaczego? Czy to takie złe?

— Nie złe, Broniu, ale nieuczzone, niezgrabne, naśladowane, nie wyczone, sztuczne. Zbiór frazesów sztubackich. Ale w tym jest dusza twoja, która roi, poszukuje, która wiele będzie cierpiała... Nie, Broniu — Słońce nie stanie, kiedy ty — młodzieniec, powiesz mu: „stań”; gromy nie umilkną, gdy im powiesz: „milczcie”. To tylko tak jest w wierszykach, ładnych wierszykach, ale nie w życiu.

— Ja wiem — rzekł głucho.

— Biedne ty jesteś dziecko.

Coraz mocniej ścisnął moją rękę.

— Chcesz mieć we mnie przyjaciela, Bronku?

— Tak.

— Ale ty masz tajemnice, których nie powierzyłbyś nikomu — prawda?

— Tak.

— Ani mnie także?

— Ani panu...

— Bronku, ty się onanizujesz — powiedziałem szybko.

— Nie! — wstrząsnął się, pochylając głowę.

— I marzysz o sławie, bo myślisz, że prędko umrzesz na suchoty albo zwariujesz — dokończyłem.

— I co? — szepnął, patrząc mi w oczy badawczo.

— Nic. To nieprawda... Tylko musisz mieć kogoś, któremu ufasz — żebyś nie był sam — żebyś nie był sierotą.

W tej chwili wszedł Wacek.

Zapalił lampę.

Bronek wyszedł spiesźnie.

Rzuciłem się na kanapę.

Cynicznie zrównoważony Wacek począł się uczyć półgłosem, powtarzając po dziesięć razy te same nazwy: *trochanter major*⁸⁹, *trochanter minor*, *fossa trochanterica*⁹⁰, *crista intertrochanterica*⁹¹.

Uderzało mnie to po głowie jak młotkiem.

— Mój Wacku, może by ciszej?

Nie zwracał uwagi na moją prośbę. Nie odczuwał mojego stanu. Zdrowa, chłopska natura.

— Kolego, będziecie pili herbatę?

— Dziękuję. Jużście mnie uraczyli anatomią.

— Ojciec mój ciężko pracuje na moje wykształcenie.

— Tak... tak. Trzeba się uczyć — potwierdziłem.

Był mi dziwnie wstrętny.

— Kolega nie w humorze — zagadnął.

Nie odpowiedziałem.

— Czy pan myśli długo jeszcze mieszkać u mnie?

— Dopóki mi pozwoli wasza teściowa.

⁸⁹*trochanter major, minor* (łac., med.) — terminy anatomiczne: krętarz większy i mniejszy, części kości udowej. [przypis edytorski]

⁹⁰*fossa trochanterica* (łac., med.) — termin anatomiczny: dół krętarzowy. [przypis edytorski]

⁹¹*crista intertrochanterica* (łac., med.) — termin anatomiczny: grzebień międzykrętarzowy. [przypis edytorski]

— Kolego, proszę ze mnie nie drwić.
 — Śmieszny pan jest, panie Wacławie...
 — Wiem o tym...
 — Jutro, a nawet dziś mogę pana pożegnać, z całej duszy dziękując za gościnność.
 — Ja nie chcę, żebyś się pan ode mnie wyprowadzał, tylko niech mnie pan nie drażni.
 — Ja pana drażnię?
 — Pan mnie nie zna. Pan się śmieje, że ja się modlę. To jest podłe!
 — Aż tak?
 — Podłe i nikczemne. Co pan mi da za moją modlitwę?
 — Ja nie handluję tym towarem — odpowiedziałem brutalnie.
 I Wacek się nagle rozplakał.
 — Wacek, nie płacz. Wacek, bój się Boga, nie płacz. Ja przecież wiem doskonale, że jestem świnią. Mnie drażni, że ty jesteś zdrowy, że pracujesz, że masz cel w życiu, że dążysz. I dlatego ci dokuczam.
 — Nieprawda. Ja wiem, że jestem głupi, że nie mam kultury, że jestem śmieszny — i to mnie boli.
 Nie mogłem już dłużej.
 Porwałem palto i kapelusz, i uciekłem na wódkę.
 Od tygodnia dużo piję.
 Jest w tym wszystkim jakaś niepokojąca mroczność, męka dziwna, przecucie, że tak trwać długo nie może...
 Dusza wyje jak pies na śmierć.

PIERWSZY ROZDZIAŁ POWIEŚCI

*Messieurs et mesdames!*⁹² co w tłumaczeniu oznacza: panowie i panie, miejcie tę naturę. Kto nie wie, co dalej, ten nie zna poezji ludowej... To znaczy: bywaj często w gabinetach i czytaj, co stoi napisane brylantem na lustrach — bo lud — to grunt; — Prawda, Lolka?
 — No — gadaj — gadaj dalej.
 — Nierogaczna niech milczy... Lolka, subtelna — jako tako dziewica, ale nie Orleańska⁹³ — jeżeli pragniesz, abym lał perły swej wymowy, to podnieś dwie nóżki do góry... A Franek niech każe podać „noch a szampiter”⁹⁴.
 — Franek śpi.
 — Niecee — wcale nie śpię — pię — ię — ę. Tylko jestem urżnięty, rżnięty — nięty — dęty.
 — Ęty — ty — y.
 — Ęty — ty — yyy!...
 — Nie krzyczcież, do choroby!...
 — Kelner! Trzy butelki „naszego”.
 — Słucham jaśnie pana.
 — Patrzcie państwo: jaśnie pana. To bydlę naprawdę myśli, że ja się ożenię „myt a Salcze Apfelgold”⁹⁵.
 — Bo się ożenisz.
 — Lolka, jak twoją cnotę kocham; Lolka, jak cię w sześciu wschodzących pokoleniach poważam... Lolka, ty mnie całego nie znasz, ty mnie tylko kawałek znasz... Lolka, wierz mi, że ja mam zasady.
 — Asady — sady — ady!
 — Widzisz, Lolka, pieszczoto. Nabuchodonozora, tęsknoto hipopotama, wizjo paleontologa — ja bym mógł ożenić się z Salczą Apfelgold, a potem siedzieć z tobą w gabinecie; ale ja wolę naprzód siedzieć z tobą w gabinecie; a potem dopiero... nie ożenić się z Żydową.

⁹²*Messieurs et mesdames!* (fr.) — panowie i panie. [przypis edytorski]

⁹³*Dziewica Orleańska*, przydomek *Joanny d'Arc* (1412–1431) — fr. bohaterka narodowa, katolicka święta, twierdziła, że prowadzi Francuzów do zwycięstwa natchniona przez Boga, spalona na stosie w wieku 19 lat. [przypis edytorski]

⁹⁴*noch a szampiter* (z niem. *noch*: jeszcze) — jeszcze szampana. [przypis edytorski]

⁹⁵*myt a Salcze Apfelgold* (z jid.) — z Salcią Apfelgold. [przypis edytorski]

— Iduwą — duwą — uwą — wą — ą.
 — Duwą — uwą — wą — ąą.
 — Nie ryczcie, do choroby.
 — Popiolki, cicho.
 — Cicho!... Lolka chce, żebyście byli cicho!... Bo widzisz, Lolka, te wszystkie zebrane tu małpy wydałyby się z pocałowaniem za Salusze „mit dwieszce tysięcy z dużym dokładkiem po najdłuższe delikatne życie” — ale ja nicee!
 — Eeeee.
 — Ja mówię, że nie.
 — A babcia ma w oku łzę.
 — Zaiste, łzę.
 — Więc widzisz, Lolka, matrymonialna matrono, powiem ci dowcip, tylko nie wiem, czy z „Bociana”⁹⁶, czy z „Kroniki Rodzinnej”⁹⁷.
 — Powtarzasz się.
 — A ty stul gębę.
 — Mówi się nie gębę, tylko: tramwaj.
 — Więc widzisz, Lolka, ja się nie chcę żenić, bo po pierwsze, ja ciebie platonicznie kocham; bo po drugie, mój herb jest za mały w stosunku do jej nosa.
 — Osa — sa — a.
 — Aaaa.
 — Bo po trzecie, Lolka, ona ma gminne nogi.
 — Ogi — gi — iiii.
 — Lolka, ty jesteś subtelna — ty mnie zrozumiesz... Bo uważasz, Lolka, istnieje dwa tysiące gatunków nóg — są różne nóżki.
 — Oj, gadaj — gadaj... mnia, mnia, mnia, mnia...
 — Są, widzisz, Lolka, nóżki figlarne — są, widzisz, Lolka, nóżki rasowe — są, widzisz, Lolka, nóżki kapryśne, z diablikiem — nóżki demoniczne, szatańskie, błyskotliwe, zadumane — są, widzisz, Lolka, nóżki nerwowe, wabiące, dumne, wytworne i pogardliwe — namiętne i pocziwe — i każde z nich w pewnych chwilach mają swój uroczek... Ale nogi handlarskie, parwieniuszowskie — nożyska panny Salcze Apfelgold — brrr!
 — Lolka, masz minę, jakbyś się chciała zarumienić.
 — Lolka, nie żenuj się: nadmij się, to może się i zarumienisz.
 — Lolka, daj buzi w najgorszym razie.
 — W górę, Lolka! niech żyje Lolka.
 — Brawo!... Nasza Lolka!... Nasza!
 — Asza — sza — aaa.
 — Kto by na Lolkę słowo rzekł — tego bym siekł i siekł, i siekł...
 — „Gdyby nie dzieatek pacierze...”⁹⁸

Tytuł: *Dziecko salonu*. Trochę jak romans sensacyjny z „Petit Parisien”⁹⁹ albo „Lecture pour tous”¹⁰⁰. — A na ogół — bzdurstwo — i spać mi po nocach nie daje.

JURAŚ NIE WIEDZIAŁ

Upić się — upić się — upić!

Gwar. Zaduch — w trzeciorzędnej traktierni¹⁰¹...

⁹⁶ „Bocian” — krakowskie pismo humorystyczne wydawane w latach 1896–1900. [przypis edytorski]

⁹⁷ „Kronika Rodzinna” — popularne pismo katolickie, od 1901 z podtytułem „Tygodnik religijno-społeczny, ilustrowany, dla rodzin katolickich”. [przypis edytorski]

⁹⁸ *Gdyby nie dzieatek pacierze...* — cytat z ballady A. Mickiewicza *Powrót taty*. [przypis edytorski]

⁹⁹ „Petit Parisien” — paryski dziennik społeczno-literacki ukazujący się od 1875 r. [przypis edytorski]

¹⁰⁰ „Lecture pour tous” — fr. magazyn ilustrowany, w którym publikowano powieści. Ukazywał się w latach 1898–1939. [przypis edytorski]

¹⁰¹ *traktiernia* (z wł. *trattoria*) — jadalnia. [przypis edytorski]

Na jego żółtej czaszce biela się kosmyki siwiejących włosów. Drżącymi palcami przetrząsa kieszenie; wyjmując złamany papieros — poślinił — i tocząc w palcach koniec papierosa, stara się go wtłoczyć w munsztuk¹⁰². Tytuł sypie się na skłębioną brodę.

— Może pan pozwoli?

— I owszem, dziękuję panu... Ja kiedyś cygarami także częstowałem, ale teraz nie ma „nervu rerum”¹⁰³ — rozumie pan? — Bo ja jestem z powołania i talentu artysta skrzypek, były laureat konserwatorium warszawskiego muzycznego. Barcewicz¹⁰⁴ pan zna, prawda? — Sława — gwiazda — gwiazda nad gwiazdami. I Michałowski¹⁰⁵ także — i Noskowski¹⁰⁶ także! — Ale o mnie pan nie słyszał — co? — Bo ja, panie — ho, ho!... O, widzi pan: zapalka? — Ścieli drzewo, narobili patyków, naleli na łeb siarki — i włożyli do pudełka. A teraz ja pocieram siarkę — o tak — zapalam papieros — o tak — a zapalkę o ziemię, a potem do śmietnika — bo się już łep wypalił: nie ma siarki, bo się już wypaliła. I na śmietnik... Ładna sztuka magiczna — coo?

I patrzy na mnie uparcie.

— Ej, kelner! Przynies lejek z bufetu.

Kelner nachyla się i szepcze mu coś do ucha.

— Głupi jesteś... To nie twoja chamska rzecz... Przynies lejek, kiedy każę — i basta... On ma znowu kłopot, że ja pana chcę naciągnąć.

— Nie, ja owszem... Ja tu nikogo nie znam... A samemu nieprzyjemnie pić... Proszę jeszcze jeden kieliszek...

— O, widzi pan: lejek... Niby nic, a właśnie w tym jest najważniejsza filozofia życia i istnienia. Tylko to trzeba widzieć, patrzeć i rozumieć... Niech pan patrzy: lejek, prawda? Tylko że pan jest tu, na górze, gdzie szeroko, a tam coraz głębiej i coraz bardziej wąsko — i to się nazywa matnia... Bo matnia, proszę pana, to taki lejek w sieci, a sieć! — to życie i byt... Woda niesie rybę — i ryba uderza łbem w sieć: gdzie rusz, to sieć — a woda pcha i pcha... I ryba rzuca się to tu, to tam — aż znajdzie okienko — i to okienko to właśnie lejek matni. A jak już tam wpadnie, to dopłynie do końca, bo myśli, że tam jest otwór, a tam jest matnia — ha, ha, ha! — i już koniec... Ładna sztuczka magiczna, coo?

I śmieje się zamglonymi oczami pijacko, beznadziejnie.

— Ja wiem, co pan sobie myśli, ale mnie nic do tego... Ja tam o nic nie dbam, bo ja jestem filozof bytu i życia... bo ja mam swoją wolę i myśl... Pan pamięta ten figiel z zapalką?... Ja wszystko wiem i wszystko rozumiem, i ja właśnie tak rozumiem, jak potrzeba... Niech sobie Barcewicz będzie Barcewiczem, a ja jestem ja — i dosyć... Jedno tylko panu powiem: świat — to jest ludzkość, a ludzkość — to dusza pijaka; a w duszy pijaka jest znowu świat — i tak w kółko, w kółko, w kółko... I właśnie dlatego ja jestem ja i nigdy się nie poniżę, bo mam filozofię dumy w duszy, w sercu i w wypalonej głowie — tu, o, tu... Ładna sztuczka magiczna — co?

I stuknął palcem bezmyślnie w pomarszczoną, brunatną skórę łysej, wielkiej czaszki.

Coraz natarczywiej rozlega się nawoływanie gospodarza i służby, aby się rozchodzić. We drzwiach staje stójkowy. Sala pustoszeje.

— Jak pan jest literat, to pan musiał znać nieboszczyka Kościńskiego¹⁰⁷. Szkoda go, bo to był człowiek. Pan rozumie: człowiek. Miał mnie opisać, ale... siarka się wypaliła... Bo pisać a pisać — to nie jedno. Jeden napisze, to aż włosy stają na głowie. Taki *Żyd wieczny tułacz*¹⁰⁸ albo *Monte Christo*¹⁰⁹, albo największy na świecie pisarz i literat Hen-

¹⁰²munsztuk (z niem. *Mundstück*) — ustnik. [przypis edytorski]

¹⁰³nervu rerum, właśc. *nervus rerum* (łac.) — moc sprawcza, żartobliwe określenie pieniędzy. [przypis edytorski]

¹⁰⁴Barcewicz, Stanisław (1858–1929) — wirtuoz skrzypiec, pierwszy skrzypek w operze warszawskiej, profesor w Instytucie Muzycznym. [przypis edytorski]

¹⁰⁵Michałowski, Aleksander (1851–1938) — prowadził w konserwatorium muzycznym klasę wyższą fortepianu. [przypis edytorski]

¹⁰⁶Noskowski, Zygmunt (1846–1909) — kompozytor, dyrygent, nauczyciel muzyki i śpiewu, skrzypek. [przypis edytorski]

¹⁰⁷Kościński, Paweł (1860–1896) — komediopisarz, poeta, aktor. Sekretarz redakcji „Kołców”. [przypis edytorski]

¹⁰⁸*Żyd wieczny tułacz* — tytuł powieści sensacyjnej Eugène Sue (1804–1857), której akcja dzieje się w latach 30. XIX w. [przypis edytorski]

¹⁰⁹*Monte Christo* — bohater powieści historycznej Aleksandra Dumasa (1802–1870) *Hrabia Monte Christo*. [przypis edytorski]

ryk Sienkiewicz, albo nasz wieszcz i mistrz Adam Mickiewicz... Ja panu mogę pokazać wszystko, od podziemi aż do największych pałaców — a potem pan dopiero weź się do pióra — i pisz dla ludzi i dla pokoleń...

Chmury wałę na niebie. Ciemno i samotnie — i mroźno — i duszno — i ciężko, aż tłoczy.

— Chodź pan, to się jeszcze napijemy... Jak tu zamknięte, to gdzie indziej otwarte — i tak ze wszystkim.

Ej dziewczeczko, dziewczeczko, dziewczuszko,
Twoje łono — gwiazdy dwie.

Mizoginia

Uszczypnął przechodzącą dziewczynę.

— Won, ty pijaku!...

— Cooo? Coś ty powiedziała?... Chodź tu, psiawiaro, słyszysz?... Chodź tu, niewolnico, kiedy mąż... czy... zna ciebie woła... Rozumiesz, psiakrew — mąż... czy... zna — ja — mąż... czy... zna.

— Zostaw ją pan.

— Pan się za nią nie ujmuj... Pan myśli, że kobieta — to co? Ona wiedziała, że nie mam rubla, to mi powiada: won... Ja wiem — ja wszystko wiem — ho, ho!... Honor to rubel — miłość to dwa ruble, a cnota i wierność, oho, ho! — to już całe sześć złotych groszy dwadzieścia... Ja nie mówię: niech sobie będzie, jak jest — ale to panu powiem.

Przystanął — oparł się o latarnię ciężko, bezwładnie.

— Niech pan sobie to tylko zapamięta: że dusza ludzka może być sobie jaka chce — choćby robaczywa, choćby zgniła, choćby najgorsza — byle tylko nie zaśmierdła — bo wtedy już nic nie pomoże — wtedy już wszystko przepadło i wszystko zginęło.

Idziemy Nowym Światem.

— O, widzi pan: przejechała dorożka na gumach i obryzgała nas błotem. I o tym już pisały i gazety, i wszystkie pisma. A jak dorożkarzowi dadzą rubla, to on jedzie. Pan rozumie: rubla? — To się z tego trzeba śmiać i płakać — i to się nazywa Sodoma. A ja właśnie jestem ten słup soli, który na wszystko patrzy. Bo niech pan tylko patrzy.

Zatoczył ręką koło.

— Widzi pan te domy? Takich domów jest miliony i miliony. — A kto w nich mieszka? — Ludzie. — I o czym myślą? O szczęściu. — A co będzie za pięćdziesiąt lat? Domy. A co w tych domach? — Ludzie. — I o czym będą myśleli? — O szczęściu. — A co będzie za sto lat? — Domy. — I o czym w nich będą myśleli? — O szczęściu. — A co będzie za dwieście lat? — To trzeba rozumieć filozofię i życie.

Dwa szeregi latarni i dwa martwe szeregi domów z czarnymi kwadratami okien — ciągną się w dal bez końca.

— Widzi pan ten pomnik? To jest Kopernik; to jest światło, nauka i wiedza. A to jest znowu kościół i krzyż — to jest wiara. A między tym jest ulica; — cooo? — Ja jestem szczerzy katolik. Ładna sztuczka magiczna — prawda?

Przeżegnał się, pochylił głowę, zgarbił i szedł bezwładnym, automatycznym krokiem.

— A to jest znowu uniwersytet: to są akademicy i studenci — to są doktorzy i inżynierowie. — A to są znowu pałace i arystokracja. A to znowu — „Bristol”¹¹⁰ — to jest technika i przemysł. Ja panu wszystko mogę wytłumaczyć, tylko niech pan patrzy i słucha.

Przystanął.

— A oto pomnik rodaków dla Adama, który był twórcą; to jest serce i poezja, i szczyt na wyżynach — najwyższy szczyt.

I stał tak z odkrytą głową, zgarbiony, pokorny, w lachmanach, a ciężkie krople deszczu, spadając na woskową czaszkę pijaka, lśniły w gnuśnym świetle latarni ulicznej.

— A to jest znowu „*res [sacra] miser*”, co znaczy: „kochaj bliźniego”. Pan mnie powinien zrozumieć.

Śmieje się przykrym, nieprzytomnym śmiechem.

¹¹⁰Bristol — hotel przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, wybudowany w 1901 r. [przypis edytorski]

— A to jest Stare Miasto: to jest rozpusta, nędza i ciemnota. A my tutaj zaraz: tu otwarte. Ja panu mówię, że otwarte.

Zadzwoił do bramy domu.

Czarna sień. Drzwi niskie.

Izba brudna. Przy stole siedzi ośmiu mężczyzn różnego wieku. Izba tonie w kłębach gryzącego dymu.

— Oto dno pieczary: tu pan ujrzyś upadek i nędzę moralną — i zrozumiesz pan prawdziwą filozofię.

— Artysta, nie małpuj no! Postaw co lepiej. Te, fater¹¹¹: dziesięć białych¹¹². Góral¹¹³ płaci. Pan nietutejszy?

— Ja? A tak: nietutejszy — zupełnie nietutejszy. Ja, widzicie panowie — ja nie wiem, jak to powiedzieć, to jest ja nie wiem, czy mnie panowie zrozumiecie?

— Co nie mamy zrozumieć: my wszystko rozumiemy.

W twarzy jego przebiegłość i złośliwość.

— Ja, widzicie panowie, to jest mój ojciec — jest, proszę was, bogaty: ma fabrykę mydeł i perfum.

— I pewnie skąpy? Git!¹¹⁴ Zaraz możemy ubić interes... Panu pewnie potrzebne pieniądze — co? Możemy iść do Żyda; podpisze pan rewers, i będą pieniądze... No, pijemy... Artysta — co tam nowego w świecie? te — Barcewicz — śpisz? kiedy dasz koncert w Filharmonii?

„Artysta” wyjął z kieszeni starą gazetę zniszczoną i potuszczoną, wyjął z niej wyblakłą fotografię i podał mi w milczeniu.

Fotografia przedstawia chłopczykę; chłopiec trzyma w ręce skrzypce. Taka sobie pogodna, bez troski postać dziecka.

— To pana syn?

Potrząsnął głową przecząco. Wziął mi z rąk fotografię, położył ją ostrożnie na pomarszczonej dłoni i patrzył długo.

— Nie, to nie mój syn. — Nie, nie — nie syn. — Ten mały Juraś to ja — to ja sam. — Tak, tak. — Inny ja teraz — co?

I mówił czule, pieszczotliwie, szarpiąco:

— Mój mały Juraś, mój maleńki — moja biedota mała. — Juraś nic nie wie... Juraś nic nie rozumie... Biedne dzidzi nic nie wiedziało. — Juraś nie wiedział, ale ja teraz wszystko już wiem — całą filozofię wiem. — Psiakrew — życie!

Zasłonił ręką czoło, a po zmarszczonych palcach toczyły się łzy. — Drżał — lkał.

— Co on za jeden? — zapytałem z trwogą.

— Takich nie sieją... mało się to tego tłucze po naszych czyścicach?

— Ale on płacze?

— A pan myśli, że to on płacze: to wódka płacze... Pęta Barcewicz — mazgaj... Tu wymani¹¹⁵, tam przepije — i git!... Te, artysta, sztyl¹¹⁶... No, a jak będzie z naszym interesem?

— Z jakim?

— No, z tymi pieniędzmi.

— Nie chcę.

— Ojca się pan boi?... ja zaraz poznałem, że pan nieoblatany jeszcze, ale artysta pana wykształci: on umie filozofię.

Straszno mi było pośród tych ludzi-Morloków¹¹⁷.

— To może już jutro?

— Po co jutro? Żyd do interesu wylizie spod dziewiątej pierzyny... No więc?

— Nie chcę! — powiedziałem ostatnim wysiłkiem woli.

¹¹¹fater (gw. warsz.) — ojciec; kelner. [przypis edytorski]

¹¹²biała — herbata na pół ze spirytusem. [przypis autorski]

¹¹³góral — obcy. [przypis autorski]

¹¹⁴git (gw.) — dobrze. [przypis edytorski]

¹¹⁵wymanić, manić (gw.) — wyludzić, bałamucić. [przypis edytorski]

¹¹⁶sztyl (z niem. still) — cicho bądź! [przypis edytorski]

¹¹⁷Morlok — z powieści George’a Wella (1866–1946) *Webikul czasu*. Morlokami nazywano tę część ludzkości, która zamieszkała pod ziemią i ciężko pracowała, żywiąc się ciałami. Przeciwstawiona była Elojom, beztroskim mieszkańcom powierzchni. [przypis edytorski]

— To nie... Pan myśli może, że my się od razu na panu wzbogacimy?... Nam pieniędzy nie brak... Jak nie ma, to będą... Pan tu przyjdzie jeszcze do nas... Płaci pan, bo jak nie, to nie trzeba: nam i tak skredytują!

Zapłaciłem i uciekłem.

Między dniem wczorajszym a dzisiejszym upłynęło tyle czasu.

Szedłem z zamkniętymi oczami, po pięć, po dziesięć, piętnaście kroków: To tak wygodnie: nie myśli się o niczym więcej, tylko żeby łbem nie wyrznąć o latarnię.

Uderzyłem pięścią w drzwi.

— Co za bydlę? — rozległ się głos Janka.

— To ja! Otwórz.

— Ach to ty?... Nie mogę... Zaczekaj.

— Niech pan nie wpuszcza — usłyszałem głos dziewczyny.

W uchylonych drzwiach ciemnego pokoju stanął Janek w negliżu.

— Idź do Rozkraczajły... Jest tu list do ciebie. Wstawiony jesteś?... Nie wiedziałem, gdzieś się podział... Poczekaj: zaraz ci dam.

List od matki. — Prawda: ja mam przecież matkę.

Litwin ucieszył się: on się zawsze z wszystkiego cieszy.

— Wyście znużeni, więc połóżcie się na łóżku, a ja sobie na kanapie.

— Nie chcę: śpijcie w łóżku.

— Kiedy, widzicie, ja nawet wolę.

— Nie chcę — rozumiecie? Nie męczcie mnie... Nie męczcie mnie, bo oknem wyskoczę... Połóżcie się i śpijcie.

Uśluchał.

Siadłem na kanapie, przysunąłem świecę.

„Drogi synku! Wierz mi, że źle robisz. Nie chcę ci robić wyrzutów, bo nie wiem, o czym mówiłeś wtedy z ojcem. Ale żebyś ty wiedział, co się u nas dzieje, tobyś się zlitował nad nami. Bo ty nie możesz wiedzieć, co to jest uczucie rodziców do dzieci”.

I dwudziestopięciorublowy papierek.

Zgasilem świecę.

— Słuchajcie: ja mam dwie poduszki. Nie gniewajcie się: ja was tak lubię.

— To się ożeniecie i będziecie mieli uczucie rodziców do dzieci.

— Dać wam jedną poduszkę?

— Nie.

Odwrócił się do ściany i westchnął.

W głowie huczy, bije w skronie.

„Co będzie za sto lat? — Domy. — A w tych domach? — Ludzie. — Co to jest szczęście? — Co to jest śmierć? — Co to jest życie?”

I znów:

— Po co?

„Biedny Juraś... Juraś nie wiedział, ale ja wszystko — wszystko wiem”.

Podąłem nowe ogłoszenie:

„Korepetytor skromnych wymagań poszukuje kondycji; i przyjmie wszelkie warunki”.

I otrzymałem ofertę:

„Czytałem, że pan szuka *mniejsza* więc może pan *pofatęguje* się do mnie, bo ja *potrzebuję* do dzieci akurat skromnych wymagań”.

Pod nazwiskiem i adresem grubymi literami dopisano:

Właściciel domu.

KONDYCJA

Jak sobie ułoży kto życie z zastanowieniem — mówi mój chlebodawca — to zawsze do swojego *dońdzie*: będzie miał i swój kieliszek wódki na starość, i swój kawałek chleba. Ja tam zacząłem od dziesięciu palcy, a jestem gospodarzem domu. Ale potrzeba mieć zastanowienie, a nie jak inni, co to dziś zjadł i wypił, a o jutro nie stoi.

Był ogrodnikiem — pracował i oszczędzał.

Ożenił się ze starszą od siebie wdową, ale bezdzietną i z pieniędzmi. Złożyli fundusze do kupy i kupili ogród, który na plac zamienili. Place na Woli poszły w górę; odprzedali

połowę, a na swojej wybudowali dom drewniany, kuźnię i stajnię — i żyją z dochodów od domu.

Nie łajdaczył się on, nie wałęsał jak inni, więc jest zdrow, ma troje dzieci — i chce je uczyć, bo nauka świat człowiekowi otwiera.

Jeden pokój ja zajmuję z chłopcami, drugi — oni z Manią — bo niedobrze, jak dziewczyna z chłopakami śpi w jednej izbie: zawsze tam, nigdy dziewczynie skromności nie za dużo.

— Ja szanuję naukę — powiada — bo dzisiaj człowiekowi trudno bez nauki na świecie. Pan Bóg mi dopomógł za moje uczciwe życie, więc dlaczego nie mam dzieciom drogi ułatwić? — Co będzie do nauki potrzeba, ja wszystko kupię; nie potrzebuje pan nic żałować. Wolę ja sam nie dożyć, a na kajety nie poskąpię; niech dużo piszą, żeby im się ręka włożyła do pisania.

Otrzymuję dach, stół, opranie i pięć rubli na miesiąc.

— Jak zobaczę, że pan uczciwie koło tego chodzi, to już sam panu postąpię. — Bo tu chodził do nich jeden nauczyciel, ale już za stary i po rusku dobrze nie umiał. A tego znowu ucznia to nic słuchać nie chcieli. Bo z nimi trzeba ostro: nie ma co się manić, przepustu nie dawać.

— A pan może dawać na fortepianie? — pyta żona.

— Forte pian to tam mniejsza, byle tylko do *gimnazji* zdali. Mieszka u nas na facjacie jedna kobieta, — to tam *jeich* i uczy. Trafiał mi się tu za sto rubli zagraniczny fortepian z dwoma pedałami, ale ja wolę, żeby się na cudzym nauczyli, bo dobry fortepian psuje się od nauki.

Wicus ma być adwokatem, bo adwokat — to tylko jeden amerykański spadek — i już ma jakie sto albo dwieście tysięcy. Dobry i inżynier, ale to już zawsze robotnik, bo na gwizdek musi tak samo do fabryki dymać jak i inni. Oleś jest jeszcze mały; niby ma ochotę na księdza — i księdzu także dobrze — niczego sobie — ale to się jeszcze może odmienić. A Mania musi wszystko umieć, żeby się wygładzić, a potem, jak wyjdzie za mąż — żeby jej rodzina męża palcem nie wytykała.

Są dla mnie idealnie dobrzy, starają się aż do znudzenia odgadywać każde moje życzenie. Wyniosły pan gospodarz jest aż przykro uległy; krzykliwa pani chodzi na palcach i mówi szeptem, gdy mam lekcje. Mnie i dzieciom ustąpili swe pierwsze w domu miejsce, bez szemrań, bez wahania.

Dla szczęścia dzieci!

I tak wierzą, tak głęboko wierzą, tak bez zająknięcia.

Niežnośnie kręci się w kółko młyn diabelski życia. — Żal mi ich, żal — smutnie...

Wstaję o godzinie szóstej jak wszyscy — choć prosili, żebym spał do dziewiątej — bo jestem pewnie przyzwyczajony do tego. Myję się w glinianej misce, choć chcieli mi odstąpić stojącą dla ozdoby umywalnię z fajansową miską i dzbankiem. Herbatę piję wraz ze wszystkimi w kuchni, choć chcieli mi nakrywać w pokoju, bo „pewnie jestem do tego przyzwyczajony”.

Męczą mnie swą ciekawością. Skąpo udzielam wiadomości co do swej osoby.

O ósmej zaczyna się lekcja.

Dzieci są zdrowe, proste — ludzie jutra. Jest w nich jakiś niemiły zdrowy rozum i żadnej myśli bezinteresownej, żadnej wrażliwości.

Modlą się, bo stara czarownica — kościana noga — zabiera dzieci, które nie mówią pacierza. Uczą się, bo boją się paska ojcowskiego, bo mama obiecała pierogi z powidłami w niedzielę, bo Wicus chce jeździć kareta, bo Mania imponuje na podwórku dwunastoma francuskimi słówkami. — Podczas lekcji są tępe, bezmyślne, poza nauką — sprytnie i jakoś przebiegle dojrzałe.

O dwunastej obiad.

Oni, rodzice, wypijają po kieliszku wódki przed obiadem, mnie chcieli dawać dwa kieliszki, bo w gardle zasycha od mówienia. Oni zagryzają chlebem z solą, mnie proponowali śliwki marynowane.

Nie wierzą, gdy powiadam, że czegoś nie wiem. Są podejrzliwi i nieufni; przypuszczają, że nie chcę powiedzieć: toć w szkołach wszystkiego uczą.

Nie mogą zrozumieć, dlaczego nie chcę czytać kurierów, dlaczego mówię, że nie obchodzi mnie polityka. Kupują na przemian, co dni parę — raz „Polski”, a raz „Poranny” — bo z pierwszego można się więcej dowiedzieć, a drugi za to ciekawszy.

Po obiedzie znów lekcja — do podwieczorku.

Dzieci idą na podwórze; ja gaszę lampę, siadam z papierosem przy oknie — i patrzę na czerwony kwadrat kuźni na drugiej stronie podwórza, na przęcającą się miarowo postać kowala, snopy krwawych iskier, pryskających spod młota.

Patrzę — i nie myślę.

Wchodzi mój chlebobawca i pyta:

— Co pan myśli? Czy zdadzą? — Proszę pana na herbatę. — Ale po co pan tak po ciemku siedzi?

*

Ulicą Wolską wyrobnicy wracają po pracy.

Suną w cieniu, a nad nimi brunatne niebo, polatane czarnymi chmurami. Sylwetki szare znaczą się mętnie.

Ubrani w krótkie waciki, z tobołkami w rękach, brudni, spoceni, zgięci — idą, stąpając ospale i ciężko, z łoskotem — w grubych buciskach.

Niektórzy niosą na plecach przewiązane chustką lub sznurem kawały kradzionego drzewa — na opał.

Krzyżują się pojedyncze zdania, twarde, urywane.

Młodzi brutalnie zaczepiają przechodzące dziewczyny. Tę szturgnie, wymijając, łokciem, aż się zatoczy nad rynsztok lub oprze o ścianę; tamtą uszczypnie — dziewczyna krzyknie z bólu i zaklnie:

— Bodaj cię cholera...

I śmieją się sucho, gardłowo.

Obok chłopcy — wyrostki idą pochyleni, naśladowując ciężki, leniwy chód dorosłych. Tylko mocniej wymachują rękami.

Groźny, ponury pochód, pod ciemnym niebem, przy majaczącym blasku podmiejskich latarni.

Boję się ich. Zrazu nie zdaję sobie sprawy z uczucia niepokoju, któremu ulegam. Jest to w zawiązku strach Eloja na widok Morloków¹¹⁸.

Idą grupami, po killku.

W ich powolnych, upartych ruchach wyczuwam nieświadomą siebie siłę mięśni, które potrafią się kurczyć na moc stali...

Co mnie łączy z nimi?

Dać im kulturę — to zacząć od rękawiczek i zagranicznego fortepianu „z dwoma pedałami”.

Równość? — Więc kraść wolno. Wolność? — Więc można rozbijać bezkarnie żydowskie kramy.

Głupi Żeromski i głupi jego *Ludzie bezdomni*.

— Ci zgięci wyprostują karki, gdy nas już pożre nasza tingłowa kultura¹¹⁹; oni, wypoczęci pod twardą skorupą roślinnego życia, ockną się ze snu, gdy nas pochłonie i na miał rozbije malstrom¹²⁰ naszych wahań i pytań bez odpowiedzi!

A po nich nowi przyjdą...

Jestem rozdrażniony. Głowa mnie boli. Dnie robocze jako-tako mijają. Niedziele mnie męczą...

*

¹¹⁸Morlokowie — czytaj: Wells, *Podróż w czasie* [*Podróż w czasie. Opowieść fantastyczna*. Z angielskiego przełożył Feliks Wermiński, Warszawa 1899. Ob. tłum. jako: *Webikul czasu*; red. WL]. [przypis autorski]

¹¹⁹tingłowa kultura (od *tingel-tangel*: podrzędna kawiarnia, restauracja) — płytka, trywialna. [przypis edytorski]

¹²⁰malstrom, właśc. *Malström* — silny prąd u wybrzeży Norwegii. [przypis edytorski]

Poznałem nauczycielkę muzyki moich pupilów. Jest to wdowa po baletniku czy chórzycie. Zajmuje ze swą Janką facjatę. Wielkie pudło przedpotopowego fortepianu zawała pół izby. Łóżko, stolik i dwa krzesła — to wszystko. Nawet komody, nawet ulubionego kufierka — nie ma; — nędza.

Omaliem nie pozbawiłem jej wygodnej lekcji za mieszkanie; dopłaca tylko rubla miesięcznie. Staralem się przekonać moich chlebobawców, że, jakkolwiek sam grać umiem, jednakże uczyć „na fortepianie” nie potrafię w żaden sposób.

Janka ma sześć lat, czarne wielkie ślepie i marzy o lalce, która zamyka oczy. Dziecina drobna, robi wrażenie kwiatu zerwanego, który musi umrzeć prędko. Drobne to i wdzięczne, i dziwnie smutne. Kiedy po heroicznych wysiłkach skończyłem marsza żalobnego, maleństwo nieruchomo patrzyło na mnie.

— Ładne? — zapytałem.

Nie odpowiedziała.

Matka pochwyciła ją, posadziła na kolanach i dziwnie jakoś całowała.

„Był nastrój”.

Zapewne dziecko miłości.

Tragedia z facjaty przy starym klekocie. — Podły ten Nowaczyński!

*

Pan gospodarz chciał wyrzucić lokatora. Na moje usilne prośby pozostawił go.

Jest to mieszkaniec Pułtuszka czy Pińczowa. Olśniony opowiadaniem o Warszawie, przyjechał tu z żoną i pięciorgiem dzieci, kupił za czterysta rubli sklepik od oszusta i w dwa tygodnie osiadł na bruku. Zna się trochę na szewctwie i przyjmuje robotę od łaciarza-pryncypała.

— I ja mam serce — bronił się mój pan — ale jak człowiek sam twarde życie miał, to nie umie się nad każdym litować. Ja nie zdieram, nie gnioję jak inni, ale co mi się należy, to chcę, żeby płacili. I nie można inaczej. Jeden poprosi, żeby mu ulżyć, to drugi zaraz zażąda i jeszcze będzie groził. Pan *jeich* nie zna. To jest czarny naród. Jemu na zabawę i na poczęstunek wystarcza, a na komorne nie. Niech pan zobaczy, jak Żydzi robią. Taki bogaty Żyd kupi dom. On nie chce użerać się z lokatorem, to on sobie puszcza dom w dzierżawę; dzierżawca od razu mu za rok z góry zapłaci. Ale i dzierżawca bogacz, jemu się także nie chce, bo ma takich domów z dziesięć. Więc bierze administratora. Jak sam płaci dzierżawy trzy tysiące, to chce mieć trzy tysiące pięćset na przykład, a o resztę nie stoi. A administrator jeszcze ma rządcę i każdy na swoją stronę lokatora drze, i na swoją stronę kręci. Rządca za byle co zaraz wyrzuca i naumyślnie dopieka, żeby się ciągle wyprowadzali, bo on dostaje kontraktowe¹²¹. Administrator żadnej reperacji nie robi bez tego, żeby choć połowę nie wydusił od lokatora do kieszeni. A dzierżawca znowu ciśnie i podnosi komorne. To z jednego domu żyją cztery rodziny, i elegancko żyją. A za wszystko płaci robotnik, bo to biedota, panie. A na mnie jednego żeby nie mogli zarobić? Krzywda im? — Sam wszystkiego dojrzę i o wszystkim pamiętam. Mnie jego żal, ale sam sobie winien. Siedział w dziurze, miał swoich pięćset rubli — siedź, nie pchaj się do miasta, kiedy ciebie nie proszą, nie szukaj guza, kiedy masz pięćset dzieci. Bo kto najwięcej ucierpi? Wiadoma rzecz: dzieci. Ale to prostota, panie, chamy — czy oni to rozumieją?

Ostatecznie obiecał czekać jeszcze dwa tygodnie.

Z ŻYCIA

Pan Antoni miał warsztat szewski w Ubożowie. Pan Antoni miał żonę, dzieci pięćset i pięćset rubli, gdy go bracia spłacili. — Bogacz — i tyle!

Pan Antoni miał szwagra w Warszawie, jako że z siostrą jego był żonaty.

Przyjechał szwagier na święta, wypił kieliszek jeden, drugi i piąty — i o Warszawie dziwy jął opowiadać wielkie.

— U nas — powiada — wszystko zupełnie inaczej. Wyjdiesz na ulicę, a chcesz przejść na drugą stronę, to stój pół godziny i czekaj, aż przejadą wszystkie omnibusy, powozy,

Miasto

¹²¹kontraktowe — procent od zawartego kontraktu. [przypis edytorski]

elektryczne samochody, tramwaje i dorożki; a jeszcze są takie wagony do przeprowadzek, co większe od największego waszego domu. — Idziesz trotuarem, to musisz iść rzędem, w porządku, bo inaczej zaraz aresztują; bo jakby chciać kogo wyminąć, to albo ciebie na śmierć zgniotą, albo ty kogo udusisz. — Każdy sklep to jak u was jarmark, a każdy dom — to jak cała wasza dziura. Jak nie wiesz numeru od szwajcara, to możesz dwa dni chodzić po korytarzach i nie znajdziesz.

— A zarobki jak? — pyta Antoni i nalewa nowe kieliszki.

— U nas jest zupełnie inaczej — mówi szwagier. — Najtrudniej zbić pierwsze sto rubli. Jak ja to jestem najstarszym w całym hotelu nad omnibusami, a hotel taki, że cała wasza dziura trzy razy się w niego owinie. A właściciel tego hotelu był naprzód posługaczem w knajpie, a potem kuchcikiem. Dopiero jak mu rodzina pożyczyła sto rubli, to tak się zawinął, że dzisiaj inaczej nie, tylko z hrabiami. — A jakże tam szwagier z braćmi? Czy już zapłacili szwagrowi?

Pan Antoni bał się przymówki o pożyczkę, więc odpowiedział:

— Jeszcze nie skończone. Precz kręcą i szachrują.

— A ja radzę szwagrowi: niech bierze, co dają — i niech do nas przyjeżdża. Już ja wam co dobrego wyszukuję...

Coś pół roku później pan Antoni przyjechał z rodziną do miasta obiecane, gdzie złoto tak się przewala, aż ćmi w oczach, gdzie aby mieć sto rubli, to możesz mieć migiem taki hotel, w który się cały Ubożów trzy razy owinie, gdzie można zarobić, zabawić się i dzieci wykształcić.

Jak złe ma człowieka wprowadzić w nieszczęście, to mu najisamprzód rozum odbierze, a potem już, jak ślepego, prowadzi na zgubę.

Jakże mógł wierzyć szwagrowi, jakże to sam najprzód nie pojechał na zwiady?

Kiedy wszedł między mury, to jakby mu kto oczyma zasypał: aż szczypie, taki zaduch i hałas. — Chciał zaraz wracać z powrotem, ale mu wstyd było. — Oj, bodajby był wrócił, bodajby!

Ledwo się dopytał o hotel. Ale tam szwagier żadnym najstarszym nie był, a tak po prostu przy omnibusach. A odszedł, będzie z pół roku. Odszukał go dopiero w „adresnym stole”¹²².

Przyjęcie było nie najlepsze. — Poradzić nie może, bo sam szuka dobrego zajęcia; był chory, zniszczył się. — Antoni mu wtedy skłamał, że nie ma pieniędzy, głupi jest, na interesie się nie zna — i tyle. Niech teraz sam sobie radzi.

Antoni żonę z dziećmi umieścił za drogie pieniądze w zajeździe, a sam szukał.

Kupił kurier, z trudem odczytał adresy sklepików do sprzedania — chodził — dowiadywał się — błędził po mieście. A bał się, a nie wierzył, a nie ufał. Skutek był taki, że po tygodniu poznał się z panem, który miał akurat sklepik, jakiego mu było potrzeba — za pięćset rubli.

Ten pan mieszkał z siostrą w dwóch pokojach na Chmielnej, miał aż trzy sklepiki do wyboru — jak cacka, a najlepszy na Chłodnej.

Ludzki był to człowiek. Poradził mu, wytłumaczył, jak jest w Warszawie, odwiedził go, dzieciom przyniósł marmoladki. Z początku odradzał kupienia sklepiku, bo to ciężka praca bardzo i w handlu dużo przykrości. Ot, sam on założył aż trzy sklepiki, ale po co mu, to? — A główne, że siostra jest słaba i nie może się męczyć.

Ale jak zaczęli radzić razem, to wyszło na to, że sklepik spożywczy jest *taki* i najlepszy. Bo życie przy tym nie kosztuje już nic, a zarobek idzie do kieszeni. Inna rzecz, jak on z siostrą tylko, to on o życie nie stoi. Ale siedem gęb zapełnić... Tak, sklepik będzie najlepszy. Tylko trzeba się poznać na handlu — chociaż to znowu nic tak trudnego. Trzeba tylko dwie rzeczy pamiętać ciągle — to jest: kredyt i obrót.

— Widzi pan ten woreczek z piaskiem? Pana ten piasek kosztuje złotówkę, a pan go sprzedaje za dwa złote. Niech pan pchnie tylko — no — jeden dziennie, to pan ma już trzydzieści złotych z jednego piasku na miesiąc. I to się nazywa obrót. A teraz za piasek pan nie potrzebuje płacić, aż dopiero po miesiącu, i za to może pan także dawać bez pieniędzy. A potem pan reguluje. I to jest kredyt, który pozwala panu sprzedać towaru

Handel

¹²²adresny stol (ros.) — punkt informacji o adresach. [przypis edytorski]

za tysiąc rubli, kiedy pan ma w kieszeni tylko sto, i kupić za tysiąc, jak pan ma w kasie trzy ruble.

A potem wyjął książkę, gdzie byli zapisani ci wszyscy, którzy mu są winni. Było tego na kilka tysięcy.

— A czy ja sobie poradzę? — przestraszył się Antoni.

— A rozumie się, że nie. To może pan zacząć od mniejszego.

— A czy to można tak, żeby i kupować, i sprzedawać wszystko za gotówkę?

— Można, ale pan sobie sam obrywa obrót.

— Bo ja chcę mieć na początek tylko tyle, żeby się nie zjadać. Bo Warszawa okropnie droga.

Roześmiał się „ten pan”.

— A czy warto pracować darmo? Jak to mówią, Maciek zarobił, Maciek zjadł!

— No tak — potwierdził Antoni, ale w duszy postanowił na początek skromnie prowadzić interes.

Nazajutrz nowy przyjaciel zabrał go z dziećmi, trojgiem starszych — do cyrku — żałował, że żona iść nie może. Miał tam darmo wejście.

— Wetrzesz się i pan. Z początku wszystko trudno i straszno.

Oj! straszno było Antoniemu — to prawda. Ufał i nie ufał, chciał i bał się. Aż zdobył się na heroizm i powiedział, że pięcioro drobiazgu, że to jedyne jego pieniądze, żeby mu ten pan poradził, że mu wierzy jak rodzonemu ojcu.

— Mój panie, ja wiem jedno: oszukać bym pana nie miał sumienia, bo pan ma dzieci; i nie miałbym interesu, bo dla mnie lepiej nawet, jak kupi taki, co się zna, żeby potem nie miał pretensji. Interes — złote jabłko — i tyle. A radzić panu nie mogę. Niech się pan popyta, rozejrzy, dowie, pomyśli; niech pan ze dwa dni posiedzi w sklepie.

Poszedł Antoni do sąsiedniego sklepiku w wielkiej tajemnicy. Odpowiedzieli mu ni to, ni sio.

— Jak panu powiemy źle, to pan powie, że zazdrość, a jak powiemy dobrze, to pan będzie pomstował. Życie w Warszawie ciężkie, i basta.

Zwyczajnie, nieżyczliwi dla obcego.

A tu pieniądze szły jak woda.

I stało się: kupił. Gotówką czterysta rubli położył.

Dawny właściciel przychodził przez pierwszy tydzień pomagać i nauczyć. Szczypał służące, uśmiechał się do kupujących. Antoni z żoną siedzieli i patrzyli. To znowu przychodził tam jaki Żyd po należność.

— Zatkaj mu pan gębę... Nie ma pieniędzy, mój starozakonny... Daj mu tam pan rubla...

I Antoni dawał rubla z kasy.

W głowie miał wir jakiś, w sercu strach i złe przeczucia.

Gorzej było jeszcze, kiedy został sam z żoną, i potem coraz gorzej i gorzej. To przychodzili jacyś ludzie z towarem, to znowu po jakieś pieniądze. Aż ktoś rzucił mu dwa straszne wyrazy:

— Oszukali cię!

Otworzyły się Antoniemu oczy, ale tylko trochę. Bo ten pan uspokoił go. Znowu dwa dni przychodził. Natarczywszym kazał znów dać po rublu, innych wymyślał i kazał im czekać.

— Ale za co ja płacę? — zapytał Antoni.

— Płaci pan pasywa sklepu. Przecież tu jest towaru nie za czterysta, ale za ośmset rubli.

Po dziesięciu dniach trzeba było kupić już cukier, bo zapas się wyczerpał. Piekarz nie mógł się dorachować z bułkami.

Poszedł pan Antoni do pana, który mu sprzedał sklep. Nie zastał nikogo. Poszedł drugi raz; zastał tylko siostrę.

— Proszę pana. U nas mówi się tak: widziały gały, co brały, i basta. Nie wiesz, nie bierz się. Nie umiesz, nie ruszaj.

Poszedł znów pan Antoni raz i drugi. Aż zastał i jego.

— Mój panie, ani ja pana ciągnąłem za nos, ani namawiałem. Interes był dobry i jest dobry. Jak pan klientom stęka, to uciekają od pana. Dzieciaki włóczą się po sklepie,

Handel

wszędzie paluchy brudne wsadzą. Gość tego nie lubi. Pan, zamiast pilnować interesu, łazisz tylko za mną jak cielę za krową, jęczysz pan, mnie pan obszczekuje na prawo i lewo...

— A dlaczego pan puste torby poustawiał w szafach? — zawołał Antoni nagle.

— A może do ubrania sklepu potrzebne panu torby z brylantami?... Idź pan do Stepkowskiego i zapytaj się pan, czy on nie ma w szafach pustych butelek, puszek i beczek...

Nie zna się pan — ot, co jest.

— Co będziesz gębę darł? — syknęła z kąta siostra — sprzedałeś i kwita.

— Ale nie: po co on ma myśleć, że go oszukałem?

— A co to ciebie obchodzi?

— Rozumie się, że mnie obchodzi. Bo na tym cierpi mój honor kupiecki... Tak, tak, mój panie, i pan się wetrzesz w miasto — i poklepał Antoniego po ramieniu.

Doprawdy — niezły człowiek. Tylko ta siostra — megera.

— A może by pan... może by — zająknął się Antoni.

Była to jego myśl, snuta po tysiąc razy podczas bezsennych nocy ostatnich tygodni — jego myśl wypieszczona: oddać sklep, odebrać pieniądze i uciec z Warszawy.

— A może by pan tak wziął nazad? Przecież pan sprzedaje?

Żadnej odpowiedzi.

— Ja bym panu za 350, nawet za 300 oddał.

— A ja panu i stu rubli dać nie mogę. U nas pieniądze to fiut! i nie ma nic. To właśnie całe nieszczęście, że pan handlu nie zna. Szkoda, że panu sprzedałem.

Pożegnał Antoniego, bo miał pilny interes na mieście.

Co robić? Pięcioro dzieci. Obce wielkie miasto.

Tak obrać człowieka, tak do cna, do suchego... Nawet stu rubli.

Poszedł Antoni do szwagra. Szwagier miał tymczasowe zajęcie w remizie wynajmu powozów. Ani chciał słyszeć, by przyjść i poradzić.

— Bez mojej rady kupiliście, to i bez mojej rady sobie sprzedajcie. Nie mój wóz, nie będzie mnie wiozł... Kto nawarzył, niech pije.

— Człowieku, przecież my ci nie obcy. Przecież to twoja siostra.

— W biedzie to każda siostra...

Przyszedł wieczorem po zamknięciu sklepu z jeszcze jednym swoim przyjacielem. Obejrżeli wszystko, przeczytali kontrakt. Antoni wpił się w nich oczami.

— Sprzedaj to szwagier za byle co, długi szwagier popłać, a jak ci się co zostanie, to kup wódki, wypij, gębę otrzyj i ludziom w oczy nie świeć. Tak, moi państwo: i w Warszawie psy boso chodzą.

Nastąpiła długa chwila milczenia.

— A nie można do sądu? — zapytała Antoniowa.

— Daj pan chojrakowi trzy błaty w garść, to mu zrobi sąd. Porządny adwokat tego nie weźmie, bo mu nie warto, a pokątny jeszcze ci kapotę zedrze.

— Sameś sobie narobił szwagier biedy. Żeby to na mnie, toby mnie raz polknął, ale trzy razy wyrzygał. — Od złodziei w Warszawie aż się roi. Tak, tak.

— A bo ja wiem, czy on złodziej. Żeby nie ta siostra.

— Siostra?! Gwizdnij no pan. Znamy takie siostry.

— Sam sobie szwagier winien. A teraz akurat jest magiel do sprzedania. Obok nas. Chleba byście mieli po uszy.

— Nie martw się pan. Powoli wetrzesz się pan w miasto.

Wypili jeszcze po jednym i poszli.

Więc zarznął się, dycht¹²³ się zarznął.

Ukrył twarz w dłonie.

Chłopak wylażł w koszulinie z łóżka.

— Mamo, jeść mi się chce!

— I mnie... — odezwały się dzieci.

Antoni drgnął.

— Weź tam matka trochę mąki ze sklepu i zrób im.

I jadły, gdy matka ugotowała kluski.

¹²³dycht (gw., z niem. *dicht*) — zupełnie, całkowicie. [przypis edytorski]

Antoni nie chciał jeść: to przecież nie jego mąka, to wszystko — kredyt. A on czterysta czterdzieści pięć rubli utopił. Szwagier mówił o maglu — podobno to dobre. A wtedy mówił, że sklepik dobry.

Jak to się „wetrzeć” w tę Warszawę?

Przysunął się i machinalnie wziął się do klusek.

*

Przeczytałem to moim pryncypałom.

— Pan z tego szewca tak sobie ułożył? — domyślił się. — Tak, panie Janie, to tak jest, jak pan tu napisał. To by nawet można było i do gazety dać, żeby pan jeszcze wszystko dalej skończył. — Niechby ludzie wiedzieli, jak to jest u nas w Warszawie. Ho! ho! żeby to ci panowie, co pisują do gazet — żeby to oni wiedzieli chociaż trochę, co to się u nas w Warszawie dzieje — co by to ciekawego można było napisać — ile by to można było dla ludzi dobrego zrobić.

— Ba, kiedy oni zwykle w knajpach tylko siedzą albo w teatrach — więc skąd mają wiedzieć? — powiedziałem.

— Nie wiem, gdzie oni tam siedzą, ale ja myślę, że toby można dużo ciekawego napisać.

Literat

W GĄSZCZ ŻYCIA

Wieczory spędzam u wdowy z facjaty. Moi chlebodawcy źli są na mnie i na nią — i zazdrośni. — Jak można przekładać towarzystwo nędzarki z wątpliwą przeszłością — nad nich, właścicieli domu na Woli?...

Pojechali z dziećmi na wieś na wesele, do rządcy, który ich dawniej nie znał — ale teraz, kiedy są bogaci — przypomniał sobie i zaprosił. — Chcieli mnie zabrać — nawet na własny koszt: zabawię się i podjem sobie. A jedzenie będzie dobre, bo pan młody z rzeźnickiej, ale bogatej familii; brat cioteczny jest księdzem.

Odmówiłem. Pojechali sami...

Patrzę na kuźnię. Kowal bije młotem, postać jego czerwieni się w ogniu i gaśnię. — Myślę i wsłuchuję się ciekawie we własne myśli.

Dopiero późnym wieczorem idę na facjatę.

— Czy można?

— Można, można... A ja już myślałam, że pan nie przyjdzie... Niech pan siada: o tu... Janka nie chciała iść spać, tylko czekała na pana. Przed chwilą zasnęła. — Jak to dobrze, że pan przyszedł!... Prawda, że nie zapalać lampy? Tak lepiej... Bo ja chcę z panem dziś długo mówić.

— Ale pani ma znowu gorączkę!...

— To nic — to zaraz przejdzie — to nawet lepiej. — Bo ja chcę pana o coś zapytać, to jest właściwie — chcę panu coś powiedzieć. — Ja nawet chciałam zejść do pana na dół, ale bałam się, że panu może będzie nieprzyjemnie. — Bo niech mi pan wierzy, że mnie nic a nic nie obchodzi, co oni na mnie gadają. — Tak mi było przykro ciągle, że pan mi wszystko o sobie powiedział, a ja panu — nie.

— Ale po co mówić? — To panią rozdrażni.

— Nie, nie... Pan mnie nie rozumie. — Może z początku to naprawdę — ale ja chcę. — Jak człowiek tak ciągle jest sam, to mu się nazbiera — tak mu się dużo nazbiera, że aż go dusi. — Jak ja o panu myślałam, to mi się zdaje, że szkoda, że pan nie chce być doktorem... Chociaż wiem, że oni nie mają czasu... Ale zaraz... Aha — więc tak...

Oparła głowę o róg fortepianu.

Światło z kuźni nie dochodzi do okna facjaty, tylko lekki refleks odbija się i gaśnię w jej oczach wielkich, czarnych, zaćmionych bólem myśli bezładnych i wyiskrzonych gorączką.

— Niech pan słucha...

Głos obcy, obojętny — jakby czytała lub opowiadała treść smutnej, dawno czytanej powieści.

— Jestem dzieckiem nieprawym. A matka moja była aktorką.

Pauza.

— Razem z matką grywałam w ogródkach — ja w takich dzieciennych rolach... A mój mąż był w balecie... Ja już panu mówiłam o mężu, ale wiem, że pan mi nie wierzył. — Pan myślał, że ja tak tylko...

Znów cisza.

— Tylko cztery lata żyłam z mężem, bo on już wtedy miał suchoty — to bardzo dziedziczna i nieuleczalna choroba!... Ale mniejsza o to... Więc grałyśmy wtedy z matką... Ja chcę panu opowiedzieć, — bo to ma związek z Janką... Więc grałyśmy wtedy z matką w ogródku... Lato było pod psem i nikomu nie płacili gaży... I w ogóle matkę trzymali tylko dlatego, żebym ja grała, ale jej prawie nie dawali ról. — Ja miałam wtedy dziesięć lat, ale już dobrze wszystko rozumiałam... Tak samo było i wtedy: ja grałam dużą rolę, a ona tylko parę razy wychodziła na scenę. — A w antrakcie kręciłam się między publicznością, żeby coś dostać.

Taki urywany, ciężki, świszczący oddech.

— Zawołała mnie do siebie jedna taka, co była ze swoim kochankiem w łoży. — Wzięła mnie na kolana i całowała. I mówiła ze mną tak, jak się mówi z dzieckiem: ile mam lat, czy lubię występować, jak się nazywam. — To dziwne, jak takie kobiety lubią dzieci. — I ja starałam się im podobać, żeby mi co dali. — I rzeczywiście, poprosiła go i on kupił dla mnie pudełko czekoladek. Ale duże: ze trzy funty albo i więcej...

...Jak pan przyniósł Jance tę lalkę, to mi się zaraz przypomniało, chociaż to zupełnie co innego... Jacy oni źli na mnie i na pana, że pan kupił Jance, a nie Mani. — Oni nie mogą zrozumieć, że pan jest u nich za pięć rubli na miesiąc i tyle pieniędzy wydał na lalkę; a ona chodziła się umyślnie dowiadywać do sklepów, ile to może kosztować. — Oni się domyślają, że ja wiem wszystko, i tacy są wściekli, że im nie mówię... Ale zaraz...

...Aha — więc mieszkaliśmy wtedy na Bielańskiej, tak samo na facjacie... Więc dostałam to pudełko czekoladek... Dyrektor nie płacił, bo teatr źle szedł. — A w sklepiku już nam nic nie chcieli dać.

...Więc jakeśmy wróciły do domu, to jadłam te czekoladki i popijałam wodą... Był chleb, ale trzeba było zostawić na rano do herbaty... Prosiłam mamy, żeby przynajmniej te czekoladki, ale nie chciała, że to moje. A ja przecież wiedziałam, że jest głodna. — Więc zjadłam sama może z funt — i położyłam się, ale nie spałam, bo mnie mdliło; tylko miałam przymknięte oczy, ale mamę widziałam. — Ja często tak robiłam i patrzyłam na mamę, że jest ładna i dlaczego nie ma nikogo? — Bo mama w ogóle nie umiała jak inne. — Te czekoladki na przykład to można było potem oddać w bufecie za pół ceny, ale mamie samej do głowy nie przyszło — dopiero później, kiedy jej powiedzieli...

...Więc zaraz... Więc ja tak leżałam, a mama cerowała pończochę. — Ja to wszystko tak dobrze pamiętam... Więc potem przestała szyc i patrzyła na mnie, czy śpię. — A potem zaczęła powoli przysuwać to pudełko z czekoladkami. Potem cicho otworzyła i ciągle na mnie patrzyła, czy śpię. A ja udawałam, że śpię. Potem zjadła jedną czekoladkę, potem drugą i tak kilka. A potem wyjęła taką długą czekoladkę i resztę układała, żeby nie poznała, że brak. Potem z tą długą czekoladką doszła do okna i wychyliła się. — Zdawało mi się, że wyskoczy oknem, żeby się zabić; ale cicho leżałam i nawet chciałam, żeby wyskoczyła, bo przyszliby ludzie i pocałowaliby mnie, i wszyscy by na mnie patrzyli. A na pogrzebie wszyscy z teatru nieśliby trumnę i byłby wieniec od dyrektora. A ze mną po śmierci mamy byłoby coś innego jak teraz. Może by mnie wzięła do siebie jaka bogata pani... Ja wiem, co pan sobie o mnie myśli... Bo pan nie wie, co to jest dziecko głodne, które każdy ma prawo pogłaskać, pożartować, wziąć na kolana, dać prezent. — Ja panu wszystko mówię, chociaż wiem, co pan sobie o mnie myśli.

— Ja myślę, że pani była bardzo nieszczęśliwym dzieckiem.

— Ja wiem: bo pan jest dobry... Na czym to ja stanęłam?

— ...Że mama pani stała przy oknie.

— Aha!... Więc długo tak stała, a potem zjadła tę długą czekoladkę i oblizywała palce, bo jej się roztopiła, kiedy stała przy oknie. — A potem było to najwstrętniejsze... Ja nie będę umiała panu, opowiedzieć...

Zamyśliła się.

— Więc tak było. — Matka stanęła przy łóżku. Ja z początku zupełnie zamknęłam oczy, żeby się nie domyśliła. A potem ostrożnie uchyliłam. Matka patrzyła na mnie, ale

Głód, Bieda, Matka, Córka

była taka brzydka i taka wstrętna... Ja wiem, ja nawet wtedy wiedziałam już, co ona sobie myślała i dlaczego była taka brzydka. — Ona liczyła, ile ja jestem warta i kiedy już. Ja wtedy nie wiedziałam jeszcze, jak to jest; ale sama także chciałam być dużą i mieć kogoś, co ma dużo pieniędzy i wszystko kupuje; tylko wiedziałam, że matka nie powinna tego chcieć... Na złość otworzyłam oczy, i ona domyśliła się, że nie spałam... Rozgniewała się i przez trzy dni nic nie mówiłyśmy do siebie. I od tej pory przestałam ją kochać i ona mnie. Bo przedtem bardzo ją kochałam i żałowałam, a teraz byłam kontenta, jak jej nie dali żadnej roli, a mnie — tak... I ja właśnie na złość... Bo ja to wszystko chciałam panu opowiedzieć, to jest nie wszystko; ale chciałam prosić, żeby pan nie uczył grać tamtych dzieci, i bo tak to ja tylko rubla dopłacam do komornego... Ale pan sam... Ja przecież wiem, że pan gra lepiej ode mnie... Pan jest bardzo dobry.

Nagle spoconą, wilgotną ręką pochwyciła moją rękę.

— Ja mam do pana prośbę. Czy pan mi powie prawdę?... Pan był trochę na medycynie i pan dużo czytał... Niech pan powie, czy Janinka będzie żyła?... Pan przecież wie, co ja myślę... Moja matka umarła na suchoty, Janek także, ja także kaszlę i pewnie będę miała, a może już mam. A przecież to jest bardzo dziedziczna choroba, i zaraźliwa — bardzo zaraźliwa — prawda? — A ja z nią razem śpię... Prawda, że to źle?

— Czytałem, że dzieci nie powinny spać razem z dorosłymi... ale pani jest przecież...

— Pan mnie nie rozumie — przerwała.

I po chwili zaczęła straszonym, urywanym szeptem.

— Ja właśnie naumyślnie... Jak leżę z nią w łóżku, a ona śpi, to naumyślnie w nią chucham... Rozumie pan?... Ja panu nie mówiłam, ale ja mam na pewno suchoty... Jak poszłam do szpitala na wizytę, to mi doktor kazał przynieść ślinę, co spluwam. Więc na drugi dzień przyniosłam. No, i dali mi kartkę, żeby wejść do środka, gdzie są wszyscy doktorzy. I ten doktor prosił drugiego, żeby zrobił. A ten nie wiedział, że to ja. Więc jak on szukał tych robaczków suchot w mikroskopie — ja widziałam raz mikroskop w muzeum — to potem powiedział do tego doktora: „suchoty jak byk” — i roześmiał się. Ja nie wiem, dlaczego on się roześmiał. — Ja go się potem naumyślnie zapytałam, czy to suchoty, a on powiedział, że nie, że trzeba pić mleko, i zapisał mi, ale nie brałam... Więc rozumie pan? Więc ja chucham na Jankę, żeby te robaczki weszły jej do gardła i żeby zachorowała, a dzieci przecież prędko umierają... Bo ja jej przecież nie mogę samej zostawić... Bo ona będzie śliczna, jak urośnie — bo ją by mężczyźni rozdrapali... A ja nie chcę... Niech umrze. Już dosyć tego świństwa. Już trzeba skończyć raz przecież.

Janka westchnęła ciężko... Nie — nic: to tylko przez sen.

— A wie pani... wie pani... może by to dobrze było, żeby ja... Wie pani: tak mi ciężko jakoś myśleć.

— Bo co?

Nachyliła się tak, że czułem na twarzy gorący jej oddech.

— Wie pani, ja myślę, że to by było dobrze, żeby Janka miała ojca... Ja myślę, że to by było dobrze, żeby ja się z paną ożenił. — Prawda?

Drgnęła. Pochwyciła moją rękę.

— To dobrze — to bardzo dobrze, że pan to powiedział... Ja wiedziałam, że pan to powie, ale się bałam, że może nie... Tak: to się bardzo dobrze stało... To dobrze, jak ktoś powie człowiekowi coś takiego, że on potem długo pamięta — długo — aż do śmierci. A jemu przecież nic nie szkodzi... Wie pan: kiedy się w nocy nie śpi, ma się takie dziwne myśli... Nie, ja kłamię... Pan nie uwierzy, jak mi strasznie trudno nie kłamać... Ja nie tylko w nocy, ale ciągle — ciągle o tym myślałam. — Jak mi pan wtedy mówił, że pana ojciec bogaty, i jak mi pan mówił o sobie, to pomyślałam, że pan jest dziwny człowiek i że kto wie... I starałam się panu podobać, żeby pan się we mnie zakochał... I właśnie dlatego nie mówiłam panu, że mam suchoty, żeby pan się ze mną ożenił... Ja jestem bardzo zepsuta... Ja właśnie matce na złość, żeby nie miała ze mnie korzyści, to ja wtedy z ojcem Janki... Ja jego wcale nie kochałam i nie wiedziałam, że on się ze mną naprawdę ożeni... — Ja go wcale nie kochałam, tylko matce na złość... Ale zaraz...

...A tak. — Więc ja za pana nigdy a nigdy nie wyjdę... teraz to już nigdy nie wyjdę... Ja wiem: pan chce, żeby ludzie nie byli nieszczęśliwi. Ale to na nic; tak być musi... Tylko od nieszczęśliwych trzeba uciekać, bo nieszczęście jest zaraźliwe... Kiedy ja pana jeszcze

Choroba, Matka

tak dobrze nie znalazłam, to ja bym za pana wyszła, ale teraz za nic w świecie. Panie Janku: nieszczęście jest zaraźliwe. — Niech pan ucieka — panu i tak będzie trudno żyć na świecie.

Wstałam śmiertelnie znużony. — Wyszła za mną do sieni.

— Panie Janku, ja nie wszystko jeszcze panu powiedziałam: ja czuję taką rozkosz, kiedy tak chucham... jak bym robiła na złość tym wszystkim... Czasem nawet widzę ich wszystkich — w cylindrach, z cienkimi laseczkami — jak się oblizują, a ja im mówię: „nie dam — nie dam” — i chucham. — I ja jeszcze jedno...

...Janek, ja ciebie kocham... Ja jeszcze nigdy nie kochałam i dlatego teraz dopiero zrozumiałam, że to tak jest. — I jeszcze ci nie powiedziałam, że ja miałam dużo kochanków...

I zarzuciła mi na szyję ręce chude, chłodne — i przycisnęła do ust rozpalone wargi.

Na korytarzu rozległ się szmer: podpatrywano nas.

Cofnęła się do izby i drzwi zamknęła na klucz.

Gubię się w tajemnicy własnych myśli i uczuć. Coś splata odległą przeszłość z nieznanym jutrem. Więc to już ja teraz, a nie Bałucki, Tolstoj, Orzeszkowa, Żeromski; — chciałem się ożenić.

A dalej?...

*

Jutro przeprowadzam się na Solec.

Wczoraj były imieniny mego „właściciela domu na Woli”.

Przyszła ich uboga rodzina: brat żony, robotnik fabryczny, z zięciem dorożkarzem i dziećmi.

Wizyta była ceremonialna, nieszczera, chłodna. Z jednej strony — wyniosła pewność siebie kapitalisty, z drugiej — zazdrość i uległość. Tylko dorożkarz, gromiony wzrokiem przez teściów i żonę, nie szczędził mimo to przycinków.

Pupile moi popisywali się swymi wiadomościami, traktując z góry ubogich krewniaków — opowiadali o gimnazjum i o czapce z gwiazdką.

— W biedzie nie to jeszcze najgorsze, że człowiek nie dożre — powiedział smutnie robotnik — ale że bachorom nauki dać nie można, jak by to człowiek miał życzenie.

I postanowiłem przenieść się na Solec.

Nie chcieli wierzyć zrazu:

— Ale co oni z panem zrobią? To przecież prostota i nędza, panie Janie. Gdzie im tam w głowie nauka? — Pan tam i tygodnia nie wybędzie... I co my teraz zrobimy? — Pan tak umiał zachęcić bachorów to żarcikiem, to tym, to nie tym.

Za życie płacić tam będę pięć rubli miesięcznie, a za mieszkanie — uczyć będę ich Wiknę i Stacha.

Do kogośkolwiek się zbliżę, wszędzie niosę ból, rozprężenie — i kawał własnego serca zostawiam.

Pusto, rozpacznie — i nie ma gdzie złożyć głowy znużonej.

A pcha mnie coś w gąszcz życia, w głąb, w gęstwinię — aż do najgłębszych jego pokładów.

NA SOLCU

Murowana oficyna w drugim podwórku.

Czwarte piętro.

Izba kwadratowa, obszerna.

Dwa okna. Między oknami komoda, pokryta serwetą szydełkowej roboty; na komodzie figurki, fotografie, pudełko okrągłe od czekoladek — do nici.

Przy prawej ścianie łóżko Grosików, obok łóżka kołyska — dalej stołek i komin.

Przy lewej ścianie dwa łóżka; w kącie wodociąg i zlew za franką.

Drzwi. Obok drzwi po jednej stronie szafa, po drugiej komoda Wilczków.

Na środku izby — stół sosnowy, dwa krzesła, z których jedno wyściełane — i stołek.

Nad kominem półki z naczyniami kuchennymi; — obok zegar z wagami.

Pod oknami kuferki. W oknach doniczki. Na ścianach, nad łózkami, liczne obrazy święte...

Mieszkańcy izby:

1. Marcin Wilczek, ślusarz fabryczny, lat 44.
2. Katarzyna Wilczek, lat 40, żona Marcina, piera po gospodach.
3. Wikta, ich córka, lat 17, chodzi do szycia.
4. Stasiak, lat 9, płucze butelki u kwaśnika¹²⁴.
5. Ignac, lat 6, chodzi do ochrony.
6. Michał Grosik, lat 29, dorożkarz, zięć Wilczków.
7. Józefa Grosik, lat 20, najstarsza córka Wilczków.
8. Kazik, lat 3, synek Grosików.
9. Mania, przy piersi, córka Grosików.
10. Sublokator, stróż nocny; ja zastąpiłem jego miejsce.

Noc

Wieczór. Postawiona na komodzie, na pudełku od gilz¹²⁵, lampka pali się żółtym, chwiejnym płomieniem.

Rozmawiam z kobietami, rozmowa się rwie. Czekamy na mężczyzn.

Grosikowa karmi niemowlę piersią i co chwila spogląda na zegar.

— Widać, po teatrze przyjedzie dopiero.

Kazik bawi się przy kominie miotłą.

— Mamo, jeść.

— Poczekaj: ojciec wróci.

Przychodzi Wilczek z fabryki; odstawia blaszankę na komin i siada zmęczony na stolek.

— Jakże pan Jan?... Jeszcze się panu u nas nie sprzykrzyło?

— Wiadomo: zawsze pierwszy dzień markotnie na nowym miejscu — odpowiadam.

— No tak... Pan Jan może tu mieć dużo zajęć. Tylko zapłata to mała... Ja za Wikte płaciłem pięć złotych na miesiąc... Tu będzie u nas może biedniej jak u szwagra — no bo on bogacz, ale tu panu będzie życzliwiej.

— Na, myj się — przerwała żona, podając miednicę — nie gadaj.

Widać nie chce, by mąż opowiadał o jej bracie.

— Mamo, jeść — woła Kazik.

— No dajże mu, niech się nie drze i idzie spać.

— A jakże: pójdzie on spać.

Wraca Wikta.

Podaje mi rękę swobodnie.

— Będziesz miała nauczyciela — mówi ojciec. — Czytać i to ona umie, ale jeszcze nieładko; ciężko idzie... A gdzie Stasiak?

— No gdzie? Na podwórzu — z chłopakami lata.

— Ignac... Zawołaj go tu zaraz.

— E, zimno — ociąga się chłopiec.

— A jak sam latasz, to ci ciepło. Bierz kapotę i ruszaj — żywo!... A ona, jak to dzisiaj się pośpieszyła.

Wikta się rumieni. Twarzyczka ładna, świeża.

— A pan Jan nie ma łóżka? — pyta Wilczek.

— Nie, nie mam... Trzeba kupić.

— To nic: może pan Jan ze mną spać... I jak pan nie ma pieniędzy, to można wziąć na wypląt, po pół rubla na tydzień.

W dorożkarskim uniformie wchodzi Grosik.

— Na, masz — oddaje żonie pieniądze. — A to dla ciebie, knocie.

Kazik rzuca miotłą i chwytając papierka łakomie.

— Poczekaj, nie spiesz się.

— Daj! — woła malec.

— Zaraz, jak to ci pilno.

¹²⁴kwaśnik — producent napojów. [przypis edytorski]

¹²⁵gilza (ros.) — złożone w rulonik bibułki papierosowe. [przypis edytorski]

Zdjął palto — przestał być numerem. Usiadł przy stole i wziął chłopca na kolana: dorożkarz przeobraził się w ojca.

— Na masz.

I rozwija z papierka dwie farbowane marmoladki.

— Daj! — woła, krzywiąc się, Kazik piskliwie.

— Nie *draż* dziecka — upomina żona.

— To nic... Niech się nauczy złościć, to mu nie będą później w pępek dmuchać jak dorośnie.

Wraca Ignac.

— Nie ma go na podwórzu.

— Choroba z tym chłopakiem.

— Jeść! — dopomina się Ignac, patrząc na mnie nieufnie.

— Tyś pierwszy?... Z roboty wracasz — co?

Kobiety krzątają się koło komina.

— Może pan Jan wódkę na wkupiny zafunduje? — proponuje Grosik.

— Bardzo chętnie.

Kładę rubla na stole.

— Wikta! Przynieś no.

— Nie chcę — opiera się dziewczyna. — Tam łobuzy stoją na rogu i zaczepiają.

— Nie ugryzą cię — zjadliwie uśmiecha się dorożkarz. — Jaka skromna!

— Nie potrzeba... Ty to zaraz z wódką — wtrąca żona.

— Niech idzie — rozstrzyga ojciec.

Wikta zarzucą chustkę i wychodzi.

— Przy wódce najlepsza znajomość — dodaje dorożkarz.

— A tośmy się już z panem Janem poznali raz przy wódce — powiada żona.

— Tośmy się poznali u hrabiów, a teraz poznajmy się drugi raz u chamów.

— Znowu zaczynasz?

— Będzie czas, że i skończę. I wszyscy skończymy. — No nie, panie Janie?

Grosik miał słuszność. Przy wódce rozmowa stała się żywsza, ogólniejsza. Mgła dymu z papierosów zawisła w powietrzu.

Ostatni wraca Stasiek z podwórza.

— Mamo, jeść.

— Idź, idź — polataj jeszcze. Na tu.

— E, herbata.

— A chcesz czekoladę może?... Kwaśnik zapłacił ci?

— A nie!

— Muszę ja iść jutro do niego.

— Zimne kartofle mama mi dała.

— Nie lataj z chłopakami, to będziesz miał ciepło.

Ostatnia kolejka przeszła.

— No, matka, ściel... Pan Jan ze mną.

Kobieta stawia szafflik¹²⁶ z talerzami na kominie, wyciera ręce w fartuch i zmierza w stronę łóżka.

— Ignac, pacierz — no!

Mania popłakuje w kołysce. Kazik leży na łóżku w ubraniu i śpi. Ignac ukląkł, oparł splecione dłonie o krawędź łóżka i monotonicznie powtarza modlitwę za matką, która ściele, roztrząsa siennik, zbija poduszki i pierzynę.

Wikta rozbiera malca. Matka kładzie przy kominie siennik, derkę, poduszkę, paltocik na okrycie dla malców.

Patrzę na krzątanicę. W głowie mi się kręci... i jakoś tak dziwnie, tak dziwnie w duszy, że nie do wiary.

Widziałem już to wszystko z dala na mojej kondycji, czytałem tyle o *ich* życiu; czytałem w powieściach, nowelach, szkicach społecznych, nawet o suterrenach ciemnych i lochach, o tapczanach ze zgnilej słomy, i płakałem nieraz. A to jest tylko obszerna, trochę wilgotna i niska izba, gdzie mieszka 10 „dusz”. Czytałem o pijakach — mężach, katach dzieci,

¹²⁶szafflik (z niem. *Schaffel*) — wiaderko, okrągłe naczynie. [przypis edytorski]

o ciemnocie i zbrodniach, a to są ludzie, którzy chcą dzieci uczyć i dlatego wyzbywają się sublokatora, który płacił im rubla miesięcznie. I czemu, czemu — coś mnie dusi, coś mi dech spiera — i boli?

— No, niech się pan Jan rozbiera.

I gaszą lampkę.

Chwilę trwa szelest odzieży, szmer kroków i łoskot przesuwanego sprzętu. I cisza. Tylko zegar tyka głośno z chrzęstem przesuwanego się, zardzewiałych kółek, tylko spod komina rozlegnie się suchy kaszel chłopaka, ktoś z dorosłych głośniejszym westchnie.

— Stasiek, czego ściągasz kapotę? — To ty nie ściągasz! Noo! — Te, bo jak cię rznę. — To rznij. — Noo. — Mamo!

— Cicho, bo ojca obudzicie.

— Cicho, szczeniaki!

— Na, weź chustkę.

— A gdzie?

— Tu chodź.

Odgłos bosych nóg po podłodze.

— Nie kop mnie!

— Stasiek, bo jak wstanę... — Chodź, Ignac, do mnie — mówi matka, siadając na łóżku.

— Jeszcze czego — rozlega się głos Wikty.

Znów boscie nogi biegną po podłodze. Stołek potrącony wydaje łoskot.

— Ja nie chcę.

— No.

— Czego tam? — budzi się Wilczek.

— Wikta nie pozwala mi iść do mamy.

— Niech śpi ze Staśkiem — mówi Wikta.

— Ustąp zaraz... Dama — sama by się tylko rozwalala na łóżku... Nooo!

Cisza: W jednym łóżku śpię ja ze ślusarzem. W drugim — żona jego, Wikta i Ignac. W trzecim — Grosik z żoną i Kazikiem w nogach. W kołysce Mańka; na ziemi — Stasiek wywalczył sobie samotność.

Duszno. Patrzę ciężko w ciemną noc. Z dala słychać stłumiony dźwięk harmonii. Zegar bije powoli, jakby zalękniony każdym uderzeniem, oddycha ciężko, jakby i jemu tchu brakło.

Od okna płynie cienka nitka zimnego powietrza. Przychodzi mi na myśl, że dom uległ prawu przystosowania: okna nie dochodzą, żeby choć w części przewietrzyć pokój.

Duszno. Smród. Wilczek chrapie.

Dziecko w kołysce płacze. Usłyszała matka.

— Posuń się. Przepuść mnie.

— Co? — pyta zaspanym głosem dorożkarz.

— Przepuść do dziecka.

— Mmm!

— A bodaj cie choroba... Śpij, córuś.

Odgłos pocałunku, miarowy stuk biegunów o nierówne deski podłogi, płacz niemowlęcia — płacz, który w ciemni nocy brzmi ponuro, jak skarga bezradna.

— Na, masz.

Płacz jeszcze donośniejszy.

— No, czego chcesz?

Zbudziła się Wilczkowa.

— Daj jej herbaty.

— Jaka mama mądra: nie chce.

— To weź do łóżka.

— A jakże. Żeby ją znowu ten koń zdusił... Idzie mama jutro do prania?

— A nie?

Stasiek kaszle, wstaje, ubiera się.

— A ty gdzie?

— Na dwór.

— Toś nie mógł iść?... Z chłopakami latać — to wiesz. Poczekaj, dam ja ci jutro.

Zgrzyt klucza, trzask drzwi.

— A bodaj cię cholera...

— Co to? — siada Wilczek na posłaniu.

— Nic... nic.

Westchnął, podrapał się, nasunął pierzynę na spoconą koszulę i znów chrapie.

— Mamo — budzi się Kazik.

Znów cisza. Stasiek wraca.

— A ty gdzie?

— Czy dobrze zamknął — powiada Wikta.

— Ukradną cię — z ironią zauważa matka.

— Mamooo! — obudził się Ignac.

— A ty znowu co?

— Pchły mnie żrą.

— Nie zeżrą cię: śpij.

— I zimno.

— To się skul pilno... Idź na ziemię, Stasiek ma chustkę.

— Nie chcę.

Zegar wydzwania, jęcząc, godzinę drugą.

Cisza. Tylko z pojedynczych westchnień stłoczonych tu istot jakiś szmer niezrozumiały i lękliwy się błąka. To płuca się skarżą, krew się skarży. Duszno, chłodno, wilgotno.

Statystyka trzeźwa, zimna, bezwzględna — opasa tę izbę kolumnami cyfr o chorobach, śmiertelności...

Jakby świt.

Nikłe światło zakrada się trwożnie do izby, szarymi liniami obrysowując kontury przedmiotów.

Robotnik porusza się niespokojnie, łóżko wydaje przeciągły zgrzyt. Nie były w stanie zbudzić go: ani płacz dzieci, ani duszne powietrze, ani kaszel, ani rozmowy, ale obudził go przeczuwany we śnie gwizdek fabryczny za pół godziny.

Siada na łóżku, zapala zapalke, papieros — spogląda na zegar.

— Która? — pyta żona.

— Ano czas.

— Daj zapalki.

I znów lampka blaszana rzuca żółte światło na izbę.

Kobieta wstaje, zarzuca spódnicę i chustkę, wychodzi do sieni.

Robotnik podnosi się leniwie, zakaszlał raz, drugi, splunął na środek izby, owija nogi brudnymi, cuchnącymi onuczkami, naciąga buty.

Wypłukał blaszankę, nalał kawę z garczka, odkrajał pół bochenka chleba, zawinął w chustkę, zarzucił kapotę.

— Grosik, te — wstawaj.

— Mhm.

— Prędeej. No!

— Zaraz.

— Znowu dorożki nie umyjesz i będzie urągał.

— Zaraz.

Przeżegnał się i wyszedł.

Wraca kobieta. Kręci się po izbie.

— Grosik, wstawaj.

— Zaraz, zaraz.

Budzi się córka.

— Mama idzie?

— Tak. Niech Ignac idzie do ochrony, bo znowu pani będzie się gniewała.

Wstaje dorożkarz.

Przykręcił lampkę.

Wilczkowa wychodzi.

Zrywa się Stasiek spod komina i daje nurka do łóżka matki.

— Gdzie, gdzie? — protestuje Wikta.

— Idź ty — broni się chłopak.

I znowu cisza trwa pół godziny.
 Powraca Grosik. Wstaje żona, rąbie drwa, zapala w kominie, grzeje mężowi kawę.
 — Kto dziś nocą jeździł?
 — Franek.
 — Dobra noc?
 — Choroba... Stary zły, ścierwo.
 Światło dnia rozkurcza się leniwo — zgniłe, martwe, ponure.
 Teraz kolej na Wikte. Ubiera się długo, starannie, by po trzech kwadransach, w żakietku i rękawiczkach — wyglądać na ponętną młodziutką modystkę.
 Stasiek idzie do kwaśnika myć butelki.
 Leżą już w łóżkach tylko: sześciolatek Ignac, trzylatni Kazik, kilkumiesięczna Mania — i ja.
 Myślę z uczuciem wstydu. Zda mi się, że kogoś obraziłem, że mną pogardzają wszyscy i że sam sobą pogardzam.
 Ignac nie chce iść do ochrony, dostaje od siostry w skórę.
 Uderza mnie znużony, żółty kolor twarzy chłopca. Jakby kropli krwi w niej nie było.
 I znów modlitwa, monotonna, długa.
 Budzi się z płaczem Kazik. Matka go ubiera.
 — Czego się mażesz, co? Ojciec powiedział, że kupi ci organki. Chcesz organki?
 — Nie.
 Wyszła po zakupy. Niemowlę zaczęło płakać. Wstałem i kołysałem je. Krzyżało jeszcze głośniej. Kazik podał mi brudny gałganek. Rozwinąłem: był w nim kawałek bułki. Zrozumiałem: wsunąłem go dziecku do ust. Zaczęło ssać chciwie.
 Usiadłem przy oknie i patrzyłem na szare niebo, na długie, nie kończące się szeregi dachów i kominów.
 I znów długo myślałem o moim nieudanym samobójstwie — i rozumiałem, że dziś nie umiałbym go już powtórzyć: sieć nici niedostrzegalnych splątała mnie z życiem.
 Czulem, że jestem na przełomie, że ważny zwrot musi nastąpić w moim życiu.
 Kazik zdecydował się usiąść mi na kolanach. Na głowie jego znalazłem robactwo.

(Dopisek późniejszy:

Wyciąg zadań z książki Adolfa Suligowskiego¹²⁷, wydanej w roku 1889, pod nagłówkiem: *Kwestia mieszkań*:

„Dwie trzecie ludności warszawskiej źle mieszka.

Za anormalne mieszkania higieniści i ekonomiści uznają lokale w suterrenach i na poddaszach... Te niezdrowe mieszkania liczyły izb zamieszkałych 18 347, a w nich mieściło się 63 941 ludzi.

Istnieją mieszkania całkiem bez okien. Takich mieszkań bez światła znaleziono w mieście 1515... Istnieją też mieszkania bez żadnego ogniska i takich naliczono 2985... Na mieszkania bez światła lub ogniska przypada około 16 000 ludzi.

Znikły ciemne więzienia, znikły dawne lochy kryminalne, którymi straszono zbrodniarzy, ale nie znikły ciemne, zimne i podziemne mieszkania dla ludzi mozołu i trudu, którym los od kołyski odmówił wszelkiego uśmiechu.

Śmiało powiedzieć możemy, że odmalowanie nagiej rzeczywistej prawdy obudzić powinno w każdym sercu uczucie przerażenia. Obrazy te ponure, zaciągnięte ciemnymi barwami, poza którymi bledną ludzkie usterki i przekroczenia! A jednak na wydziedziczonych lokatorach tych schronisk, podobnie jak i na innych, *w imię zasady równości* ciążyą różne obowiązki społeczne. I od nich wymagamy pożytecznej pracy i moralnego działania.

Zestawiając śmiertelność Warszawy z śmiertelnością innych miast, wynika, że w Warszawie umiera rocznie przynajmniej 18, jeżeli nie 19 osób na 1000, więcej aniżeli potrzeba, co daje, na ludność o 450 000, nadmiar śmierci pod postacią 8100 osób. Gdybyśmy nawet

Bieda, Warszawa

¹²⁷ *Suligowski, Adolf* (1849–1932) — prawnik, autor odczytów dla Ratusza, wygłoszonych w 1889 r., dotyczących kwestii mieszkaniowych. [przypis edytorski]

z tej cyfry stracili dwie trzecie na śmiertelność dzieci do czasu dojścia do wieku produkcyjnego, to jeszcze 2700 śmierci dotykać będzie ludzi pracy, ojców i matek, potrzebnych do wychowywania swych dzieci i do pracy społecznej. Ci ludzie mogli i powinni byli żyć i pracować...

Jeden z lekarzy zajmujących się statystyką obliczył, że gdy przy zaludnieniu z osób na pokój zajdzie 100 wypadków zachorowania, to w tych samych warunkach przy ludności 10 osób na pokój będzie takich wypadków 150, czyli o 50 proc. więcej; ale co gorsza, że gdy z liczby podległych w pierwszym wypadku chorobie epidemicznej umiera 20 na 100, to w ostatnim 79 na 100. (Dr Körösi w Peszcie).

Dzieci umierają tam dwa razy więcej niż gdzie indziej, a ci, którzy dojrzeją, żyją krócej od innych współobywateli. A przecież, jeżeli gdzie, to właśnie tutaj choroby i śmierć przynoszą dotkliwie klęski, zwłaszcza gdy dotykają ojca lub matkę rodziny. Choroba przerywa zarobkowanie i rodzi wydatki, których zazwyczaj nie ma z czego pokrywać, a śmierć wystawia na pastwę losu całą rodzinę dla braku siły roboczej, która byt materialny zabezpieczała. I mnoży się liczba sierot, o których nie wiadomo, w jaki sposób żyją, gdzie rosną i kiedy ludźmi się stają.

W Warszawie mieszkań pięcio- i więcej izbowych znajduje się o 65 proc. więcej niż w Berlinie... Pół wydatku na mieszkanie ginie z powodu salonu... Z jednej strony u dołu brak mieszkań, z drugiej u góry marnotrawstwo w mieszkaniu”...

Piąty i szósty rozdział głoszą:

„Co zrobiono dla poprawy za granicą” i „Co zrobiono dla poprawy u nas i co zrobić należy”.

Nie: *vogue la galère!*¹²⁸ — nie...).

? *Grudzień.*

Wilczek zbił Staśka. Spuścił malcowi majtki, podwinął koszulę, wsadził głowę jego między swoje nogi, zdjął pasek, którym spina spodnie, i bił, aż mi w głowie trzaskało.

— A masz, hyclu, a masz... A nie lataj z chłopakami, kiedy matka woła... A pilnuj roboty...

Stasiek spóźnił się do kwaśnika, gdzie myje butelki i odrutowuje korki, od dziewiątej rano do siódmej wieczorem — za rubla na tydzień.

Stasiek ma lat dziewięć.

— Czy nie za mocno? — spytałem.

— Z jednego nie zrobię dwóch — odparł, dysząc ciężko. — Jemu tylko pozwól na turki-mazurki... Kto bije, ten kocha, a dziewczynę całuje, kto ją chce ukrzywdzić... Mało to tu kolegów do złego... Wolę ja, żeby on teraz na mnie popłakał, jak ja mam później na niego...

Co chwila uderzam o ostre kanty ich życia i razi mnie to i zraża.

Tu chłód, tu surowość bytu występuje bez osłonek — nago; tu wszechwładnie panuje ponura szarość życia.

Tu nikt rano nie mówi „dzień dobry”, tu nikt nie żegna się i nie wita, nie dziękuje za strawę ani wieczorem życzy dobrej nocy. Tu nie ma śmiechu ani swobodnego żartu; tu wszystko jest poważne, twarde i bezwzględne.

Tu nie ma omówień: wszystko nazywa się krótko, dobitnie, prawdziwie. Nie ma owych drobnych, niemal niedostrzegalnych ubarwień codziennego życia, niewinnych kłamstewek, które urok mają.

— Chodź do mnie, Stasiu — powiadam.

Chcę chłopca przygarnąć do siebie.

— Niech mnie pan Jan nie rucha — mruknął szorstko, wrogo spojrzawszy na mnie spod zmarszczonych brwi.

Wyrwał się, przywarł do ciemnego kąta przy kominie — i nie płakał...

Grosikowa obgryzła niemowlęciu paznokcie; obcinać do roku nie wolno, bo wyrośnie na złodzieja, jeżeli chłopiec, i na szychtę¹²⁹, jeżeli dziewczyna.

¹²⁸*vogue la galère!* (fr.) — dosł.: niech płynie statek; w znaczeniu: niech się dzieje, co chce. [przypis edytorski]

¹²⁹*szychta* (gw. warsz.) — prostytutka pracująca pod szychtami, czyli składami opału na Powiślu. [przypis edytorski]

— Wierzę albo nie wierzę, a przecież ludzie tak mówią.
 Nie wolno dziecku goić strupów, bo na oczy się rzucą i oślepnie.
 Czarne przesady lęgną się w ciemności i chłodzie jak gady — i pełzają.
 Czarna nieufność i nieżyczliwość wzajemna wiją się, sycząc złowrogo.
 Rzemieślnik pogardza robotnikiem, robotnik — wyrobnikiem; miejski drwi z chama
 — wieśniaka, czytelny — z nieczytelnego.
 Ten niższy szczebel drabiny społecznej dzieli się na dziesiątki szczebli.
 Obmowy, intrygi, plotki, żarcie się wzajemne, z gruba robiona obłuda, pretensje i żale
 — o pożyczoną balię, o chrzest dziecka, o kieliszek wódki. Zazdrość, gdy się sąsiadowi
 powiedzie na rubla, nieuczciwość w skradzionym ogórku kwaszonym lub ułamku węgla...
 Dorożkarz mnie nie lubi, przycina brutalnie. Obawia się o młodą żonę...
 Tu mówi się żartem, półserio:
 — A bo ja wiem, ile mam dzieci? — Ja cały dzień w pracy. — Spytaj się pan żony,
 to panu powie, które moje...
 Po nocach nie spiam, bo płucom brak powietrza i robactwo gryzie. — Jedzenie takie,
 jakie może dają w więzieniach.
 — To mięso czuć — powiedziałem wczoraj.
 — O, jaki pan Jan grymaśny. Mięso musi mić trąca, bo inaczej twarde w jedzeniu.
 — Ale to dla dzieci niezdrowo.
 — Dzieciakowi nic nie zaszkodzi: wylata.
 Rozumiem teraz, jak z czterech, trzech, dwóch złotych dziennego zarobku można
 utrzymać rodzinę, opłacić mieszkanie, życie, ubranie, pranie, naftę, doktora, aptekę i księ-
 dza na pogrzeb — a jeszcze się upić czasami i imieniny wyprawić.
 Rozumiem teraz, czemu tu dzieci mają więzienną, ziemistą cerę, oczy w zgniłych ob-
 wódkach, nogi wykrzywione w pałąk i czemu z dziesięciorga — czworo przy życiu zostaje.
 Nie rozumiem tylko, jak owe czworo dorasta i siły ma do pracy fizycznej, ciężkiej...
 I zapomniałem, że tam w górze huczy miasto, że tam się nic nie zmieniło; tylko ja
 widzę, czegom nie widział dawniej.
 Tam w górze są obszerne mieszkania, bony Francuzki, teatry, salony z palmami, stu-
 rublowe papierki, pierwszorzędne restauracje, karety, dywany, błyszczące szyby wielkich
 magazynów.
 Tam w górze spacerują wytwornie ubrane tłumy, krzyżują się ukłony, dwuznaczne
 uwagi, spojrzenia i uśmiechy...
 Tu o grosz nafta poszła w górę, o pół grosza chleb na funcie — i mówi się, że życie
 ogromnie zdrożało...
 Jak bardzo oddaliłem się od brzegu, jak bardzo zanurzyłem się w odmętną głąb życia.
 Zda mi się, że całą wieczność już tu przeżyłem...
 Byłem na Dzikiej. Kupiłem łóżko i pościel na wyplatę. Dostałem książeczkę, gdzie
 będą wpisywane raty wpłacane.
 Na pierwszej stronicy uwaga:
 „Coraz więcej powiększająca się liczba mojej klienteli wymaga jak najpункtualniej-
 szego płacenia rat terminowych, przez co jedynie będę w możności utrzymywać księgi
 moje w porządku oraz unikać niepotrzebnych kosztów portoryjnych¹³⁰ itd.
 Jak to urocząście brzmi!
 Numer porządkowy głosi skromną cyfrę 146 815.
 — Pana szczęście — mówi Żyd — że pan Wilczek tu pana przyprowadził. Bo inaczej
 ja by panu nie dał na spłatę. Ja już 50 000 rubli straciłem u ludzi. Ale pana Wilczka ja
 znam.
 I poczęstował go papierosem.
 Robotnik był zachwycony.
 — Widzi pan, mnie wszyscy znają. Ja sam nie dożrę, a oddam każdemu swoje.
 — No, a kiedy pan Wilczek kupi dla córki maszynę? Taka panienka, co tak ładnie
 szyje, to może zarobić dwadzieścia rubli na miesiąc... Tu u mnie z Ogrodowej kupił pan
 Wnorowski dla córki i dużo tu u mnie kupowali... Każdy wie, że u mnie jest urzędowy
 towar.

Bieda

¹³⁰koszt portoryjny — opłata za posłańca. [przypis edytorski]

W razie uchybienia jednej raty ma prawo żądać zwrotu towaru...

Wilczek raz kupił ubranie na weksel, na spłaty, za dwadzieścia rubli. A potem na każdą zapłaconą ratę otrzymywał kwitek. Kiedy mu zostało do zapłacenia trzy ruble, Żyd sprzedał weksel. Była sprawa. Sąd uznał, że Wilczek musi weksel zapłacić, a potem może wystąpić przeciwko krawcowi. I zapłacił w ten sposób dwa razy za jedno ubranie.

— Ale ten uczciwie prowadzi swój interes. Zdziera, bo zdziera, ale i jego ludzie zarywają... Żeby nie ja, to on by panu nie dał. Ale mnie on zna...

I w domu opowiadał o zaszczycie, który go spotkał.

— I papierosem mnie jeszcze poczęstował...

Dałem ubranie do odnowienia, bo podarte i poplamione.

Ciekawa postać Żyda-łaciarza. Z jakim zapalem przyglądał się dziurom i budował plan kampanii:

— Ja stąd ten kawałek wykraję, to mi starczy tu i tu; a tu się zaszyje i przyceruje... Będzie jak nowe.

Poeta!

Wilczek pochodzi ze wsi, o dwanaście mil od Warszawy.

Ojciec ożenił się pierwszy raz i miał czworo dzieci. Przy piątym matka umarła. Nie mogła urodzić, więc kazali jej usiąść nad rozpaloną cegłą, polaną octem. Ale i to nie pomogło.

Z tych pięciorga dzieci został on jeden.

Ożenił się ojciec drugi raz i miał czworo dzieci; jedno umarło, jeden syn jest w Ameryce, córka służy w Warszawie u adwokata, a drugi syn na roli. I znów mu żona umarła.

Ożenił się trzeci raz i miał siedmioro dzieci. Jeden jest zesłany, bo gajowego zabił; kradł drzewo, gajowy nasypał prochu do drzewa i piec rozwalilo, więc poznał złodzieja; syn obiecał zemścić się i teraz pokutuje. Żona jego służy w Markach, a syn jest u kowala. Dwóch pracuje w fabryce w Zawierciu, córka także w fabryce, a troje umarło.

Umarł ojciec i zapisał grunt na macochę. Ona wyszła drugi raz za męża i ma dwoje dzieci...

Są krewni i są mogiły po całym kraju.

„Polskie króliki”.

Potworną jest ta polityka, która cieszy się z grobów i liczy niemowlęta.

Żal ściska mi piersi.

WYKOLEJONY

Nie miałem już ani grosza. Ostatniego pół rubla dopijałem w szynku. Trzeba było zapłacić za życie, wykupić pałto od krawca-łaciarza, zapłacić pierwszą ratę za łóżko.

Napisałem do Adeli:

„Zbieram materiały do polskich *Nędzników*¹³¹. Pamięta przecież? — *Nędznicy* Wiktora Hugo. — Proszę o tajemnicę. — Kocham ją, kocham silniej niż kiedykolwiek. — Sława moja bliska. — Potrzebne mi pięćdziesiąt rubli. — Czekam na odpowiedź przez tegoż posłańca”.

Czekałem na niego w piwiarni na rogu Aleksandrii.

Posłańiec oddał list „samej pani”; przeczytała i powiedziała, że nie ma „żadnej odpowiedzi”.

Mróz grudniowy.

W wykrzywionych butach bez podeszew potykam się na oślizgłych kamieniach. Zimno, ręce kostnieją. Stawiam kołnierz letniego pałta. Śnieg prószy.

Nędzna, podła salonowa prostytutka. Tak mnie poniżyć, tak podle, tak nikczemnie poniżyć. „Żadnej odpowiedzi”. Jak żebrakowi, jak psu, który skowyczy o jadło.

Ciemno. Zimno. Przed hotelem „Bristol” tyle światła.

¹³¹*Nędznicy* — tytuł powieści Wiktora Hugo (1802–1885) obrazującej przekrój społeczeństwa fr. i poglądy autora na sprawiedliwość społeczną. [przypis edytorski]

— Żebrak! — Czemu się nie weźmiesz do pracy? Taki młody i nie wstydzi się żebrać. Masz zdrowe ręce i zdrowe nogi. — Stójkowy! — Do cyrku! — Taki młody.

Parias, wykołajeniec, upadły, zgubiony.

Z okien cukierni biją światła, aż oczy bołą. Tam ciepło, tam taki tłum. Tam dla mnie nie ma już miejsca: zniszczyłbym meble splamionym paltem, wystraszył gości siłą, drżącą twarzą.

Wychodzi trzech młodych. Śmieją się.

— Jeszcze dziś nic nie jadłem, panowie — mówię nagle obcym, nieznanym głosem.

I zdejmuję zmięty kapelusz.

Przeszli obok obojętnie. Nie spojrzeli, nie przerwali rozmowy.

We drzwiach cukierni ukazuje się pan w futrze z paczką ciastek na guziku.¹³²

Wyszedł, idzie wolnym krokiem, przyspieszając; ciastka bujają się na piersiach w prawo i w lewo.

Idę za nim. Czuję w piersi ból niewysłowiony i większą jeszcze bezsilną wściekłość.

— Panie!... Panie z ciastkami na guziku... Hej! panie z ciastkami, z ciastkami na guziku! *Bon jour, bon jour, monsieur*¹³³ z ciastkami na guziku... *Bon jour, monsieur* filister z ciastkami na guziku... *Êtes-vous content de votre vie, monsieur*¹³⁴ filister?

Śmieję się. Zęby mi z zimna szcękają i grubieją palce.

— *A qui portez-vous ces gâteaux, monsieur*¹³⁵ z ciastkami na guziku? *Pour vos enfants peut-être — n'est-ce pas?*¹³⁶ — *Vous avez des enfants — n'est-ce pas?*¹³⁷ — Ha! ha! ha!

Głębiej wsadził ręce w kieszenie. Paczka buja mu się na okrągłym brzuszku. Przytrzymuje ją od czasu do czasu palcem. W świetle wystaw lśni wówczas kamień pierścienia.

— *Vous avez des enfants, n'est-ce pas?*¹³⁸ — I pan jesteś dobrym ojcem, pan bardzo kochasz swoje dzieci? — *Vous êtes un très bon père?*¹³⁹ — Pan niesiesz im na guziku ciasteczka, pana dzieci lubią ciasteczka, *n'est-ce pas?* A szczególnie kremowe?... O, dzieci lubią — wszystkie dzieci lubią kremowe ciasteczka...

Idzie wolnym krokiem. Ja za nim krok w krok.

— *Avez-vous beaucoup d'enfants, monsieur*¹⁴⁰ z ciastkami na guziku? — *Non, pas beaucoup*¹⁴¹ — dwoje tylko. — Zola¹⁴² jest idiota i *Płodność* jest powieścią idioty. — *Oh, pas beaucoup*: tylko dwoje. — Jerzyk i Anielka. *Quels jolis noms*¹⁴³... Jerzyk, Jurek, Juraś. — *Votre*¹⁴⁴ Juraś musi być mały jeszcze. — Mały Juraś z jasnymi puklami włosów i pulchnymi nóżkami. *Un petit garçon de six ans*.¹⁴⁵ — *Un* milusiński. — *N'est-ce pas?*¹⁴⁶ milusiński. — Uroczy, mały bobak — milusiński. — *N'est-ce pas?* — Jerzyk... Juraś... *Mais attendez donc un peu*¹⁴⁷...

Pan z ciastkami się obejrzał. Zatrzymałem się.

¹³²*We drzwiach cukierni ukazuje się pan w futrze z paczką ciastek na guziku.* — dawniej ciastka pakowano w papier obwiązany cienkim sznurkiem, a w I poł. XX w. było przyjęte, że eleganccy panowie po wyjściu z cukierni nieśli takie paczki zawieszono na guziku płaszcza czy kamizelki. Pozwalało im to zachować wolne ręce: do eleganckiego stroju należała często laska lub parasol, a druga ręka była niezbędna do uchylania kapelusza przy powitaniu lub aby służyć oparciem damie przy wysiadaniu z pojazdu, otwierać przed nią drzwi itp. [przypis edytorski]

¹³³*bon jour, monsieur* (fr.) — dzień dobry panu. [przypis edytorski]

¹³⁴*Êtes-vous content de votre vie, monsieur* (fr.) — czy jest pan zadowolony ze swojego życia, panie... [przypis edytorski]

¹³⁵*à qui portez-vous ces gâteaux, monsieur* (fr.) — komu niesie pan te ciastka, panie. [przypis edytorski]

¹³⁶*pour vos enfants peut-être, n'est-ce pas?* (fr.) — może swoim dzieciom, prawda? [przypis edytorski]

¹³⁷*vous avez des enfants, n'est-ce pas?* (fr.) — przecież ma pan dzieci, prawda? [przypis edytorski]

¹³⁸*vous avez des enfants, n'est-ce pas?* (fr.) — ma pan dzieci, prawda? [przypis edytorski]

¹³⁹*vous êtes un très bon père?* (fr.) — pan jest dobrym ojcem? [przypis edytorski]

¹⁴⁰*avez-vous beaucoup d'enfants, monsieur* (fr.) — pan ma dużo dzieci, panie... [przypis edytorski]

¹⁴¹*Non, pas beaucoup* (fr.) — nie, niezbyt dużo. [przypis edytorski]

¹⁴²*Zola, Émile* (1840–1902) — francuski pisarz, główny teoretyk i przedstawiciel naturalizmu; opublikował 20-tomowy cykl powieści Rougon-Macquartowie, przedstawiający pełny obraz epoki (*Nana, Germinal, Ziemia, Kłeska*). Autor najważniejszego artykułu krytycznoliterackiego przedstawiającego teorię oraz estetykę naturalizmu *Powieść eksperymentalna*. [przypis edytorski]

¹⁴³*quels jolis noms* (fr.) — jakie ładne imiona. [przypis edytorski]

¹⁴⁴*vous* (fr.) — pański. [przypis edytorski]

¹⁴⁵*Un petit garçon de six ans* (fr.) — chłopczyk ma sześć lat. [przypis edytorski]

¹⁴⁶*n'est-ce pas?* (fr.) — prawda? [przypis edytorski]

¹⁴⁷*Mais attendez donc un peu* (fr.) — proszę zaczekać chwilę... [przypis edytorski]

— Czego pan się ogląda, *monsieur le bon père*¹⁴⁸ — ja panu ciastek nie odbiorę... Pana niecierpliwi moje gadanie, pan twierdzi, że moje gadanie nie ma najmniejszego sensu... *Mais mille pardons*¹⁴⁹ — mnie zimno i jestem przy tym trochę zdenerwowany, *un peu énérvé*...¹⁵⁰ Pan pytasz, czemu ja nie mówię po polsku? — Ach, *on m'a appris*¹⁵¹ mówić po francusku — *parler français*¹⁵². — Ja miałem także długie blond włosy, *de longs cheveux blonds*¹⁵³. — Uczyli: *l'hirondelle*¹⁵⁴ — jaskółka („h” *muette*¹⁵⁵, „h” *aspirée*¹⁵⁶) — chociaż nie widziałem jeszcze jaskółki. — *Oui, monsieur*, ja jestem bardzo dobrze wychowanym człowiekiem — *un gentilhomme*¹⁵⁷. — Tylko mi się trochę podarły portki i postrzępiała dusza. *Enfin*...¹⁵⁸

— Ale ja o pańskim synku... *Bon*¹⁵⁹... Ja już mówię po polsku... Więc pański synek ma sześć lat... *Bon*... A za rok będzie miał siedm... Pięć, sześć, siedm, ośm, dziewięć, dziesięć... Ja jestem trochę zdenerwowany, bo mi cokolwiek zimno i nie mam pieniędzy na upicie się, to jest na zapłacenie raty — a wreszcie ja tylko udaję... Ale liczyć umiem... *Alors*¹⁶⁰ — pański synek, pański milusiński — będzie miał dziesięć lat... *Il faut, qu'il aille au collège*...¹⁶¹ I zetną mu loczki — *des bourreaux*¹⁶² — okrutnicy — *féroces*¹⁶³. — Nie pozwolą mu nosić ślicznych loczków — *quel dommage!*¹⁶⁴ — Ale on pomimo wszystko będzie milusiński i będzie przepadał za ciastkami czekoladowymi, ciastkami z kremem... *Mais après*...¹⁶⁵ Jedenaście — *onze, douze, treize*¹⁶⁶ — czas płynie — *n'est-ce pas?*

— I pana milusiński, już bez jedwabnych, wijących, pukli — dzieci zawsze lubią ciastka z kremem, są milusińscy i mają jedwabne włoski. I pana milusiński *dans quelques années*¹⁶⁷ — czas szybko leci — złapie... choróbkę.

Roześmiałem się głośno.

— Nie do uwierzenia... To bobo, dla którego pan niesiesz na guziku ciastka, takie miłe szczebiocące bobo... *Mais réfléchissez un peu*...¹⁶⁸ Nie teraz, ale za ileś tam lat — *pas maintenant*¹⁶⁹ — ono myśli teraz, że bocian przynosi dzieci...

*Après*¹⁷⁰ — ja nie twierdzą stanowczo, ale jest to więcej niż możliwe... *A Varsovie il y a*¹⁷¹ 60 procent chorych dziewcząt publicznych — *vous comprenez?*¹⁷² A przecież — *progrès*¹⁷³ — postęp — *n'est-ce pas?* — Będzie 75 procent i więcej... *Vous comprenez?* — postęp! — *Et après tout*¹⁷⁴ — złe wpływy — szkoła — *vous avez lu?*¹⁷⁵ — znużenie — przeciążenie szkolne — *on a écrit*¹⁷⁶. — *Et après tout cela*¹⁷⁷ — mięsne pokarmy, piwo — miasto — *n'est-ce pas?* — I literatura — naga dusza — zakątki duszy — *ce n'est pas encore*

¹⁴⁸*monsieur le bon père* — panie dobry ojciec. [przypis edytorski]

¹⁴⁹*mais mille pardons* (fr.) — stokrotnie przepraszam. [przypis edytorski]

¹⁵⁰*n peu énérvé* (fr.) — trochę zdenerwowany. [przypis edytorski]

¹⁵¹*on m'a appris* (fr.) — nauczono mnie. [przypis edytorski]

¹⁵²*parler français* (fr.) — mówić po francusku. [przypis edytorski]

¹⁵³*de longs cheveux blonds* (fr.) — długie blond włosy. [przypis edytorski]

¹⁵⁴*l'hirondelle* (fr.) — jaskółka. [przypis edytorski]

¹⁵⁵„h” *muette* (fr.) — „h” nieme. [przypis edytorski]

¹⁵⁶„h” *aspirée* (fr.) — „h” przydechowe. [przypis edytorski]

¹⁵⁷*un gentilhomme* (fr.) — dżentelmen. [przypis edytorski]

¹⁵⁸*enfin*... (fr.) — wreszcie. [przypis edytorski]

¹⁵⁹*bon* (fr.) — dobrze. [przypis edytorski]

¹⁶⁰*alors* (fr.) — a więc. [przypis edytorski]

¹⁶¹*Il faut, qu'il aille au collège* (fr.) — powinien iść do szkoły. [przypis edytorski]

¹⁶²*des bourreaux* (fr.) — kaci. [przypis edytorski]

¹⁶³*féroces* (fr.) — okrutnicy. [przypis edytorski]

¹⁶⁴*quel dommage* (fr.) — jaka szkoda. [przypis edytorski]

¹⁶⁵*mais après* (fr.) — ale później. [przypis edytorski]

¹⁶⁶*onze, douze, treize* (fr.) — jedenaście, dwanaście, trzynaście. [przypis edytorski]

¹⁶⁷*dans quelques années* (fr.) — za parę lat. [przypis edytorski]

¹⁶⁸*Mais réfléchissez un peu* (fr.) — niech pan o tym pomyśli. [przypis edytorski]

¹⁶⁹*pas maintenant* (fr.) — nie teraz. [przypis edytorski]

¹⁷⁰*après* (fr.) — później. [przypis edytorski]

¹⁷¹*a Varsovie il y a* (fr.) — w Warszawie jest. [przypis edytorski]

¹⁷²*vous comprenez?* (fr.) — rozumie pan? [przypis edytorski]

¹⁷³*progrès* (fr.) — postęp. [przypis edytorski]

¹⁷⁴*et après tout* (fr.) — a oprócz tego. [przypis edytorski]

¹⁷⁵*vous avez lu?* (fr.) — czytał pan? [przypis edytorski]

¹⁷⁶*on a écrit* (fr.) — pisali o tym. [przypis edytorski]

¹⁷⁷*et après tout cela* (fr.) — a oprócz tego wszystkiego. [przypis edytorski]

*tout*¹⁷⁸ — postęp — sadyzm, safizm¹⁷⁹, pederastia — *ce n'est pas encore fini*¹⁸⁰ — naga dusza! — śliczna myśl — sensacja! — Trybadia¹⁸¹ — *prenez, messieurs, s'il vous plaît*¹⁸² — bestialia, nekrofilia, sadyzm — *prenez, messieurs les litteraires, c'est piquant!* — *salir, messieurs, salir!*¹⁸³

W głowie mi huczy — drzę.

— A operetki za lat dwanaście? *On ne peut pas prévoir*¹⁸⁴ — nie można przewidzieć, kto będzie nóżki na scenie zadzierał... *Cette nouvelle Kawecka*¹⁸⁵ *ou Bogorska*¹⁸⁶ *est une enfant encore... Elle est aussi âgée de trois ou quatre ans, mais elle existe déjà.*¹⁸⁷ — *Elle demeure peut-être, rue*¹⁸⁸ Kacza, Solec, Zajęcza, Rybaki — *qui le sait?*¹⁸⁹... *Et votre*¹⁹⁰ milusiński, który lubi ciastka z kremem i ma jedwabne włoski, zepsuje się — *il sera gâté.*¹⁹¹ *Et après rzeźączka, a może gorzej — encore pis*¹⁹² — syfilis! — *qui le sait? tout est possible.*¹⁹³ — *Un vénérien lui dira sans doute*¹⁹⁴: „No nic, nic — nie bój się pan — masz pan tylko o jeden przymiot więcej”. Ten lekarz jest zapewne także jeszcze młody, ale on już także *jest*. Może w tej właśnie chwili wertuje atlas Heitzmana¹⁹⁵ lub kurs anatomii patologicznej profesora Przewoskiego¹⁹⁶... Jest już, jest, jest... Ha! ha! ha!

— Ja pana nudzę, prawda? Pan nie rozumie, czego ja od pana chcę? Ja sam nie wiem dobrze... Ba — ja bym chciał umazać panu gębę kremem z tych ciastek na guziku. — Ale pan by się umył, a za mną biegłby tłum i ryczałby: „wariat, wariat!” — Tłum często tak ryczy, nie przez złość — bo tłum nie jest zły — tylko posłuszny. — „Na kolana!” — tłum klęka. — „*Vivat Sienkiewicz albo Battistini*”¹⁹⁷ — tłum ciska czapki i bije oklaski. — „*Conspuez*”¹⁹⁸ Sienkiewicz” — tłum syka i pluje. — Tłum nie jest zły: tłum wychowuje dzieci!...

Głowa mi gore. Przepaliły się wiązania i runął dach. Ogień zwęglil mi czaszkę i wcisnął się w sam mózg. Płonie, syczy — wyskakuje snopem iskier i ogarnia, piecze i pochłania każdą myśl, każde uczucie. — Dusi mię dym, gryzie oczy, piecze piersi, wżera w płuca — niszczy i pali.

Chwuję się — idę za panem z paczką na guziku.

— *Eh bien! Votre fils, votre*¹⁹⁹ milusiński — *quel joli nom* — będzie miał *une blennorrhagie*²⁰⁰ — *c'est absolument vrai*²⁰¹. — To przykre, ale cóż na to poradzić? *Quand votre fils aura l'âge de 20 ans, vous lui direz vous même: „mon fils, il faut que tu sois un cochon”*.²⁰² — Synu, ty musisz być świnią... ale tylko do ślubu... i tylko ostrożnie... i nie za często...

¹⁷⁸*e n'est pas encore tout* (fr.) — i jeszcze nie wszystko. [przypis edytorski]

¹⁷⁹*safizm* — miłość lesbijska, od imienia greckiej poetki Safony. [przypis edytorski]

¹⁸⁰*ce n'est pas encore fini* (fr.) — jeszcze nie koniec. [przypis edytorski]

¹⁸¹*trybadia*, właśc. *trybada* — miłosny związek kobiet. [przypis edytorski]

¹⁸²*prenez, messieurs, s'il vous plaît* (fr.) — chwytajcie, panowie, proszę bardzo. [przypis edytorski]

¹⁸³*prenez, messieurs les litteraires, c'est piquant!* — *salir, messieurs, salir* (fr.) — chwytajcie, panowie literaci, to pociąga — brudu, panowie, brudu. [przypis edytorski]

¹⁸⁴*on ne peut pas prévoir* (fr.) — nie można przewidzieć. [przypis edytorski]

¹⁸⁵*Kawecka, Wiktoria* (1875–1929) — śpiewaczka operetkowa nazywana Słowikiem Warszawy. [przypis edytorski]

¹⁸⁶*Bogorska, Helena* (1875–1920) — śpiewaczka operetkowa. [przypis edytorski]

¹⁸⁷*Cette nouvelle Kawecka ou Bogorska est une enfant encore... Elle est aussi âgée de trois ou quatre ans, mais elle existe déjà* (fr.) — Taka nowa Kawecka albo Bogucka jest jeszcze dzieckiem... Ona też ma trzy albo cztery lata, ale już tu jest. [przypis edytorski]

¹⁸⁸*elle demeure peut-être, rue* (fr.) — mieszka może na ulicy. [przypis edytorski]

¹⁸⁹*qui le sait?* (fr.) — kto wie? [przypis edytorski]

¹⁹⁰*et votre* (fr.) — a pański. [przypis edytorski]

¹⁹¹*il sera gâté* (fr.) — zepsuje się, będzie zepsuty. [przypis edytorski]

¹⁹²*encore pis* (fr.) — jeszcze gorzej. [przypis edytorski]

¹⁹³*qui le sait? tout est possible* (fr.) — kto wie? Wszystko jest możliwe. [przypis edytorski]

¹⁹⁴*un vénérien lui dira sans doute* (fr.) — wenerolog powiedział mu zapewne. [przypis edytorski]

¹⁹⁵*Heitzman, Carl* (1836–1896) — twórca licznie wznawianego atlasu anatomicznego. [przypis edytorski]

¹⁹⁶*Przewoski, Edward* (1849–1925) — profesor anatomii na Uniwersytecie Warszawskim, patolog. [przypis edytorski]

¹⁹⁷*Battistini, Mattia* (1856–1928) — włoski śpiewak operowy, baryton. [przypis edytorski]

¹⁹⁸*conspuez* (fr.) — plujcie. [przypis edytorski]

¹⁹⁹*eh bien! Votre fils* (fr.) — więc tak, pański syn. [przypis edytorski]

²⁰⁰*une blennorrhagie* (fr.) — popr.: *une blennorrhagie*, rzeźączka. [przypis edytorski]

²⁰¹*une blennorrhagie, c'est absolument vrai* (fr.) — rzeźączkę, to rzecz pewna. [przypis edytorski]

²⁰²*Quand votre fils aura l'âge de 20 ans, vous lui direz vous même: „mon fils, il faut que tu sois un cochon”* (fr.) — Kiedy pana syn będzie miał 20 lat, sam mu pan powie: „synu, trzeba być świnią”. [przypis edytorski]

i nie za kosztownie... w miarę... Bo tłum zawsze w miarę... *Les idées, les sentiments, les coconneries — tout...*²⁰³ Ha! ha! ha!

Obejrzał się. Oddzielało nas dziesięć kroków zaledwie.

— Zapewne pan jest ciekawy, panie z ciastkami na guziku, *de qui peut-il attrapper cette maladie*²⁰⁴, pański milusiński? *Le sais-je?*²⁰⁵ Ale ona dzieckiem już gdzieś. Może kolysze w tej chwili małego brata na Brzozowej albo Krzywym Kole. — *Vous comprenez donc que je ne puis le savoir — je ne suis pas un prophète.*²⁰⁶ — A ją zarazi chłopczyna, który ma teraz lat dwa, trzy, cztery — z Kielc, Lublina, Włocławka, Kalisza, miasteczka lub wsi, której nazwy pan nie znasz. Może ma ubranko kapucyna, żeby się chował, jęczmień na oku z brudu — i angielską chorobę. — On może w tej chwili właśnie zaciąga się z chłopakami niedopałkiem papierosa albo odbiera od ojca bity, że nie poszedł do kwaśnika zmywać butelki... Dziwne zestawienie — on i pana milusiński. — *Mais tout est possible.*²⁰⁷

Opieram się o mur. Biegnę, żeby go nie stracić z oczu.

— *Vous pensez, monsieur, que j'ai fini? Pas encore... Vous avez encore une fillette.*²⁰⁸ — Anielka — *n'est-ce pas?* — Ona ma także jedwabne włoski — milusińska — i szczebiocze — i czarne albo niebieskie oczki — *n'est-ce pas?* — Ona ma trzy latka, lubi także ciastka z kremem i lubi zeskubywać z tortu konfitury? — *Il faut le défendre.*²⁰⁹ — Dzieci nie powinny zeskubywać konfitur z tortu. Dzieci powinny być grzeczne i czekać, aż im dadzą — dzieci powinny być dobrze wychowane — *bien élevés*²¹⁰. — Za nic w świecie nie wolno pozwalać im zeskubywać konfitur... Pan także musiałeś być dobrze wychowany — i oto masz pan futro i ciastka na guziku — i pan także przed ślubem — to jest — pańska milusińska wyjdzie za męż. — Ona lubi ciastka z kremem i młodo wyjdzie za męż... *Il faut profiter du moment*²¹¹... Kariera — pałeczka kapelmistrza do góry — furda higiena! — kocha ją — *un, deux, trois*²¹². — Za młoda? — *Ce n'est rien*²¹³... Hm... Że ci lekarze nie mają środka na choroby kawalerskie — kawalerskie — ha! ha! — kawalerskie!... Oni umieją tylko podawać statystyki. — Kto? — No — lekarze.

Przystanął przed oknem księgarni. Przy tymże oknie stoi chłopiec obdarty i patrzy na złożone oprawy. Chłopiec spojrzął na pana z ciastkami, odsunął się na bok, wykręcił i poszedł.

— Głupie jest życie, panie z ciastkami na guziku. Pan ma już pewnie kilka siwych włosów, pan nosisz już pewnie w wątrobie, nerkach czy sercu swą śmierć — prawdziwą śmierć — *la mort*²¹⁴.

Ogarnia mnie coraz większe znużenie. Myślę teraz powoli — myśli jakby się tliły leniwie w popielisku.

— Życie głupie — po co żyć? — Bo ja na przykład chcę napisać arcydzieło. — Choć i arcydzieło jest głupie. — Tłum ośmiesz — *la foule*²¹⁵! — *Iliada* z komentarzami Mansztejna²¹⁶, książeczką do słówek i rozbiorem podług gramatyki Szulca²¹⁷ czy Czernego. — *Hamlet* — historia bałwana syna wielkiego ojca — *Hamlet* grany w Koninie; — albo *Tadeusz* w miniaturowym wydaniu za 1 rb. 80 kop. w saloniku panny na wydaniu — albo — porządny człowiek — co?

— Pan pewnie chcesz wychować dzieci na porządnym ludzi?... Czemu pan tak prędko idzie?... Zaraz — ja jeszcze nie wszystko panu powiedziałem... Wie pan, jak ja bym

²⁰³*les idées, les sentiments, les coconneries, tout...* (fr.) — myśli, uczucia, świństwa, wszystko. [przypis edytorski]

²⁰⁴*de qui peut-il attrapper cette maladie* (fr.) — u której on złapie tę chorobę. [przypis edytorski]

²⁰⁵*Le sais-je?* (fr.) — czy ja wiem? [przypis edytorski]

²⁰⁶*Vous comprenez donc que je ne puis le savoir, je ne suis pas un prophète.* (fr.) — Sam pan rozumie, nie mogę tego wiedzieć, nie jestem prorokiem. [przypis edytorski]

²⁰⁷*Mais tout est possible* (fr.) — wszystko możliwe. [przypis edytorski]

²⁰⁸*Vous pensez, monsieur, que j'ai fini? Pas encore... Vous avez encore une fillette* (fr.) — Myśli pan, że ja skończyłem? Jeszcze nie... Ma pan jeszcze córeczkę. [przypis edytorski]

²⁰⁹*il faut le défendre* (fr.) — nie trzeba na to pozwalać. [przypis edytorski]

²¹⁰*bien élevés* (fr.) — dobrze wychowane. [przypis edytorski]

²¹¹*il faut profiter du moment* (fr.) — trzeba wykorzystać moment. [przypis edytorski]

²¹²*un, deux, trois* (fr.) — raz, dwa, trzy. [przypis edytorski]

²¹³*ce n'est rien* (fr.) — to nic. [przypis edytorski]

²¹⁴*la mort* (fr.) — śmierć. [przypis edytorski]

²¹⁵*la foule* (fr.) — tłum. [przypis edytorski]

²¹⁶*Mansztein, Siergiej Andrejewicz* (1861–1934) — ros. filolog klasyczny. [przypis edytorski]

²¹⁷*Szulc, Dominik* (1797–1860) — autor podręcznika do gramatyki łacińskiej. [przypis edytorski]

chciał dzieci moje wychować?... Ja nie mam na szczęście dzieci, tylko tak sobie mówię... Więc chcę, na przykład, sam jeden wybudować wielki szpital; ale jeden człowiek nie może tego zrobić... Więc żenię się i mam dziesięcioro dzieci. A kropla po kropli sączę im w serca swą myśl — gorące pragnienie. — I oto po latach pan jeden staje się dziesięcioma. Jeden syn, agronom, zalesia okolicę, zakłada obory i ogrody; drugi, budowniczy, robi plan i kieruje robotami przy wznoszonym szpitalu, trzeci jest księdzem i modli się za pomyślność przedsięwzięcia, czwarty będzie lekarzem — córki dozorczykami. A gdy każde z dziesięciorga będzie znów miało po dziesięcioro — to pan jesteś — sto — stu ludzi... A inaczej chowasz je pan dla cukierników, krawców, prostytutek (miecz), akuserek (kądział), dla magazynów pogrzebowych i ogrodników (wieńce), i redakcji (nekrologie) — bo inaczej...

Wchodzi do bramy. Wytężam resztę sił i dobiegam:

— Panie! Dziś jeszcze nie jadłem!

Stróż wstaje, by mnie zatrzymać. Wbiegam na schody.

— Nie jadłem — powtarzam.

— Dlaczegoś od razu nie powiedział? — pyta.

Patrzy na mnie przenikliwie.

— Bo się wstydzilem.

— A czego wlokłeś się za mną?

— Nie wiem.

Dreszcz raz po raz mną wstrząsa.

Otwiera drzwi kluczem od zatrzasku.

— O, tatuś przyszedł! — słyszę okrzyk.

Rozpiął futro.

— Masz! — A na drugi raz każę cię aresztować...

Chwytam za klamkę. Moneta z brzękiem wypada mi ze skostniałej ręki. Mówię szybko gorączkowo:

— *Vous vous trompez, monsieur. Vous me prenez pour un voleur. J'étudie la médecine*²¹⁸... *On m'a congédié — vous comprenez... J'ai de vieux parents... Ils ne savent rien... J'ai vraiment faim... Je n'ai encore rien mangé aujourd'hui.*²¹⁹

Ciekawość i jakiś cień niby-współczucia walczą w nim z nieufnością.

— Proszę wejść, bo zimno leci.

Zamykam drzwi za sobą.

— Dlaczego pan nie mówi po polsku?

— Bo pan by mnie nie uwierzył... Pan jest syty — pan nie wie, czym jest głód i mróz.

Kazał mi wejść do gabinetu. Zapalił dwie świece na biurku.

— Jak się pan nazywa? — zapytał, oddając lokajowi futro.

— Nazwiska swego panu nie powiem.

— Więc co ja mogę dla pana zrobić?

Przez uchylone drzwi zagląda jasnowłosa chłopczyna.

— Kazio, drzwi zamknąć! — powiedział niecierpliwie.

— Pana synek nazywa się Kazio? — zapytałem szybko i dziwnie.

— Bo co?...

— Nic...

— Więc co ja mogę dla pana zrobić?

— Niech mi pan da pięć rubli.

Bez słowa wyjął portmonetkę i podał mi złotą monetę.

— Przepraszam — szepnąłem.

Ogień wystąpił mi na czoło. Spuściłem oczy. Uczułem w rękę niedostrzegalny niemal ruch, jak gdybym chciał oddać.

— Zwróci mi pan przy okazji.

²¹⁸ *médecine* (fr.) — popr. *médecine*. [przypis edytorski]

²¹⁹ *Vous vous trompez, monsieur. Vous me prenez pour un voleur. J'étudie la médecine... On m'a congédié — vous comprenez... J'ai de vieux parents... Ils ne savent rien... J'ai vraiment faim... Je n'ai encore rien mangé aujourd'hui.* (fr.) — Pan się myli. Bierze mnie za złodzieja. Studiuję medycynę... Zostałem wydalony, pan rozumie. Mam starych rodziców. Oni o niczym nie wiedzą. Naprawdę jestem głodny. Niczego jeszcze dzisiaj nie jadłem. [przypis edytorski]

Ukloniłem się i wyszedłem.
 — Ten mały nazywa się Kazio... Ciepło u nich... Obszerny gabinet — ciepło — ciepło — ciepło!
 Było mi wstyd, strasznie wstyd...
 I przyszło mi na myśl, że wszystko jest przecież farsą — farsą — farsą — tak — tylko farsą.
 Żeby zapamiętać adres.
 — Czego się gapisz? — pytam stróża. — Nie ukradłem tu nic.
 — Idź pan... idź...
 Stałem i chwilę patrzyłem na dom: jeżeli numer zapomnę, to poznam i tak... I od-
 dam!...
 Skręciłem w boczną ulicę.
 — Żeby szynk albo co?... Mała, mała! — Wolna jesteś? — Patrz, mam pięć rubli.
 — To chodź ze mną.
 — A ciepło u ciebie?
 — Ciepło.
 — A blisko?
 — Tu zaraz.
 — To masz... Ale musisz kupić na kolację.
 — Dobrze.
 — Upijemy się — dobrze?
 — No, dobrze.
 — A chcesz się upić?
 — Chcę.
 — A sama mieszkasz?
 — Sama.
 Weszliśmy w głębokie podwórze. Otworzyła drzwi parterowego pokoju.
 Ciepło.
 Odkręciła knot przyćmionej lampy.
 Piec ciepły. Grzałem skostniałe ręce. Zęby mi szczykały. Ciepło paliło. Ciepło!
 — No — więc już idę.
 Zdjąłem z łóżka kołdrę, okryłem się, przystanąłem krzesło do pieca, usiadłem i przy-
 warłem plecami do gorących kaffi. Parzyły przez watę kołdry, a było mi zimno.
 Zacząłem się śmiać.
 Wróciła.
 — Czego się śmiejesz? — pyta obojętnie.
 — Z życia się śmieję. Życie jest czasem tak pocieszne.
 — Tylko mi kołdry nie spal. Pokaż no.
 — Nic... nic... Daj buzi... Jak ty się nazywasz?
 — Joasia.
 — Upijemy się, Joasiu, za zdrowie śmiesznego życia. — Bo ty wcale nie wiesz, jacy
 my — ja i ty — i te pięć rubli, i ta kołdra — jakie to wszystko pocieszne.
 Było mi tak bajecznie wesoło i ciepło.
 — No, daj buzi — i otwórz czystość.
 Spełniła moje polecenie jak automat. Byłem gościem, o którego względy nie bardzo
 potrzeba się ubiegać. Tacy nie bywają stali.
 — Wiesz, Joasiu, ty jesteś brzydka... ty musisz mieć niewielkie powodzenie.
 Wyjęła dwa kieliszki z komody, wytarła je o fartuch. Przesunęła stół do pieca.
 — Odsuń się. Mam mięso z obiadu.
 Wyjęła z pieca garnek żelazny, wyłożyła na talerz kawałek czarnego mięsa i kilka łyżek
 gryczanej kaszy.
 — Więc pijemy za zdrowie komika — życia... Siadaj przy mnie... Nie masz pojęcia,
 jaki on był śmieszny.
 — Kto? — zapytała obojętnie.
 — No ten... Nalej jeszcze.
 — Masz, zakąś...
 — Nie chcę... Ale dlaczego nie pytasz, jak ja się nazywam?

Wzruszyła ramionami.
 — Janek się nazywam... Jaka ty niedobra.
 — Bo co?
 — Ja jestem wesół, a ty taka jakaś...
 Westchnęła.
 — Nie, Joaśka, ty nie jesteś brzydka. Ja naumyślnie powiedziałem, żeby cię rozgniewać.
 — Ja sama wiem, jaka jestem.
 — No więc jaka jesteś?
 — Daj mi spokój.
 — No, i już się gniewa... Czego ty się na mnie gniewasz?
 — Wcale się nie gniewam.
 — Tylko co?
 Posadziłem ją na kolanach.
 — Joasia pewnie głodna, to dlatego smutna. A jak nakarmię, to będzie wesola — prawda?
 I karmiłem ją kaszą z widelca.
 — Słuchaj, Joaśka, nie gniewaj ty się na mnie. Widzisz, ja jestem taki biedny. Jak wszyscy się będą na mnie gniewali, to co ja biedny zrobię? A jak wszyscy się będą gniewali i nikt mnie nie będzie kochał, i nikt mnie nie da buzi, to ja będę ciągle taki biedny i co ja wtedy zrobię?
 — Kiedy się wcale nie gniewam.
 I pocałowała mnie.
 — E, tak to ja nie chcę.
 — A jak chcesz?
 — Nalej wódzi, pocałuj w oczki i powiedz: „Mój Jańciu, Joasia się wcale na Jańcia nie gniewa” — i potem wypij pół kieliszka, i nalej Jankowi w dziobek resztę... Dobrze?
 — No dobrze.
 — E, kiedy ja tak nie chcę.
 — E, kiedy nudzisz.
 — Tak? To ja nudzę? No dobrze. Kiedy nudzę, to sobie pójdę. Pójdę na mróz i już. Wstałem.
 — Zostańże.
 — Nie chcę.
 — To nie... Masz swoje pieniądze i idź do diabła.
 — Nie chcę pieniędzy brać.
 — No to zostań i nie nudź.
 — To bądź dla mnie dobra i nie rób mi krzywdy.
 — To już nie będę... No, to napijmy się na zgodę... No, i jeszcze po jednym.
 — Już nie chcę.
 — To będzie ostatni.
 — Nie będę piła.
 — To i ja nie.
 — To nie...
 — A teraz opowiedz mi bajkę.
 — Nie umiem bajek.
 — Umiesz, tylko nie chcesz, bo ja ciebie proszę.
 — Mówię ci; przecież, że nie umiem.
 — To opowiedz mi byle jaką bajkę.
 — Żadnej nie umiem.
 — To opowiedz mi taką bajkę, którą ci opowiadali, kiedy byłaś jeszcze mała.
 — Nie nudź.
 — Kiedy ja chcę nudzić. Ja chcę, żebyś mi opowiedziała tę bajkę, którą ci opowiadali, jak byłaś jeszcze dzieckiem.
 — Upileś się, to śpij. Albo idź sobie do choroby ciężkiej — powiedziała twardo.
 I zrozumiałem nagle.
 — Co ci jest? — zapytała.

— Nic... nic... Już wiem. Teraz już wiem.
 — Co ty wiesz?
 — Wszystko wiem... Zaraz ci powiem... Poczekaj chwileczkę, to ci powiem... Joasiu!
 Drgnęła.
 — Joasiu!
 — Co?
 — Przytul się do mnie... Nie bój się mnie... Ja nie jestem złym człowiekiem... Ja ci nie zrobię krzywdy...
 — Żebyś ty wiedział; jakiś ty śmieszmy.
 — Ja wiem, wiem.
 I rozplakałam się.
 — Czego ty beczysz?
 — Bo mi ciebie strasznie żal.
 — Łaskę mi robisz.
 — Strasznie mi ciebie żal.
 — No dobrze, ale już śpij.
 — Nie chcę.
 — A co chcesz?
 — Co chcę, to chcę.
 Cisza.
 — Joasiu.
 — Ja się wcale nie nazywam Joasia, tylko Kasia.
 — A dlaczegoś ty mi powiedziała, że Joasia.
 — Bo mi się tak podobało.
 — Kiedy ty znowu kłamiesz.
 — To nie wierz.
 — A nie wierzę...
 — To nie...
 — Słuchaj, mała — czy tobie czasem smutek nie stanie tak w gardle jak kość? Tak jak kość — jakby cię dławiła kość — i jest ci bardzo źle? Tak czy nie?
 — Co nie?
 — Czy jak ty chodzisz po ulicy tam i na powrót — ciągle tam i na powrót — a oni przechodzą koło ciebie tak obojętnie, jak koło latarni — tylko spojrz i pójdzie sobie dalej, a ty chodzisz tam i na powrót ciągle — jak jest na przykład deszcz — a potem wracasz sama do domu — to ty myślisz wtedy, że nic nie zarobiłaś — czy nic nie myślisz, tylko czujesz w gardle kość? — Co?
 — Kiedy nie rozumiem.
 — Albo jak są twoje imienniny, albo imienniny twojej mamy, albo ojca, albo czyje; albo jak jest Boże Narodzenie i wszyscy chodzą z paczkami na guzikach... Albo czy tobie się nie zdaje, że jesteś sama na świecie... I prawda, że ty umiesz bajki, bo pamiętasz, tylko nie chcesz?
 — Znowu zaczynasz z tymi bajkami... Puść mnie.
 — Kasiu!
 — Puść mnie... Idź do cholery.
 — No, nie, już nie... Tylko powiedz mi, czy jak ty widzisz, że kobieta prowadzi dziecko za rączkę... Czy ty czasem nie chciałabyś kupić karmelków albo ciastek, żeby się to dziecko cieszyło?
 — Jakie dziecko?
 — Wszystko jedno.
 — Tak gadasz, jak całkiem wariat.
 — Bo ty udajesz, że mnie nie rozumiesz.
 — Bo gadasz jak głupi.
 — A dlaczego drżysz?
 — Boś całą koldrę ściągnął...
 — Bo widzisz, ja ciebie bardzo kocham.
 — Bez łaski.

— Ja wam bardzo dużo zawdzięczam. Wy pierwsze nauczyliście mnie, co znaczy podłość. Ja chciałem ze Staśkiem mieć kazania, żeby was nie było.

— A jakże.

— Podczas pauzy tośmy się wzięli za ręce i chodzili, i jedli bułki na śniadanie, i układali takie kazania, żeby już nowych wcale nie było, a z tymi, co są — żeby się ożenił z każdą ten pierwszy; a reszta żeby zarabiała szyciem... Mieliliśmy dla nich wybudować duży dom... Stasiak wstąpił do seminarium, a ja miałem później. Ale on umarł na wrzód w gardle... On się kochał nawet w kuzynce; miała brązowy mundurek i dwa czarne warkocze, a teraz ma pensję jednoklasową na Pradze... Ona miała być siostrą miłosierdzia w tym domu... I żeby was już nie było, bo to straszny wstyd...

— Dla kogo?

— Bo ja wiem: chyba dla was i dla nas.

— A bo my nie takie same jak inne?... Ty może także sobie myślisz. Jak przyjdzie który, to tak nadokucza, a jeszcze może i nic nie da. A doktor, a policja... To się tylko nazywa lekki chleb.

— Ja wiem... wiem... wiem...

14 grudzień

Za wiersze i nowelkę dostałem z kalendarza siedm rubli.

Mam lekcje u właściciela garkuchni za obiady.

Jest mi zupełnie dobrze.

Wikta pokazała mi kartkę, którą jej na Kępie w lecie wyciągnęła biała myszka:

„Wagi Nr 5 księżyc

Pozostajesz za często w samotności i jesteś osobą zbyt czułą. Niepokój o twoje zajęcie trapi cię bardzo, trzeba mieć odwagę. Wkrótce otrzymasz pochlebne wiadomości, z których dowiesz się o zdradzie, w którą cię usiłował ktoś, w kim miałś zaufanie; będziesz triumfować nad twoimi wrogami i wykryjesz tych, którzy ci chcą szkodzić; twój planeta wskazuje na przeciwnieństwo, lecz to nic nie znaczy.

Twój horoskop zwiastuje ci szczęście, lecz w tym, co on przepowiada, trzeba czekać zdarzenia. Pilna praca wyrwie cię z niebezpieczeństwa lekkomyślności. Będziesz używać długiego i przyjemnego życia.

Niedziela szczęśliwa dla ciebie”.

Sprawdziło jej się wszystko, co stoi napisane w tej kartce.

ICH POEZJA

Zaległa cisza.

Lampka żółtym cieniem spowija izbę suteryny, jej ubogie sprzęty i znużone świętem twarze mieszkańców.

Istnieje pewien niepokój, zdziwienie mięśni przywykłych do natężonych skurczów, a dzisiaj oto beczynnych. Zmęczyły się twarde ręce i tułów spoczynkiem, zmęczyły płuca przewiewem czystego powietrza cmentarnego.

I myśl się błąka, wytrącona z wąskiej ścieżki drobnych trosk. Troski drobne nie zakreślają podniebnych tęcz, ale nikłym kłębkim zwijają się dokoła wielu istot. Troski wielkie zarazem, bo dzieciom jeść dać trzeba, samemu jeść trzeba, a o chleb trudno, choć ziemia tyle ziarna daje, i kąć mieć trzeba, a choć na spółkę, i to wypadnie cztery ruble na miesiąc bez mała.

Zaległa cisza.

Matka, karmiąc piersią swoje najmłodsze, ciągnie opowieść:

„Tak ja siedzę sobie z moim Franusiem na kolanach. Franuś tak palił jak ogień: oczka niby to miał zamknięte, ale widać, jak mu tam iskry od gorączki latają, i tak dyszy, jakby co go zatykało. Ani stęknie, ani zapłacze, nic, tylko dyszy biedota. Mojego wtedy nie było:

Matka, Śmierć

wyjechał na robotę. Śnieg nawalił i linię czyścili coś bez dwa tygodnie. Stefka i Tomek spali. A ja z moim Franusiem siedzę sobie na stołeczku przy piecu, jak teraz z Cześkiem.

W zimie na takiej wsi, jak na wsi: cicho i cicho.

Jak ojciec był w domu, to trochę dzieciaka potrzymał, to się tam położyłam na jaką chwilę. Chociaż ja znowu taka jestem, że jak mi które chore, to ani oka nie zmrużę. A i to do ojca w chorobie nie chciał iść, tylko: mama i mama. Bo tak, to bardzo ojca kochał. Jak mój wróci z roboty, tak mój Franuś leci i ciąga go za kaptę: »a ty coś dla Frania przyniósł?« To jak mu w żartach powiedział, że nie ma nic, oho, już go mój Franuś wypycha: »idź i kup«. Mój to już o tym wiedział, to mu tam zawsze przyniósł albo karmelek, a to to, a to sio. Takie to było mądre bachorzysko, że Jezus Maria. Aż się wszyscy dziwili, i zadziwili się na śmierć”...

Zebrani znają historię śmierci dziecka; słyszeli ją kilkakrotnie, z różnymi szczegółami i coraz to nowymi zmianami, ale słuchają mimo to: przyjemnie posłuchać ciekawej historii.

Dzieciom kleją się oczy, ale i one siłą zwalczają sen.

A matka ciągnie opowieść:

„Więc siedzę ja sobie z moim Franusiem na kolanach i nie śpię; tylko co raz to mnie tak zamroczy od niewyspania; ale wszystko słyszę. A mieliśmy komodę, co jeszcze matka mi ze swego darowała; ładna była komoda, bo ustawna, a mało miejsca zajmowała. Dopiero jak mieliśmy już jechać do Warszawy, tak nas zaczęli pętać: a to się połamie, a po co wozić? a my sami jeszcze nie wiedzieli, jak to będzie, tak my ją sprzedali za cztery ruble, po znajomości.

Więc ta komoda stała pod oknem, a na niej lampka, zupełnie tak jak teraz. A tu znowu jakby łóżko, a na poprzek kuferek, a dalej przy ścianie kołyska i już komin. (Tylko że to nie było w suterynie, więc okno było nisko, zwyczajnie). Ja siedziałam z Franusiem jakby tu. A w naszej sieni nikt więcej nie mieszkał, bo tu zaraz było podwórze, a tam znowu ogród, taki sobie sadek.

Więc się ta lampka pali, a ja precz siedzę. Ale jakem oczy zamrużyła, tak jakby mi się coś przywidziało, że mi jakoś przed oczami to ciemno, a to znowu jasno. Otwieram oczy, a tu w moją lampkę jakby coś dmuchało; tak ten ogień migoce, to tu, to tam, to tu, to tam. Ale ja jeszcze nic, bo myślałam, że mi się tak tylko zdaje. Ale potem znowu, to tak jakby coś zimnego przeleciało przez pokój.

Wtedy to mnie już coś tknęło. Chcę wstać, a nie mogę, chcę, a nie mogę. I tak siedziałam z pięć minut. Ale jeszcze nie wierzę. A tu od razu jak nie huknie w komodę; jak ja się nie zerwę i nie dolecę. Aż się cała izba zatrzęsa. — Jeszcze myślałam, że to może które z dzieci, ale patrzę śpią. Więc ja tak stoję jak zmartwiała: ani głosu, ani się ruszyć, no nic i nic. Tylko Franusia przycisnęłam i patrzę w lampkę. A tu za drzwiami tak: chlap, chlap — chlap, chlap — chlap, chlap. Tak ja trochę oprzytomniałam, rzuciłam tylko Franusia na łóżko, a sama do sieni. Sień była może na długość jak ten pokój, tylko wąska. A tam już drzwi i na podwórze. Tak jak ja tak stanęłam, tak tylko widziałam, jak się te drzwi odchyliły i coś skrzypnęło, ja jeszcze sobie nie wierzyłam i na dwór: myślałam, że może złodziej. Nic tam ważnego w sieni nie stało, ale zawsze szkoda.

Księżyc był jasny taki, śnieg aż się iskrzył i ani żadnego znaku, ani nic: kamień i woda. Tak ja do izby. Zatrzasłam²²⁰ drzwi, patrzę, a tu mój Franuś cały dygocze, jakby go co podrzucało, i taki się siny zrobił w jednej chwili, że okropnie. A potem już nic, tylko dygocze i tak jakby chciał coś mówić, bo patrzył na mnie. Ale nic, tylko rączyny wyciągnął, to mu tak latały, i ani nie zapłakał.

Tak ja dopiero w krzyk. A tu się kobiety pozlatały i dopiero: a smarowanie, a to, a tamto. A ja już nic, nic, tylko proszę, żeby go już nie męczyli, bo to już nic nie pomoże.

No i co wy powiecie, moi państwo — za jaką godzinę może już nie żył mój Franuś”...

Ciekawa historia skończona. W głowie matki nie znalazłbyś żalu po jej Franusiu. Toć prócz tych trojga dzieci, co zmarły, jest jeszcze czworo. A czworo dzieci obuć, opruć, nakarmić, a na noc do snu ułożyć i jeszcze czym ciepłym przykryć — trudno bywa.

²²⁰zatrzasłam — popr.: zatrzasnęłam [przypis edytorski]

W głosie matki brzmi odcień dumy, że ot, jej Franuś swą śmiercią nadprzyrodzone siły poruszył, że istnienie jego wplotło się w ów świat tajemniczy, gdzie spoczynek i nagroda za życie w znoju — i kara straszna za grzechy.

Głos matki tchnie przejściem, a serce tak silnie uderza jak w piersi twórcy.

Ciekawa historia skończona.

I ona, i słuchacze mają policzki spłonione, i ona gotowa by opowiadać, a oni długo jeszcze słuchać...

Toć te mogiłki dziecięce, gęsto rozsiane po kraju, to pierwiastek poezji w szarym bycie pracowników jutra.

DZIWNY ŚWIAT

Za szerniałym, niegdys białym parkanem ciągnie się nasz dom, aż prawie ku Wiśle samej.

Obok parkanu tylko dwa sklepy frontowe w parterowym, murowanym budynku, pralnia i sklepik spożywczy. Garkuchnia²²¹ należy już do sąsiedniego domu.

Olbrzymi podwórzec prowadzi do czteropiętrowej poprzecznej oficyny²²²; za którą jest drugie podwórko.

Po prawej stronie pierwszego stoi przylepiona do parkanu spleśniała i przewiewna altana, którą zajmuje stróż z żoną, pomocnikiem i czworgiem dzieci. Po tej stronie ciągną się stajnie dorożkarskie, wozownie i mieszkania ludzkie — na przemian.

Wynajęte i zamieszkałe jest tu wszystko, wszystko, cokolwiek ma dach, niekoniecznie cały, ściany zbite z niekoniecznie przylegających do siebie desek, co ma lub nie ma podłogi, a nawet okien.

Dziwne: im dana izba mniej posiada właściwości czyniących ją zdatną na schronisko ludzkie, tym szybciej znajduje wiernych i licznych lokatorów. Jest tu podobno nora, do której się wchodzi przez okno, z dachu lodowni — mieszka tam „wariatka”, a nie mam odwagi iść do niej, by sprawdzić. — Przyłapałem raz jej chłopca na dole w sieni; wziąłem go za rękę i chciałem zapytać, sam nie wiem, o co; zapewne: jak się nazywa? Spojrzał na mnie przestraszonymi oczyma, których wyrazu długo nie zapomnę; wyrwał się i skacząc w dół po cztery stopnie, skrył się w ciemnej piwnicy. Chciałem zejść za nim, ale obawiałem się, że w ciemni piwnicznego korytarza ujrzę dwoje błyszczących oczu i skurczoną jak do skoku postać — i że mnie podrapie.

Po lewej stronie podwórza ciągnie się murowany parterowy budynek; do niego przylega drewniana jednopiętrowa budowla i dalej wąski jednopiętrowy murowany budynek z drewnianymi facjatami.

Dziwna płatanina. — Ale pamiętać należy, że ogromny, prawie pusty przed laty plac kilka razy zmieniał właściciela, a każdy nowy właściciel starał się coś swego wprowadzić do własnej posiadłości. A że miejsca było wiele, więc nikt nie burzył tego, co poprzednik postawił, a każdy tylko budował, dostawiał, przylepiał.

Przed kilkunastu laty kilka stajen nie było wynajętych i przerobiono je na mieszkania. I tak zostało, i są one między wozowniami.

Mieszka tam między innymi kościarz²²³ z rodziną. Siedząc raz wieczorem w ustępie, widziałem, jak jeden z synów kościarza czytał książkę, a rodzice słuchali.

I długo stałem na siedzeniu (siedzieć nie można, bo brudno) i patrzyłem na chłopca czytającego rodzicom książkę. — Szyby ich mieszkania nie były zamarznięte; szyby w dzień tylko pokryte są lodem, wieczorem, gdy wszyscy są w izbie i lampa się pali, szyby potnieją i schną. Śmieszne: stoję wpatrzony w mdły kwadrat okna, gdzie syn czyta nieczytelnym rodzicom jakąś drukowaną bibułę.

Raz Wikta długo w noc przepisywała swym niezgrabnym piśmem operetkowe kuplety²²⁴ z książeczki pożyczonej od koleżanki w magazynie...

²²¹*garkuchnia* — jadalnia. [przypis edytorski]

²²²*oficyna* — budynek dobudowany z tyłu lub z boku kamienicy. [przypis edytorski]

²²³*kościarz* (daw.) — człowiek zbierający kości, handlujący kośćmi. [przypis edytorski]

²²⁴*kuplet* — krótki utwór satyryczny z wyrazistą puentą, mówiący o aktualnych wydarzeniach. [przypis edytorski]

Dlaczego dopiero w głębi podwórza stoi czteropiętrowa murowana oficyna? — Bo mówiono kiedyś, że tędy ma być przeprowadzona ulica. Projekt ulicy poszedł w zapomnienie, dom został.

Oficina poprzeczna nie zajmuje całej szerokości podwórza. Po prawej stronie idzie dalszy ciąg stajen i mieszkań. Prawie pośrodku drugiego podwórza jest budynek z sześcioma gabinetami ustępu dla całego domu. Dalej ciągnie się owa lodownia, służąca za wejście do mieszkania wariatki nad wozownią.

Po lewej stronie dalszy ciąg czteropiętrowej oficyny. A przy samym parkanie znów parterowy murowany budynek, składający się z sieni, długiego korytarza i kilkunastu mieszkań.

Terazniejszy gospodarz jest Niemcem, ma w Warszawie fabrykę i mieszka stale za granicą. Był tu podobno raz kiedyś. Przyjechał powozem na samo podwórze. Grosik ocenił wartość samych tylko koni powozowych na tysiąc rubli; a jest dorożkarzem, więc się zna na koniach. Wilczek natomiast dowodził, że konie były z remizy. Wreszcie zgodzili się obaj, że powóz i konie muszą być własnością dyrektora fabryki...

Pytałem Wilczka, kto zamieszkuje tę odciętą od ulicy szerniałym parkanem posiadłość. Pragnąłem, aby izba po izbie, wszystko mi opowiadał. Odrzekli, że nikt tego nie wie, nawet sam rządca; że nikt tego wiedzieć nie może.

Przynieśli mi od stróża dwa postrzępione, zabrudzone numery „Gazety Policyjnej” — na dowód, że i rządca tu nic wiedzieć nie może. I przeczytałem.

„Właściciele domów (długi szereg nazwisk i adresów) oraz rządcy domów — za przekroczenie przepisów meldunkowych na mocy prawa z dnia 7 lipca 1878 r., skazani zostali na karę pieniężną: (ci i ci) po 10 rub., po 5 rub., wreszcie po 2 ruble”.

A w drugim zatłuszczonym numerze:

„Rządca domu N. przy ulicy Solec (imię i nazwisko) za niedbałe prowadzenie meldunków zabraniam prowadzenia ksiąg ludności”.

Stróż składa numery, choć sam czytać nie umie: może dzieci czytać będą, jak dorosną. — Obiecał mi pożyczać.

Z liczby izb o ilości mieszkańców wnioskować nie można. Tu, na drugim piętrze, mieszka w jednej izbie szewc z żoną, trojgiem dzieci i dwoma terminatorami, stróż miejski, Grabowski, z żoną i Kazikiem — synem, drugi szewc młody z żoną (pobrali się przed rokiem i spodziewają lada dzień pierwszego potomka: onegdaj małżonek wrócił bez palta pijany do domu), stara panna-emerytka i stary przewoźnik czy piaskarz (żwir wydobywa z Wisły).

Istnieją tu dwa prądy rwące, które utrudniają ścisły rachunek: jeden prąd wewnętrzny, drugi zewnętrzny.

Rodziny przenoszą się z jednego mieszkania do drugiego, z piętra na piętro, z drewnianych budowli do murowanych i odwrotnie. Przeprowadzają się wszyscy *in toto*²²⁵ lub tylko jedna z rodzin, lub jeden tylko sublokator.

Ja na przykład zamieszkałem u Wilczków, a stróż nocny przeniósł się obok, w tej samej sieni.

Kiedy Grabowski przez rok siedział w kozie, żona z synem mieszkała u Wilczków, a teraz, jak wspomniałem, u szewca — Gałki.

I po co się wynosić poza obręb szerniałego parkanu, kiedy tu na miejscu można znaleźć wszystko, czego tylko dusza zapragnąć może: kąt przy rodzinie za rubla, pięć złotych lub pół rubla miesięcznie, ćwierć izby na dwa łóżka, pół izby na trzy łóżka lub dwa i kołyskę, wreszcie całą izbę na facjacie czy w suterynie, na każdym z czterech pięter, izbę w murowanym lub drewnianym budynku, z wilgocią lub bez wilgoci, z oknem na podwórko, na ścianę, na ustęp, zupełnie bez okna; z kominem kaflowym, żelaznym piecykiem albo zupełnie bez pieca. Na przykład kowal Maj ma reumatyzm i znalazł zupełnie suchy pokój.

Ten, któremu wczoraj dziecko umarło, był czas jakiś w Sosnowcu przy kopalni węgla: mieszka w suterynie dla wspomnień.

Jest tu młody chłopak — powroźnik — zarabia dobrze, bo zdolny; ten znów wybiera takie rodziny, gdzie rodzice pijacy lubią fundy, a córka ładna albo mąż pracuje na mieście,

²²⁵*in toto* (łac.) — w całości. [przypis edytorski]

albo wyjeżdża, lub stary, a żona młoda. I do Wilczków powroźnik się wkręcił, ale go po tygodniu wyświecili; gdy się spostrzegli, o co mu idzie...

Prąd zewnętrzny mniej wartki, płynie za parkan szerniały i spoza parkanu.

Jedni wynoszą się z własnej i nieprzymuszonej woli, drudzy dom ten opuszczają z wyroków Boskich, z wyroków władz albo z wyroków mieszanych.

Małe trumienki często stąd wynoszą lub wywożą. Gdym dziwił się, że Grosik nie był na pogrzebie dziecka kolegi dorożkarza, odparł, że nogi trzeba by pozrywać, żeby chodzić na wszystkie. — Dla starszych stacją węzłową między cmentarzem i domem jest zwykłe szpital. Z wyroków sądowych ludzie wynoszą się na wolność, nawet im balast ruchomości nie ciąży, albo — do więzienia zwanego tu „pawiem” lub Serbią...

Są to prądy normalne, które bądź co bądź można ogrodzić tamami meldunków. Istnieje jednak rwący, kapryśny, niekarny i nieuchwytny inny prąd niestały. Przyjdzie gość, upije się lub dłużej zabawi, a mieszka na drugim krańcu miasta — dlaczego odmówić mu gościny? Przyjadą ze wsi rodzice, brat, siostra, stryj, wujek, bratanek lub siostrzenica — przyjadą na dni parę lub kilka — w hotelu „Bristol” drogo — więc ścielę się dzieciom na ziemi, pokładzie resztę w łózkach, po trzy osoby: — zmieszczą się wszyscy.

Budowle posiadłości za szerniałym parkanem ulegają ciągłym odpływom i dopływom. Biedny rządca, jeśli nie ma stosunków w cyrkule...

Czym się zajmują tu mieszkańcy?

Łatwo określić w kamienicy śródmieścia: pierwsze piętro — gospodarz; drugie — adwokat, doktor lub inżynier; trzecie — wdowa z własnych funduszków, kupiec lub nauczyciel; czwarte — subiekci, studenci i urzędnicy — kawalerowie. — Ale tu?

Rzemieślnik — robotnik fabryczny — rzemieślnik na własnym lub cudzym warsztacie — to ludzie z dyplomami. Rzemieślnik ma za sobą lata nauki, terminu; on w każdej chwili może rzucić fabrykę i robić prywatnie — on ma świadectwo cechowe, jest członkiem gromady, ma patrona, chorągiew, kasę. Wilczek jest tylko fabrycznym ślusarzem, nie ma za sobą terminu, sam nic zarobić nie potrafi, on umie tylko pomagać maszynie; związany jest z fabryką nierozdzielnie. Ale ma przynajmniej fabrykę, ten wielki gmach czerwony, o którym mówi: „nasz”; może powiedzieć: „dostaliśmy robotę na 150 000 rubli”. — Ale czym jest wyrobnik? Dziś kopie, jutro zwozi, pojutrze buduje lub wali, brukuje albo niesie ciężary — jego twarde ręce wynajmuje się jak z łaski... Jedynym jego szczęściem, gdy umie zawierać stosunki korzystne, upić się w porę z osobą mającą wpływy, postarać się o protekcję lub *list*...

List tu jest jakimś czarodziejskim zaklęciem, wpływ jego jest wprost magiczny.

Emerytka dostała list, i oto jest emerytką, płaci regularnie komorne, je, pije, wysypia się, modli w święta i dnie robocze i nic nie robi.

Maj dostał list, i w Busku leczył się darmo. Grabowska dostała list, i Kazik bez egzaminu dostał się do szkoły miejskiej. — List dostaje się od dobrego pana, u którego się kiedyś pracowało, od pani, gdzie żona pierze bieliznę, gdzie córka chodzi do magazynu, gdzie syn w sklepie pracuje; list dostaje się od siostry miłosierdzia, cyrkułu, instytucji lub księdza. A wreszcie z tym nikt się nie zdradza, to tajemnica pilnie w łonie rodziny strzeżona.

— Emerytka dostała list od znajomej pani — i nic więcej nie powie.

Umieć o pierwszy list się wystarać — najtrudniej. Potem już łatwiej. Im więcej listów, im łatwiej je dostać, tym lżej żyć rodzinie, przędzej i pracę otrzymać, i lepszą, popłatniejszą...

Ludzie tu, jak w ogóle wszędzie, dzielą się na obrotnych i niemrawych.

Ot, właściciel garkuchni z obiadami z trzech dań po 15 kopiejek. — Z zawodu jest kucharzem, ale był i lokajem, dzierżawcą krowiarni i dostawcą wytlóków dla bydła; właścicielem składu węgla i ekonomem, i miał do spółki piekarnię w Grochowie, i do spółki lód dostawiał...

Dziwny świat!

Jak ci ludzie dziwnie umieją żyć, żenić się, dzieci rodzić, wychowywać je i myśleć nawet o ich przyszłości. Umieją nawet nie zarabiać — i nie umierać z głodu.

Człowiek zarabia tu niekiedy pół rubla dziennie i to tylko kilka miesięcy w roku. — Jest tu rodzina z ośmiorga głów, na którą latem zarabia jeden dwunastoletni chłopiec ze sprzedaży kurierów na ulicy.

I nie ma tu mimo to tapczanów ze zgnilej słomy, o których się czyta w powiastkach dla młodzieży.

Każda rodzina ma bodaj jedno łóżko, siennik, dwie poduszki, koldrę i kilka świętych obrazów. I jakieś tam rondelki, talerze, kubki, których by w żadnym lombardzie nie przyjęto, które mimo to dają możliwość żyć i mieć dzieci...

Byłem wówczas, zdaje się, w piątej czy szóstej klasie, gdy odwiedzałem rodziny polecane przez biuro informacyjne o nędzy wyjątkowej. Adresy tych rodzin drukują niektóre kurierzy w najmniej widocznym miejscu.

Byłem u jakiegoś szewca na Nowej Pradze, wdowy na Krochmalnej i u stolarza sparaliżowanego, na ulicy Litewskiej. Byłem niezmiernie zdziwiony i niezadowolony ponieważ, nie widząc tam zgnitych tapczanów, o których czytałem w powieściach.

Wilczkowi biada, że „panu Janowi herbata wystygnie zupełnie”...

ŁZY MÓWIĄ

Byłem słaby. Kaszel mnie męczył. Tu wszyscy zimą kaszlą. Rano, po nocy — każdy musi „swoje odkasłać”.

Łóżka nie zasłane. Pranie przedświąteczne. Ktoś zapukał nieśmiało do drzwi.

— Jakaś pani przyszła do pana Jana — mówi Wilczkowi.

— Czy sama?

— Sama.

— Jak wygląda?

— ...

Adela.

— Niech wejdzie — powiedziałem.

— Ma wejść?... To jakaś bardzo elegancka pani.

— To nic. Niech wejdzie.

Wilczkowi zawahała się. Wreszcie otworzyła drzwi.

— Bo to pan Jan jest chory — powiada.

Adela zatrzymała się niepewna we drzwiach.

— O, tu — proszę pani.

Przysunęła do łóżka wyściełane krzesło.

— Ignac, idź won!

Wzięła z kołyski krzyczącą Mańkę, odsunęła z komina gotującą się w garnku bieliznę — wypchnęła za drzwi chłopaka i wyszła.

W izbie para gęsta. Szyby zaroszone. Dzień pochmurny. Półmrok.

Zostaliśmy sami.

Adela rozgląda się wokoło z przestrachem — siada na krześle wyściełanym.

— Janek, co to znaczy?

Przypomniała mi się scena widziana przed paru dniami:

Sześćioletnia może dziewczyna stoi w chustce przed sklepikiem i patrzy łakomie na rozłożone w pudełku przy drzwiach uchylonych — cukierki. Jednolatek chłopak stanął za nią i zasłonił jej rękoma oczy. Wyrwała się przestraszona, obejrzała, pochwyciła go nagle za rękę i powiedziała prędko: „słuchaj, ukradnij cukierek”.

Dlaczego mi się to przypomniało i dlaczego ogarnęła mną wściekłość?

— Janek, co się z tobą dzieje?...

— Dziękuję pani za pięćdziesiąt rubli — syknąłem.

Drgnęła.

— Nie miałam — odparła.

— Po co pani tu przyszła? To nie wypada. Ja leżę w łóżku...

— Janek, dlaczego ty tak do mnie mówisz?

— Pani ma dziecko. Pani ma męża. Pani mąż ma album z pocztówkami.

— Janek, nie mów tak!

Spojrzałem jej w twarz i...

Ujrzałem w kącikach jej oczu dwie łzy...

I nagle łzy mówić zaczęły...

Pod starym kasztanem w Ogrodzie Saskim dzieci bawią się w piłkę. Duża balonowa piłka przeskakuje z rąk do rąk. Oparta o drzewo Adelfia, w białej sukience do kolan, w żółtych bucikach i czarnych ażurowych pończoszkiach — śledzi uważnie bieg piłki. Przez zielone liście drzewa przedziera się słońce i złoci roześmianą postać dziewczynki.

To było dawno.

Adelfia miała dużą lalkę, serwis porcelanowy, książki z obrazkami — miała ładne sukienki: białe, różowe, błękitne — pończoszki w różnych kolorach — i żółte buciki. — Miała twarzyczkę wesołą i jasną.

Pilnie się uczyła, zadania rozwiązywała bez trudu.

I zdała na pensję; dostała tornister, mundurek i piórniki. — A na pensji bały się panienki przełożonej i damy klasowej, które prawily długie i nudne morały.

Adelfia uczyła się dobrze; miała tyle — tyle koleżanek — a jedna była nieprzyzwoita, że strach. — I Adelfia nie wiedziała sama, czy wierzyć jej, czy nie wierzyć.

To było bardzo dawno!

Więc pytała służącej, która ją odprowadzała na pensję: „czy to prawda?” — A służąca albo się śmiała, że „panienka plecie”, i nic nie odpowiadała, albo groziła, że „powie wszystko pani”, gdy była zła.

Dowiedziała się mama — bardzo się gniewała. — Zabroniła mówić o głupstwach, kazała nie myśleć; a nawet chciała, a może i poszła na pensję, aby z przełożoną pomówić.

Dlaczego nikt nic nie powie, tylko się śmieje lub gniewa?...

Adelfia miała powodzenie na kinderbalach i miała być w przyszłości „niebezpieczną sztuczka”. — Tak twierdzili dorośli i doświadczeni. — I dziwnie patrzyli na nią: jakby coś o niej myśleli, i dziwnie się uśmiechali: jakby wiedzieli to, czego nie chcą powiedzieć.

I coraz częściej słyszała, że brzydki, nie wolno lub nie wypada, że dobre dla chłopaków, a nie dla panienki — że jest dziewczynką. — Adelfia pragnęła być chłopcem.

Ot, wyrwie się z czymś niestosownym: uwagą albo pytaniem — a jeśli przy gościach, to mama bardzo się gniewa. — I nie wie czemu, ale się wstydzi, strasznie się wstydzi — pod ziemię by się schowała. I tak jej źle.

Nie wolno Adelfi bawić się wesoło i biegać z chłopcami. Nie wolno jej mówić na chłopców: „mój mąż, mój narzeczony”. Czemu dawniej sami mówili, a teraz nie wolno?

Oto dziewczynkę wychowują na nałożnicę, a ona nie wie, bo wiedzieć nie może — czy dziw, że jej smutno i źle?

Czuje się tak nieszczęśliwą, płacze po nocach, gdy nikt nie widzi — chciałaby bardzo widzieć, jak duże może być dziecko nowo narodzone. A mama raz powiedziała, że będzie chora Adelfia.

W tym wszystkim musi się kryć coś strasznego. — I z drżeniem oczekiwała.

I przyszło: spadło jak grom.

Przyszło stokroć gorsze, niż mogła sądzić — niż wszystko, czego oczekiwała.

A mama mówi, że każda w jej wieku — żeby nie była śmieszna i głupia. Ale ona nie chce. — Dlaczego nie chłopcy — czym oni lepsi? — Nie chce być dziewczyną — boi się, wstydzi, długo w nocy płacze. — I po co to — po co?

Każdy kto na nią spojrzy, od razu się domyśli i będzie się śmiał. — Co za straszny wstyd!

Rumieni się. Oddałaby pół życia, żeby się nie rumienić. — Żeby choć być już dorosłą — żeby mieć długą suknię — żeby przestali już na nią patrzeć.

I pisze list do Jaskółki z „Wieczorów Rodzinnych”²²⁶.

„Kochana Jaskółko!

Pisywałam do ciebie dawniej, kiedy byłam jeszcze dzieckiem. Szczęśliwe to były czasy! Byłam jeszcze swobodnym dzieckiem, które nic nie wie, nic nie rozumie, tylko się swobodnie bawi. Przepraszam, że cię nudzę swymi bazgrołami, bo ty piszesz tylko do dzieci, a ja dzieckiem być przestałam. Ale kiedy w nocy leżałam bezsennie, to zaświtała mi myśl, że trzeba mieć kogoś starszego, komu mogłabym się zwierzyć. I chociaż rozpacz rozrywała me serce, jednak się zaraz uspokoilałam. Czuję jak kobieta, a mnie mają za dziecko. I wokół taka straszna próżnia, bo nie mam nikogo, nikogo!!!”...

²²⁶Jaskółka z „Wieczorów Rodzinnych” — pseudonim Zofii Bukowieckiej (1844–1920), nauczycielki i autorki książek dla dzieci. W latach 1903–1912 prowadziła rubrykę *Skrzynka do listów*. [przypis edytorski]

Adelcia nie skończyła listu do Jaskółki.

Chce pisać przynajmniej pamiętnik, ale się boi; bo gdyby kto znalazł, ona by nie przeżyła — umarłaby ze wstydu. I nawet, gdy kończy list do przyjaciółki, przesyłając 1 000 000 calusów, dodaje *wpost scriptum*: „nie pokazuj nikomu”, lub: „spal po przeczytaniu”.

Adelcia się kocha w nauczycielce — takiej zawsze smutnej — i myśli: „czy to nie grzech, że kocham ją tak, jak mamę” — a boi się wyznać, że więcej nawet.

I dowiaduje się coraz nowych rzeczy, a jedna straszniejsza i potworniejsza od drugiej. — I zawsze z początku nie wierzy — potem nie chce wierzyć — a potem już musi — i płacze, gdy nikt nie widzi.

Ukrywa uczucia swe przed wszystkimi prócz przyjaciółki.

Z Adelci śmieją się wszyscy — wie, że się śmieją. — Bo oto dziewczynkę na nałożnicę chowają, a ona sądzi, że im się oprze.

Nienawidzi mężczyzn — nie wyjdzie za mąż nigdy, nigdy — nigdy w życiu. Ona by nie przeżyła — umarłaby ze wstydu!

Adelcia zna kogoś zupełnie innego niż wszyscy mężczyźni. On taki czysty, szlachetny. — Toż czytała w powieściach o takich szlachetnych — i wie, że nie wszyscy mężczyźni są *tacy*.

Za niego wyszłaby za mąż, lecz tylko za niego i tylko pod jednym warunkiem.

Ale to niemożliwe. — Więc zostanie siostrą miłosierdzia albo będzie wielką aktorką, albo wstąpi na uniwersytet, albo sama na siebie będzie pracowała, żeby nie brać nic od rodziców — i wychowywać będzie biedne sieroty.

A na pensji nauczyciel był niesprawiedliwy i stawiał jej piątki. — A na ulicy mężczyźni, gdy było błoto, patrzyli na nogi.

Żeby choć suknię już mieć do ziemi!

To było dawno...

I jak się stało to wszystko, co potem?

Rodzice!

Dopóki była na pensji, nie знаła rodziców, a oni jej nie znali. Kochała rodziców, rodzice ją kochali.

Nie chce wyjść za mąż? — Wszystkie tak mówią do czasu.

Na uniwersytet? — Teraz to w modzie.

Pracować na siebie i wychowywać sieroty? — Przyjaciółki trochę jej przewróciły w głowie.

Nie szkodzi...

I poszła na rynek.

Chodziła na bale, koncerty, wystawy — śmiała się i uśmiechała — starała się podobać. — Pokazywała gołą szyję, rękę — gołe piersi pod gazą. — Kto zechce wziąć do małżeńskiego łoża w zamian za utrzymanie: dach, jadło i opierunek?...

Drżą dwie łzy w oczach Adeli...

Porwał ją wir tych wszystkich z targowiska, ogłuszyło kategorię: tak być musi. — I oto mąż jej zbiera pocztówki, a dziecko ma już dwa ząbki.

— Nie twoja wina, Adelo, ale i nie moja.

Łzy potoczyły się, ciche, smutne.

— Pamiętasz?

(Przypisek: wykreśliłem kilka kartek z moich notatek).

Wziąłem jej rękę białą i przycisnąłem do ust.

— Adelo, ty jesteś biedne, bardzo biedne dziecko.

Opuściła głowę, cicha, pokorna, smutna.

— Adelo, ty jesteś biedne, bardzo biedne dziecko. I powiedz mi, dlaczego tak się dzieje? Wszyscy wiedzą, że tak być nie powinno, że to jest bardzo źle i dlaczego przekleństwo własne noszą tak cierpliwie, bez skowytu? Mnie ciebie żal... Nie płacz, Adelo — na to nic nie poradzisz. Widocznie być musi... Ja właśnie myślę bezustannie i nie mogę nic wymyśleć...

— Janek, Janek...

— Słuchaj, Adelciu — czy nie bywa tak, że siedzisz sama o zmierzchu i nie myślisz o niczym, tylko ci w gardle stanie jakiś ból jak kość? Dławi cię i tak ci się zdaje, jakbyś słowa nie mogła powiedzieć, bo cię ta kość w gardle dławi?

Młodość

Rodzina

Idealista

— Janek.

— Nie myślisz o niczym, tylko czujesz, że ci źle, źle, strasznie źle. I tak ci czegoś żal, i tak za czymś tęsknisz, i tak sobą pogardzasz, i tak ci wszystko obojętne, i tak kogoś nienawidzisz, i tak coś kochasz, i czegoś oczekujesz, i lękasz się, i czujesz, że powinno być inaczej, żeś ty niewinna, że już nie możesz dłużej?...

— Janek.

— Czyś ty czytała Asnyka? Nie wstydź się, powiedz prawdę... Ale jeżeli czytałaś, to pobieżnie, żeby go znać, żeby móc powiedzieć, że go znasz. Ja teraz wziąłem tu książki z czytelnicy bezpłatnej. Dawno już nic nie czytałem. Głodny byłem na książki. I znalazłem tam sonet. Powiedzieć ci ten sonet? Mam dużo czasu, więc nauczyłem się. — Powiedzieć?

Skinęła głowę.

Usiadłem na łóżku.

— Widzisz, to tak:

Zejdź, jasna Jutrznio. Rozlej światła strumień
Po ziemi, życia nowego spragnionej,
Złotym promieniem do dna ludzkich sumień
Sięgnij i blask im nadaj nieskażony.

Rozedrzyj mroczne przyszłości zasłony
I wstydem czoła wąpiących zarumień,
A oczom, chciwym zachwyków i zdumień,
Ukaż odrodzeń szereg nieskończony.

Zejdź, jasna Jutrznio. Świat, przeczuciem tknięty,
Z lochów, gdzie nędza z zbrodnią mieszka skrycie,
Z gmachów, gdzie orgia dopija swe męty —

Wygląda Ciebie w troskach czy przesycie
I woła, dziwną tęsknotą przejęty,
O świeże, lepsze, szlachetniejsze życie.

— Widzisz, Adelo, to jest właśnie tęsknota, wołanie o czystsze, lepsze, szlachetniejsze życie.

— Janek, ale tobie musi tu być strasznie.

— Nie, Adelo, mnie tu dobrze, nie wiem czemu, ale mi dobrze.

(Przypisek późniejszy: Adela zostawiła mi 50 rubli).

*

Krople deszczu duże, ciężkie — długo i monotonicznie — miarowo — tak, że je liczyć można — te krople deszczu, powiadam, padają na matową tafłę duszy, której nikt nie obudził, bo chciał, żeby drzemała, bo mu z tym było wygodnie, że drzemie — tafla duszy bezdusznej matowa. — Liczyć je można, powiadam: jedna kropla deszczu, dwie krople, trzy, cztery krople — piąta, setna i setna pierwsza... Ni początku, ni końca... Mgła spowija ją — duszę, która drzemie bezwładnie — nie śni, ale drzemie bezdusznie, bo jej nikt nie zbudził — strzegł troskliwie, by leżała bezwładna we mgle — by na nią krople duże i ciężkie padały — by pleśnią porosła.

Pleśń nie rośnie; pleśń osiada — źle powiedziałem — pleśń pełźnie — pełźnie cicho, gnuśnie, niepostrzeżenie. — Gnuśnie, mówię: nie czai się, bo wie, że będzie, nie podstępnie, bo pewna, że będzie — bez wysiłku, bez pomocy, bez woli, będzie, bo być musi — ona, która ma wagę tylko — ale ani barwy, ani woni — szmeru nie wydaje — będzie mocą konieczności — pleśń wilgotna, która ciąży we mgle — a poza tym nic... nic...

Samotna tafla matowa, senna — bardzo samotna — bardzo, bardzo, powiadam, samotna i sieroca.

Nuda

Dzwonią krople; — źle powiedziałem — nie dzwonią, nie uderzają nawet — one tylko padają bezwładnie i ciężko — monotonnie, miarowo — że je liczyć można...

— Jest herbata?

— Nie ma jeszcze.

— Jest kurier?

— Nie przynieśli.

Żeby choć dzwonek, żeby choć ktoś przez omyłkę zadzwonił. Żeby choć ktoś lub coś, ktokolwiek lub cośkolwiek — jeden szmer, jeden dźwięk, jedna barwa, jeden błysk nikły — tak nikły, że ledwo go dostrzec można — ale żeby był, mówię — żeby był.

Nie ma!...

Tłoczy — nie, nawet nie tłoczy — dusi — i to nie — ani bólu, ani nic... nic... nic...

Dusza głodna — dusza chce jeść. Brzuch syty, a dusza głodna... — Chleba, czarnego chleba — czerstwego razowca myśli dla duszy bezmyślnej, która porasta pleśnią — którą we mgłę wilgotnej, a może i cuchnącej — ogarnia, zagarnia, wchłania czy pochłania, pożera czy wysysa — pleśń czy rdza, czy trzęsawisko — czy cholera wie co — bo sam nie wiem, nic nie wiem — nic... nic...

— Chleba! chleba!

— Dziecko moje, tyś głodne?... Biedna córuś moja. Masz — masz. — Torcik praliny — ciastko kremowe. Jedz — niech ci będzie na zdrowie.

— Ja nie chcę. — Chleba mi dajcie.

— Masz, kapryśne stworzenie, masz, pociecho jedyna — masz chleb.

— Dla duszy, nie dla żołądka, mamo. Najmarniejszy, byle dla duszy.

— Dziecko drogie, nie płacz. Powiedz jaśniej. Ja nie rozumiem. Co to ma być za chleb? — Czego ty chcesz?

— Mnie duszno, mamo.

— Paniencie duszno: otworzyć okna — prędzaj!

— Mnie ciemno... mnie zimno.

— Zapalić żyrandol: wszystkie świece — prędzaj! Przynieść mi tu koldrę. Prędzaj! Paniencie zimno!

— Ja wiem, że tam gra pieśń... Pieśni mi dajcie!...

— Kupię ci gramofon, dziecko drogie...

— Biedna ty, mamo.

— O, dziecko, bardzo biedna.

— Ty nie wiesz, czego ją chcę?

— Nie wiem.

— A ja także nie wiem, mamo.

A pieśń gra — nie ta z gramofonu, a światło płonie — nie ze świec żyrandola, i ciepło płynie — nie z koldry puchowej — a świeży, przeżywczy powiew szeroki — nie z otwartych okien buduaru — ale tam — tam — no wiecie?

Biedna duszo — dwakroć i trzykroć biedna — o biedna tafla matowa w wilgnej mgłę — choć ojciec się gniewa, a matka twierdzi, że czas ci wyjść za mąż, a lekarz żelazo ci zapisuje, a ciotki kiwiają głowami — ty masz słuszość — ty jedna.

Zbyt głośno brzmi ta pieśń, by młody słuch oszukać ciebie miał. Zbyt silny powiew rzeński, by młode nozdrza nie pochwytyły go choć raz — jeden, jedyny raz. — Zbyt strzelisty wznosi się słup światła, by go przez mgłę nie dojrzał młody wzrok...

— Ja nie chcę, mamo, ani dywanów, ani albumów z pocztówkami, ani batystowych chusteczek do nosa, ani pralinowych torcików. — Ja nie wiem, czego chcę, ale wiem, czego nie chcę.

— To nic, dziecko moje. Jutro przyjdzie doktor...

— Ja nie chcę doktora.

— Ależ on nie doktor, to nasz przyjaciel serdeczny. On ciebie leczył, gdyś chorowała na ząbki.

— Na ząbki, mówisz? Powiedz mi, czy ja bardzo wtedy chorowałam?

— O, bardzo ciężko... Czemu płaczesz?... Nie — nie chorowałaś wcale... Czemu ty płaczesz?...

— Dlaczego ja wtedy nie umarłam?

— Dziecko moje, nie mów tak — bo grzeszysz.

Córka, Matka, Dusza,
Idealista

— Ja chcę grzeszyć.
— Dziecko moje...
— Dlaczego ty zawsze mówisz: *moje* dziecko? Czy ja do siebie ani trochę nie należę, tylko do ciebie?

— Bo kocham cię nad życie, dziecko moje.
— Nad życie, mówisz, mamo. A ty życie kochasz?
— Człowiek powinien kochać życie.
— A co ty w tym życiu kochasz?
— Nie rozumiem, dziecko, o co mnie pytasz?
— Wiem, że nie rozumiesz. Tak było zawsze... Ilekroć pytałam o rzecz ważną dla mnie — ty zawsze albo nie rozumiałaś, albo udawałaś, że nie rozumiesz. — I starałaś się, mamo, aby zawsze wokoło mnie byli ludzie, którzy także nie rozumieli albo udawali, że nie rozumieją — i nie odpowiadali, gdy pytałam.

— Dziecko moje, nastały teraz straszne czasy.

— Nie — mylisz się... Bo teraz... Cicho...

Mgła się rozsuwa, a spoza mgły płynie pieśń — kołysze się cudna pieśń. — W tej pieśni moc i ból — nadzieja i rozpacz. Zamigotała gwiazda — rośnie — rośnie w pochodnie — w stos ofiarny — w słońce — i w sto tysięcy słońc. Fala mocną, która wie, że będzie — płynie to, co będzie — co nie jest mgłą ni pleśnią — co lekkie skrzydła ma — i biel łabędzią — i dzwoni — coraz głośniej i rozgłośniej, i donośniej — jak srebrny dzwonek — jak spiżowy dzwon, jak sto tysięcy i dzwonów, których dźwięk i huk — przez mgłę zgniłą leci ku taflom matowym, drzemającym. — W pieśni, świetle, dzwonów grzmocie — jest życie...

— Mamo.

— Co, dziecko moje?

— Ty jesteś obca kobieta.

— Dla kogo?

— Dla mnie. Ty jesteś dozorcą moim: jakże ja mam cię kochać?

— Masz słuszność, dziecko moje: ja jestem dozorcą i ty mnie nie kochaj.

— Ja nikogo, nikogo nie kocham.

— Masz słuszność, dziecko moje: nie kochaj nikogo, tylko myśl o sobie.

— A ty, mamo, także nie kochasz nikogo?

— Nikogo prócz ciebie.

— Ty mnie pilnujesz, ale nie kochasz — o nie!...

— Nie płacz, bo mi się serce kraje.

— Ty, mamo, masz serce?... Powiedz mi, co ty masz w tym sercu?

— Ciebie.

— I nikogo, i nic więcej?... Teraz już rozumiem.

— Co rozumiesz?

— Rozumiem, dlaczego mi w twoim sercu tak pusto, tak głucho, tak samotnie, tak strasznie. — W samotnej, zimnej celi więziennej twego serca, obca, zła kobieto. — Wypuść mnie ze swego serca — na światło, na słońce, na swobodę — wypuść z więziennej celi kamiennego serca, gdzie na matową taflę mojej duszy padają ciężkie krople z wilgotnego pułapu...

Otwórz mi żelazne drzwi twego okrutnego serca, gdzie nie ma nikogo i nic prócz mnie jednej.

— Dziecko.

— Otwórz mi drzwi żelazne kamiennego serca, gdzie mnie więzisz w samotności, o chłodzie i głodzie... O, chleba dla duszy mojej — chleba!

Dzwoni dzwon.

Dzwoni dzwon — dzwoni spiż — bije — echem się roznosi — a gra — huczy — gra — spiżowy dzwon. Płynie pieśń, echem życia się roznosi — rośnie pieśń i potężnieje — tysięcznym echem się przewala — grzotem toczy się wśród serc młodzieńczych. Płonie stos ofiarny — tysiącem iskier wystrzela — słupem pod obłoki wybucha.

I zalekciona mgła kurczy się i zwija dokoła sennych dusz, zaklętych w martwe tafle matowe, których drzemania strzegą pilnie, a bezsilnie — pilnie, powiadam — bo im tak wygodnie: że dusze śpią kamiennym snem.

I załęczniona mgła wilgotna, z której duże i ciężkie — bezwładnie i miarowo — padają krople na taflę senną — kurczy się i zwija — i kłębi — i wicher nią miota — i pęd ją przesilny roztrąca i pędzi — pędzi — a wtedy słychać pieśń i ten dzwon spiżowy — i widać błyski światła nad taflą senną...

Chleba — chleba — chleba!

[* * *]

Przystosowałem się do nich nieprawdopodobnie szybko.

Sypiam lepiej. Poczciwy Kossowski raczy mnie najwyszukańszymi specjałami garkuchni. Do pcheł przywykłem. Tylko jeszcze pluskwy mnie męczą.

O godzinie dziewiątej rano zaczyna mnie tarmosić serdeczny mój przyjaciel, trzyletni Kazik.

— Pam, tań do oboty.

— Nie chcę — powiadam.

— Pam, tań, olumiś?

— Nie rozumiem.

— Tań, no — ty kały oniu.

— A co mi zrobisz, jak nie wstanę?

— To ja ci uścię lanie.

Co znaczy: wstań do roboty, stary koniu, bo ci spuszczą lanie.

Jak go bardzo rozniewam, mówi:

— Mam cię... ty lanu.

I odchodzi na chwilę.

Gdyby kto ze starszych usłyszał, dano by mu w skórę, że się tak spoufalił; toteż się zawsze ogląda, czy kogo nie ma.

Złażą się do mnie „bachorzyska z całego domu, jak do chederu²²⁷” (Wilczkova). Opowiadam im bajki, częstuję karmelkami, wycinam z papieru różne wspaniałości. Gospodyni niezbyt zachwycona, bo śmieć i „wszy znoszą”. Żal mi dzieciaków: tak mało poezji w ich dzieciństwie, życie ich tak mroźne, twarde jak bryła lodu.

Opowiadają o dziadku, który im na gwiazdkę przynosi prezenty. Jest tu zwyczaj, że ktoś z rodziny przebiera się za Świętego Mikołaja i przynosi dary.

Jadzia okropnie się *zabojala*²²⁸ i obiecała dziadkowi nie kłaść palca do nosa. Trzeba się dowiedzieć i kupować malcom upominki. Toć jestem bajecznie bogaty.

Nie wiem, skąd dowiedzieli się, że „uczyłem się na doktora”. Gdybym chciał leczyć, miałbym poważną praktykę.

Dusza mi się rozkurcza, jak mówi Amiel²²⁹.

(Przypisek późniejszy: Amiel: Jesteśmy zanadto skłopotani, zanadto przeciążeni, zajęci i czynni! Za wiele czytamy! Trzeba poza brzeg swej łodzi wyrzucić cały bagaż kłopotów, zajęć i pedanterii, stać się na powrót młodym, prostym, dzieckiem naiwnym, szczęśliwym, i przejąć się wdzięcznością. Tak, trzeba umieć być beczynnym, ale nie leniwym. W beczynności uważnej i skupionej dusza nasza wygładza swe fałdy, wypoczywa, rozkurcza się, powraca do życia jak zdeptana trawa przydrożna lub skałeczony liść rośliny, naprawia swe szkody, staje się na powrót nową, samorzutną, prawdziwą, oryginalną).

*

Post, post i post.

Jeść mi się chce.

Doprawdy, ci ludzie mogliby mniej pościć. Toż oni tak ciężko pracują. Toż nauka mówi o iluś tam kaloriach. Toż oni doprawdy nie mają czym mięsa zastąpić.

Kobiety przez cały wielki post mięsa nie jedzą, jeszcze suszą.

²²⁷ *cheder* — szkoła żydowska. [przypis edytorski]

²²⁸ *zabojac* (gw.) — przestraszyć. [przypis edytorski]

²²⁹ *Amiel, Henri Frédéric* (1811–1881) — szwajcarski filozof piszący po francusku. Autor introspekcyjnego dziennika (*Journal intime*) przetłumaczonego na polski w 1901 r. (tłum. Aleksandra Kordzikowska) jako *Z pamiętnika*. [przypis edytorski]

— Teraz to jeszcze świetnie wyglądam. Ale żeby mnie pan Janek widział koło Wielkanocy, to jestem jak cień... Człowiekowi biednemu trudno się dostać do nieba. Człowiek biedny to i zaklnie, i Pana Boga obrazi, jak mu się nie powiedzie. A bogaty co ma kłać, jak mu wszystko idzie po myśli? A przecież człowiek jak się naorze i naflaży²³⁰ na tym świecie, to choć na tamtym chciałby trochę wypocząć i już nie cierpieć więcej. Może Pan Bóg i święta Rodzicielka policzą mi moje umartwienie za zasługę. Bo co ja innego mogę zrobić dobrego? Bogatemu łatwiej i o zasługę przed Panem Bogiem.

— Oj, pani kochana, grzeszą bogaci, grzeszą więcej i ciężiej — odparłem. — A Pan Bóg jest przecież sprawiedliwy i waży, kto jak obraża i czym winę swoją okupuje.

— No, ja wiem. Ja to sobie tylko swoim głupim, ludzkim rozumem tak ważę, że biedny więcej zazdrości, więcej skrzywdzi, złe słowo powie albo i myśl, to Bóg słyszy — a rzadziej może komu dopomóc...

Jaki to piękny wyraz: *naflażyć się* — jaki daje obraz: wicher, deszcz, błoto — flaga — a kobieta bosa w spódnicy zarzuconej na głowę idzie pochylona długą, bez końca szosą...

Słyszałem wiele nowych wyrazów przenośni.

— A bo to raz człowiek *wypryśnie* z łóżka boso do sieni albo i na dwór w największy mróz.

Wyraz ten mógł się zrodzić tylko w izbie, gdzie patrzy się, jak tłuszcz wypryskuje z patelni.

Albo:

— Słońce *przyżarło* śnieg od góry.

Więcej nie pamiętam na razie.

Jaką potęgą niezwalczoną jest język narodu. Żyje on, odżywia się sercami milionów, oddycha radościami i bólem, łzami i uśmiechami jego, karmi się, wsysa, odrzuca, wydziela, przerabia — z dniem każdym zamiera jakąś swą częścią i odradza. Każdy wyraz jest jak komórka żywego organizmu, jak kropla krążących w nim soków.

Język martwy to trup, mumia nieruchoma, wieczna, uragliwa.

Nieraz sam zapewne mówiłem: „język martwy i żywy”, a po raz pierwszy przejrzałem. Ileż to podobnych startych wyrażen kursuje.

TOMEK BITYŚ²³¹

Tak, panie lepszy. Od zimna i woda stężeje, a co dopiero człowiek? — rzekł Tomek.

Głos Tomka ochryply, bezdźwięczny. Ironia i nienawiść brzmia w nim głucho.

Czoło niskie, włosy twarde, rzadkie, nieokreślonej barwy. Twarz obrzękła, bez zarostu, ze śladami ospy. Wzrok zły, świrdujący przebiegły. Brwi zrosnięte nad nosem oszpeconym ospą.

Poznałem go w szynku na Pradze.

Izba niska, obszerna; okna małe.

Grudzień. Godzina piąta po południu.

U sufitu pali się lampa błyskawiczna.

Gwar. Jedni dobijają targu, drudzy spierają się, wychodzą i wchodzą — wszyscy pijani lub podchmieleni. Zaduch porozlewanej wódki, mdły, słodki odór piwa miesza się z obłokami kopiejkowych cygar i papierosów. Jedni siedzą przy stolikach, drudzy stoją na środku izby. Gwar. Z rzadka śwśnie krótki śmiech drwiący, niewesoły, i skona.

Wilgoć spływa po ścianach i opada brudnymi kroplami z sufitu. Podłoga pokryta grubą warstwą błota i naniesionego butami topniejącego śniegu.

Powietrze ciepłe, gęste, jakby lepkie.

W kącie izby siedzi nas czterech, przy stoliku.

Tomek rozpiął kapotę, rozsunęła mu się czarna koszula, spod której wygląda pierś szeroka, włochata, z dwiema bliznami od noża.

Ręce włożył w kieszenie, rozparł się na krześle i opowiadał o sobie.

Ojciec Tomka był pijakiem.

— Ale pijak pijakowi nierówny.

Alkohol, Pijaństwo

²³⁰naflażyć (daw.) — napadać: o deszczu ze śniegiem. [przypis edytorski]

²³¹Tomek Bityś — byłem z Kossowskim na targu świńskim na Pradze. Z Tomkiem poznał mnie on w traktierni przy targu. [przypis autorski]

Jeden przepija część zarobku, drugi — cały zarobek. Jeden pija codziennie, drugi tylko w święta. Jeden pije za pieniądze, drugi zafantuje²³² się do koszuli. Jeden walczy ze swym nałogiem, drugi uważa kieliszek za jedyną rozrywkę człowieka ciężkiej pracy.

Jeden pije, aby zalać robaka, drugi — by pobudzić wycieńczone ciało do nadmiernych wysiłków, trzeci — bo wszyscy piją, czwarty — bo nie ma nic do stracenia.

Jednego pociąga wesoła kompania szynkowni, drugi ceni wódkę dla wódki. Jeden jest przy kieliszku wesoły i rozmowny, drugi smutny i zadumany, jednemu pijaństwo przeszkadza w pracy, a drugi, gdy pije, to żyje — od kieliszka do warsztatu, i wtedy najlepiej robi.

Jeden lubi częstować, a drugi czeka na poczęstunek — nie lubi pić za własne.

Jeden po hulance bywa potulny, pokorny wraca do domu, chyłkiem sunie do łóżka, unika spojrzeń żony i dzieci. Drugi wtacza się głośno, śpiewa, wymyśla i grozi, ale w groźbach przebija nieszczerłość — taki wstydzi się swego wstydu przed rodziną. A trzeci nie ma żadnych skrupułów.

Są pijacy — tyrani, pijacy — ofiary...

Różne bywają rodziny pijaków i różny w nich los dzieci. I matka może do kieliszka zaglądać. Matka może być nieustępliwa i swarliwa albo pokorna i gospodarna.

Ojciec Tomka był wyrobnikiem, pijakiem, ofiarą nałogu. Matka cicha — pierała po gospodach. Matka Tomka pierała u pani naczelnikowej, i pani naczelnikowa poleciła jej męża swojemu mężowi.

Zastawiono coś z rzeczy, dokończono dwadzieścia rubli, złożono kaucję na kolei i ojciec Tomka włożył bluzę i numer tragarza kolejowego.

Zaczęły się dni obfitości.

Tragarze kolejowi, jak w ogóle ludzie, dzielą się na szczęśliwych i mniej szczęśliwych. Jeden za dwa kosze z bagażu i trzy ręczne pakunki otrzyma z targiem złotówkę, drugi za lekką walizkę i parę ukłonów otrzyma rubla „na piwo”.

Ojciec Tomka należał do szczęśliwych: na ogół więcej liczył sutych napiwków niż inni.

Trudno tragarzowi nie pić. — Dźwiga, nie wysypia się, a przy tym ciągną gorączka, pośpiech, zatargi z kolegami i publiką, niestały zarobek, oddalenie od rodziny — i wszystko to jakoś się składa.

I ojciec Tomka stał się pijakiem z fantazjami.

Czasem wracał do domu ze śpiewem, oddawał żonie pieniądze, obiecywał więcej, dziewczuchom przyniósł pierniki, nawet Tomka nie ofuknął. Innym znów razem kobiecie nawymyślał, córki skrzyczał, a Tomka w pysk, bo go nie lubił. To znów tydzień cały w domu się nie pokazał.

Chciała pani naczelnikowa zrobić dobrze, a zrobiła źle.

Koledzy stacyjni nie lubili ojca Tomka. I stało się, że skradziono walizę powierzoną jego pieczy. Była to, podobno, nie zwykła kradzież, a zmowa kolegów. Obciążała go jednak okoliczność, że był dnia tego nietrzeźwy. Miało być jakieś śledztwo — to — nie to — ale że był już nowy naczelnik, a jego żona miała nową może prачkę, której dopomóc pragnęła — więc nie pomogły ani obietnice ojca, ani łzy matki — i ojciec Tomka został bez pracy, bez kaucji i z długiem dwudziestorublowym, zaciągniętym na kaucję.

— Dlaczego ojciec przynajmniej długu nie zapłacił? Toż był tragarzem lat parę czy kilka?

— At, pewnie dlatego, że wierzyciel się nie dopominał, a łatwiej dawać co tydzień dwa złote procentu, niż dużą sumę spłacić od razu. — Wynosi to, co prawda, sto procent bez mała, ale ojciec Tomka do szkół nie chodził.

I w domu zapanował głód. I ojciec Tomka stał się pijakiem, który nie ma nic do stracenia, i przy tym pijakiem — tyranem.

Chciała pani naczelnikowa zrobić dobrze, a zrobiła źle.

Ojciec nie lubił chłopca. Zdarzają się takie fantazje: jeden nie lubi dziewczyn, drugi — chłopców. Jeden uwidzi sobie, że jedno z dzieci jest nie jego, lub bez tłumaczeń nie lubi.

W domu ich zapanował taki głód, gdzie chleba nie chcą w sklepiku dać już na kredyt:

— Nic już nie dam — mówią w sklepiku. — Zapłaćcie naprzód tamto!

²³²zafantować — dać w zastaw. [przypis edytorski]

I jeszcze wymówi, zawstydzi, nawymyśla.

— Kąsało mnie życie jak pies z łańcucha — mówi Tomek złym głosem.

Opowieść Tomka była bezładna. Nikt myśli jego nie numerował, nie pętał powijakiem gramatyki. Nie umie opowiadać, jak w ogóle ludzie, którym słowa nic w życiu nie dają.

Wikłał fakty, przeskakiwał z tematu na temat, wyjaśniał błahe wypadki, po kilkakroć powtarzał myśl lub zwrot, czepiając się go pijacko. To nużył rozciągłością; to nagle rzucił porównaniem świetnym, zaczerpniętym z samego życia.

Czasem urwał opowieść na połowie zdania i bacznie nam się przyglądał: czy nie powiedział za wiele?

Popijał piwo. Męczyła go czkawka...

I nagle w oczach Tomka odmalował się przestרח, i zaczął opowiadać jeden drobny na pozór szczegół ze swego dzieciństwa. — Epizod ten z życia bitego chłopaka nabrał w jego opowiadaniu kształtów prawie potwornych.

Była to nieudana wyprawa do cudzego ogrodu na jabłka. — Stróż czy ogrodnik był czujny. Dokuczyły mu snadź²³³ kradzieże i zemścił się na jedenastoletnim chłopcu po swojemu, brutalnie.

— Wicek wlaź pierwszy, a potem my znowu na parkan. Ledwo my wskoczyli do ogrodu — parkan był niewysoki — a on już Staśka trzyma. Stał przyczajony, ścierwo. Ja jego z tyłu w plecy; ale co taki rak ma za siłę; złapał mnie za rękę, oni wszyscy, szczeniaki, uciekli, i Stasiak także. Ani mi nie pogroził, ani uderzył — nic, nawet nie trzymał mocno, tylko leciutko. „Chodź, powiada, dam ci jabłka za to, że mnie chciałeś bić”. Poszliśmy głęboko w ogród, gdzie miał swój niby-dom. Jak zamknął drzwi na klucz, tak ja już więcej nie oddychałem. Potem znowu okno zamknął. Kazał mi usiąść na stolku, bo się — powiada — zmęczyłem, jakem przez parkan przelaźli, a on tymczasem poszuka jabłek. I zaczął zdejmować ze stołu, co tam leżały nasiona różne, i układał na ziemi. A wszystko, drań, tak powoli, że mu tylko na ręce patrzałem.

Tomek drgnął.

— Potem wyjął z kąta wicie i zaczął wybierać co grubsze. Potem moczył w wiadrze każdą osobno i próbował w powietrzu, aż świszczowało. Potem zaczął mnie sam powoli rozbierać, aż do naga. A ja nic: ani drgnę. Potem wziął mnie na ręce i położył na stole i powiada: „Leż sobie teraz spokojnie; a wygodnie ci?” — I zaczął lać. Wcale nie trzymał, tylko lał. Jak tu krew, to on dalej bije, ale powoli. Posiekał mi skórę na karku, na nogach; a potem przekreślił i bił w brzuch i w piersi — aż do samej szyi. Co się jedna wić połamie, to bierze drugą. Już myślałem, że zabije. Ja ani krzyknąłem, tylko mi zęby latały i takem drżał.

— Potem usiadł i sapał. A ja leżałem i ani się ruszyłem. Potem obejrzał mnie i powiada: „dobrze”. I wylał na mnie wiadro. Potem znów usiadł i kazał mi odpocząć. A potem ubrał mnie i wyprowadził z ogrodu, a już przy furtce to dał mi jabłko i mówi: „a jak znowu będziesz chciał, to znowu przyjdź”. I jak nie lunie mnie w pysk, aż mi jabłko wyleciało z ręki, i nie podnosiłem go nawet.

— Stoję ja przed parkanem i ani się ruszę. A tu był dalej plac, gdzie wywozili gruz i śmiecie. Stoję tak, a tu patrzę: coś się rusza. Ciemno, ale zobaczyłem kota: w śmieciach grzebie. Tak ja przykucnąłem cichutko i za cegłę. Kot spojrzał na mnie i ślepie mu się świecą — ścierwie. Ja się czaję i on się czai. Tak mnie rozirytował, że i o bólu całym zapomniałem, tylko patrzę, co on robi. Dopiero jak on skoczył i w nogi, tak ja za nim cegłą. Przetraćilem mu, draniowi, łapy. Jeszcze chciał uciekać, a ja go za ogon. On drapie, a ja go łbem tak o kamienie, o ziemię, o ziemię. Aż go zamęczyłem na śmierć.

Śmieje się.

— Na drugi dzień wyrysowali mnie na parkanie ze spuchniętą gębą. Rozgniewali się, że im mówić nic nie chciałem, a jeszcze drażnią: „Tomek! bityś”. I ten Stasiak, drań, także. Zapłaciłem mu za to. A od tego bicia dostałem ospy.

Ojca Bitysia zabili, bo zbierał się na kolegów — tragarzy, ale tamci nastawili na niego łobuzów.

Tomek „przesiewał” węgiel, rozwoził piwo, glinę rozrabiał, był w składzie aptecznym.

²³³snadź (daw.) — widocznie, zapewne. [przypis edytorski]

Raz znosił z drugim parobkiem balon z benzyną do piwnicy. Tamten spadł ze schodów, nastąpił wybuch: tamten się spalił, a Tomek trochę poparzył.

— Była sprawa. Bo ja niby miałem do niego ansę²³⁴ o dziewczynę. Powiadają, że ja go niby pchnąłem i jeszcze zapalkę naumyślnie rzuciłem. Ale nie mogli nic dokazać²³⁵ i musieli taki puścić.

Spojrzał na nas swym lisim wzrokiem człowieka bitego, który się broni.

— Ale nie dokazali — powtórzył.

Był Tomek przy rzeźnikach. Szedł raz do domu wieczorem w zimie. A szła przed nim dziewczyna. Co ujdzie kilka kroków, to się obejrzy. Widać go się bała; a nikogo więcej nie było... A na jedną stronę parkan, a na drugą — szosa — za Grochowską rogatką.

— Jakem ją złapał przez pól, jak przerzuciłem przez parkan, to ani pisnęła. — Głupia, żeby się była nie oglądała, tobym na nią i nie spojrzał... Wy mnie jeszcze nie znacie, panowie. Ja jestem drań i nie jestem drań. — Wy myślicie, że ja się boję katorgi²³⁶? Jeszcze tego nie widziałem... A może w katordze i lepiej jak tu... Chociaż nieprędko jeszcze, nieprędko.

Zacisnął pięść, aż kości, zda się, skurczyły, aby była twardszą, i położył ją na stole.

Wziął do rąk butelkę, spojrzał pod światło, przekonał się, że pusta.

— Ej — te! Chodź no tu. Dawaj cztery piwa. Pan płaci... A spotkamy się jeszcze kiedy, to ja za pana zapłacę... Ja nie jestem taki... Tylko ze mną trzeba przyzwoicie i delikatnie...

Odprowadził nas aż do mostu.

Szliśmy powoli, nic nie mówiąc do siebie.

— Takich jak on masz pan w Warszawie setki, panie Janie — powiedział Kossowski.

— Panie Kossowski, to straszne przecież.

— No więc, co pan na to poradzi? Są i będą. Mało to pijaków ma dzieci? Mało to sierot i bezdomnych chłopaków włóczy się po mieście i nie wiadomo, z czego żyją, gdzie mieszkają, z kim się przyjaźnią, i tak rosną?

Obręcz stalowa opasała mi czaszkę.

PRZED ŚWIĘTAMI

Nie wysnuwam żadnych wniosków. Widzę tylko fakty i fakty, drobne, a nieskończenie ciekawe. Widzę obrazy coraz nowe i coraz to nowych ludzi.

Cały ogromny dom oddycha teraz jedną myślą: święta, choinka. Choinka i święta są tematem wszystkich rozmów dzieci i dorosłych.

— U nas będzie, a u was nie.

— A u nas będzie aż pod sufit.

— A u nas będą marcepanowe owoce. (Ojciec pracuje w cukierni).

Wikcia całą noc stroiła drzewiko. A co dziwniejsze: stary Wilczek do późna wycinał czterogroszowy papier z obrazkami jasełki i naklejał na brystol.

Pasażerka zapomniała w dorożce parasol. Grosik zrobił z niego prezent żonie:

— Będziesz miała na święta.

Ignac dostał w skórę, bo rzadko chodził do ochrony i pani mu nie dała ubranka na gwiazdkę.

Chłopcy gromadami chodzą oglądać wystawy sklepowe. Znają wszystkie składy zabawek w mieście:

— A ty widziałeś tego pajaca, co się rusza?

— Żeby ojciec wiedział, jaki ja okręt widziałem.

— A w jednej cukierni jest choinka.

— A ja widziałem takie śliczne, że już nie wiem, ale nie wiem, co to jest.

Rodzice słuchają z zajęciem, dzieciaki się cieszą. Ani im w głowie nie postanie myśl, że mogliby mieć takie cuda.

A starsi zastawiają się, zapożyczają, kupują — robią zapasy wódki, bo w święta monopol zamknięty.

Sklep monopolowy w oblężeniu. Godzinę czekać wypada.

²³⁴ansa — uraza. [przypis edytorski]

²³⁵dokazać (ros. *dokazat'*) — udowodnić. [przypis edytorski]

²³⁶katorga — ciężkie roboty, kara stosowana w carskiej Rosji, zsyłka na Syberię. [przypis edytorski]

Przebiorę się za dziadka Mikołaja i będę obchodził izby z prezentami dla dzieci.

Kossowski wie, kim jestem — powiedziałem mu. — Dzielny człowiek! — Cudów dokazał: za trzydzieści rubli nakupił moc wielką pilek, pierników, owoców, lalek, obrazków, krzyżyków — biegł ze mną po Ordynackiej, po Sewerynowie — targował się — klócił — dwa dni stracił na bieżaniu, a sam ma przecież roboty co niemiara. — Worek do połowy będzie wypchany wiórami, żeby suciej wyglądał. — Aż z Tarczyńskiej ulicy przydzwigał kozuch, żeby nie poznali. — Maskę ma długą siwą brodę. — Wszystko w największej tajemnicy — nawet przed żoną. Opowiedział mi wiele tajemnic rodzinnych, abym tym większe wzbudził zaciekawienie i podziw.

Cieszę się jak dziecko — wraz z nim...

Jest tu na podwórzu sześćioletni „rudziak” — matka jego żyje na wiarę z mularzem²³⁷. Katują go oboje. Matce się zdaje, że to przez niego chłop nie chce się z nią żenić.

Wczoraj zajął do izby nieśmiało, gdym dzieciakom opowiadał *Kota w butach*.

Ot, siedzę na kufrze lub na łóżku, a ośmioro drobiazgu obok mnie, na kolanach, na stolku, na ziemi. I słuchają. A potem w domu opowiadają. Rodzic też słucha, a potem mówi niecierpliwie:

— E, musi to jakoś inaczej pan Jan opowiadał. Bo tak jak ty mówisz, to nic nie można wyrozumieć.

Rudziak zajął do izby: musiało dobiec do niego echo zmierzchowych bajek.

— A ty tu po co? — ofuknęła go Grosikowa — na przeglądy cię matka wysłała?

Uciekł.

Powiedziałem, że nie dokończę bajki, dopóki go nie przyprowadzą. — Dzieci nie chciały wierzyć:

— To rudziak wiaruski — tłumaczą mi.

— Ja wiem, i chcę, żeby i on słuchał.

Ignac z dwoma starszymi chłopcami puścili się pędem do sieni. Po chwili wciągnęli szamocącego się malca.

— Chodź, głupi: Pan Jan cię woła.

— Jak ty się nazywasz? — pytam rudziaka.

Żadnej odpowiedzi.

— No powiedz, jak matka na ciebie woła?

— Matka woła: cholera, a oni: rudziak — powiedział cicho i szybko, patrząc w ziemię.

Pocałowałem go w czoło. Spojrzał na mnie nieufny, z miażdżącym zdziwieniem w oczach smutnych.

Dlaczego dzieciśka tak chętnie złążą się na moje bajdy, tak daleko sławę moją roznoszą, a niechętnie mówią o ochronie?...

„Pani” z ochrony kupiła nową linię do „łap”!...

Dzieci bawią się tu w ślub, w pogrzeb, cyganów, złodziei i pijaków....

Zośka

Zośka ma pięć lat.

„Zośka nie kocha taty, bo tata pijus, na mamę szczeka, a jak się uchleje, to mu z pyska śmierdzi”.

Kocha mamę, bo „mama, jak uderzy, to tylko ścierką, to nie boli”.

Stacha jest mazgaj i „skarżypyta bez kopyta”. Franka kocha, bo jej przynosi od kupca czekoladki.

„Mama nie chce, żeby tata dał cioci komodę, bo jak ciotka była u nich, jak sprzątnęła, to izba była brudna jak świnia. Bo ciotka jest wielka dama: na swoim weselu ani zajął do garnka, a mama ma dla niej nogi zrywać?”

— A więc ty nie kochasz ciotki?

— A figa!

— A ty tańczyłaś na ciotki weselu?

— A już! Ciotka mówiła: „później, później” — i koniec. Ale ciotka ma kłopot za to.

— Jaki kłopot?

— A ja wiem?

²³⁷mularz (daw.) — murarz. [przypis edytorski]

— A gdzie ciotka ma kłopot?
— No, w brzuchu. — A ciotka ma sukienki brudne jak pies. — A mama była raz w cyrku. — A Zosia już dwa razy jechała tramwajem. — A na weselu ciotki piła wódkę.
— A ty lubisz wódkę?
— A niee?

Nowak

Nowak jest stróżem nocnym na Czerniakowskiej.

W zimie stoi na ulicy od jedenastej wieczorem do siódmej rano, a w lecie tylko do szóstej.

Pensja: 12 rubli miesięcznie.

Musi trzymać z łobuzami, boby nożem dostał.

Kiedy był w wojsku, w szpitalu, kiedy był chory, nauczył się grać w warcaby.

Grywamy na piwo: przegrywam umyślnie.

Żonie oddaje pensję, a sam dostaje od żony cztery grosze dziennie na papierosy i inne drobne wydatki. — Jak żona się rozgniewa o co, to mu i tych czterech groszy nie daje. Wtedy Nowak robi awanturę, żeby nie narowić kobiety zanadto.

Chwała Bogu, dzieci nie ma: było czworo, ale poumieraly. — Bóg wie, co robi.

Lubi opowiadać historię o swoim kiju i o kubku.

— Dla drugiego może być ten kij nic niewart, ale ja się do niego przyzwyczaiłem. Ja bym bez tego kija nie umiał wcale wyjść na służbę.

Ukradli mu ten kij. — Nie jadł, nie spał — aż go znalazł we dwa miesiące dopiero.

— To był cud jakiś chyba — powiada.

Historia cała długa, nudna — słyszałem ją coś pięć razy.

A kubek do kawy miał jeszcze z wojska. Tak ten kubek kochał, że więcej jak dziecko rodzone.

Raz upił się Nowak i splukał siedem złotych z pensji. I żona na złość zbiła mu kubek.

Plakał gorzkimi łzami, skorupki ma schowane: może da jeszcze kiedy skleić...

Tu każdy drobiazg ma wartość, każdy wyraz gdzieś kiedyś słyszany jest powtarzany, wspominany, komentowany. — Powiedziałem tu o kimś, że jest głupi jak niekwaszone kartofle, podobało się to ogromnie i może wejdzie w przysłowie.

DZIADEK

24 grudnia

Kto to był? Kto się przebrał za dziadka?

Nie był to Święty Mikołaj, to pewne. Widać było maskę, a jak mówił, broda mu się nie poruszała.

Ale dlaczego stróż go nie widział, kiedy wchodził do bramy?

Pan Jan wszystkiego się wypiera — i skąd by znowu miał tyle pieniędzy?

I żeby pan Jan, chodziłby do znajomych, a nie po obcych.

A u niektórych nazywał wszystkich po imieniu i wypytywał o krewnych.

Domysły, dociekania, wątpliwości.

Dzieci wierzą i dużo mówią o Świętym Mikołaju.

Drobny pozornie epizod pchnął myśl moją na nieznaną uprzednio drogę, która doprowadzi mnie do poznania prawdy. Czuję, że skupiają się we mnie nieznanne siły, które strzelą światłem — i światło przyświecać mi będzie do ostatniego oddechu życia. Czuję, że bliskim jestem wydobycia z otchłani duszy mojej celu, z którego wykrzesam szczęście.

Przez godzinę byłem świętym.

Nie było we mnie żadnej namiętności, żadnego żądania — tylko myśl smutna, smutek rzewny, rzewność błogosławiąca światu — wszystkiemu, co żyje i cierpi, i błędzi.

Wrażenia doznane owej czystej godziny wigilijnej nie dadzą się porównać z żadnymi z przeżytych uprzednio.

Idę — Święty Mikołaj — w masce starczej, z białymi włosami, długą do pasa śnieżną brodą, z kijem pątniczym w ręce — przepasany powrozem — z workiem przysmaków

i świecidełek dla smutnej dziatwy, idę od izby do izby, niosąc zdziwienie, bojaźń i radość — i cały szereg jednakich, a mimo to różnych obrazów przesuwa się przed moimi oczami.

Idę od izby do izby i widzę drobne pyły wieczności, mrowie ludzkie, rozwiane na idącym w dal nieskończoną gościńcu życia; widzę na potwornie wielkiej pajęczynie bytu — ludzi, zawieszonych, jak rosę gęstą, jak łzy, które wypija powietrze; widzę drobne krople olbrzymiej fali ludzkiej; widzę pojedyncze trawy stepu, widzę pojedyncze ziarna pustyni, a ziarno każde ma myśl i czuje.

Biedni wy, moi współcześni — i wy, którzyście pomarli i kości wasze bieleją — i wy, którzy przyjdziecie dnia jutrzejszego — biedna ludzkości w smutku i grzechu.

Idę od izby do izby — starzec siwy — któremu stulecia były latami.

Śnieg iskrzy się brylantami w migotaniu gwiazd światów. Czuję ruch tych gwiazd-olbrzymów, Ziemi wirującej bez wytchnienia, jak gdyby się nic na niej nie działo.

Idę od izby do izby.

Śpiewają kolędy, wódkę piją, łamią się opłatkami, składają życzenia i skromne spożywają wieczerze.

Dzieci niefrasobliwe kręcą się wokoło niskich choinek, płonących rzadkimi świeczkami, przybrzany tanimi papierkami. Skromne drzewka robotników. Nie czują żalu do błyskotliwej choinki bogacza.

Milknie śpiew, gdy wchodzę.

Idę od izby do izby.

Każdy z was, maku ludzki, ma jedną własną chwilę urodzin, gdy po raz pierwszy odetchnął powietrzem szorstkim i chłodnym i zapłakał bez łez. — I każdy przyniósł na życie swe wypadkową nieznaną sił i nieznaną grzechów odległej, zmarłej, prochem szarzejącej przeszłości — by być ogniwem, przez które płyną siły i grzechy, i dobro — ciemną tajemnicę jutra. — Co zwycięży?

Każdy przyniósł na świat zasób nieznaną, dziedzicznych władz duchowych i moc wzrostu, i pragnienie życia własnego i w dzieciach, i we wnukach, i tęsknotę do ideału, i tajemnicę celu swego istnienia.

Każdy ma swój własny, wszystkim obcy świat ducha, którego nikt nie zna, bo znać nie może — którego sam nie zna, bo znać nie może.

Idę od izby do izby, a myśli pochylały mi czoło, a smutek grzbiet przegiął do ziemi.

I każdy, z was ma swoje własne bóle — i pragnienie współczucia, bo słaby — i opieki, bo słaby — i nie znajduje — i kurczy się w sobie — i nienawidzić poczyna.

I każdy ma dążenia i nadzieje.

I każdy ma jedną własną chwilę śmierci, dla której żyje — kiedy on jeden umrze, a nikt inny — i nie pamięta o tym, nie chce pamiętać.

Idę od izby do izby.

Twarze, spalone żarem, pokreślone troskami, ciała pochylone wczesną i ciężką pracą, dłonie wyrobione, twarde, oczy znużone, zamglone wódką — a obok dzieci z pytaniem-przeczcuciem w przeczystym wzroku.

Siedzą starzy i młodzi przy wspólnych stołach — razem — bliscy — z wspólnej misy jedzą — jednym dyszą powietrzem — ręce się ich dotykają — wzrokiem się obejmują. — Życie tchnie, wionie lekko — rozproszy.

Ułożą się nowe konstelacje pyłów — znacie kalejdoskop?

Siedzą starzy, młodzi i dzieci, ale już inni, już nowi. — Znów życie wionie — innego braknie, inny w świat pójdzie, inni przybędą.

Życie znów zakolysze falą — w nowe desenie połączą się żywi — tych ziemia weźmie — tych łona matek poczną — i fala nie zginie — fala istnieć będzie.

Płynie pieśń-kolęda. Harmonia w dali niby się cieszy, a płacze.

Idę od izby do izby krokiem wolnym, cichym.

A w sieci życia tyle dróg, i ludzie rozchodzą się i schodzą — i niby własnowolnie — niby za nieznanym rozkazem — snują się — szukają — rozchodzą i schodzą — a wszystkie drogi ciągną w głąb, w lejek matni, gdzie coraz ciasniej — a w głębi, w końcu, w dali, w mgle — widnieje krzyż — mogiła.

I widzę winy, nie widzę winowajców, i widzę krzywdzicieli, i widzę zbrodnie, ale zbrodniarzy nie widzę.

Vanitas, Przemijanie

Idę ze łzą w sercu i Bogiem na ustach.
Tulę do piersi małeństwo. Drży.
— Nie bój się dziadka. Dziadek nic złego nie robi. Dziadek kocha dzieci. Dziadek przyniósł dla ciebie piłeczkę, jabłuszko i krzyżyk.
Rozpinam koszulkę i na białej piersi dziecka krzyżyk zawieszam.
— Biedne małeństwo, nie bój się dziadka.
Istnieje już w czarnej dali przyszłości i los małeństwa, i los krzyżyka. A stanie się to drogą tysięcy drgnień, tysięcy drobnych przyczyn.
A może, dziecię, zawieszysz tę blaszkę na szyi syna, gdy będzie szedł do wojska, lub córki, gdy za szyfkartą²³⁸ jechać będzie z dziećmi — a twymi wnukami — do męża za morze? — Ich nie ma jeszcze, ale w przyszłości oni już są.
Bóg nie zna jeszcze doli twojej, dziecię, ale ją przyszłość zna.
Kto zawieszał krzyżyk na piersi prostytutki?
Kto zawieszał krzyżyk na piersi zbrodniarza?
Kto zawieszał krzyżyk szerniały na piersi nędzarza, który leży na stole sekcyjnym?
I ludzkość, jak wieniec cierniowy, spleciona z narodów, a naród... Człowiek jest łzą natury.
— Błogosław, dziadku, to dziecko — prosi matka.
— Błogosławię cię, moje małe.
Przyklękli.
I ja przyklękłem i pochyliłem głowę.
— Pozostańcie w spokoju. „Oto Bóg się rodzi, by krwią swoją zmyć grzechy wasze”.
I żadne za mną nie wyszło do sieni, taka w słowach moich była powaga, a w postaci — prawda.
Idę od izby do izby.
I widziałem taką, gdzie choinki nie było, a dzieci były — dałem im podarki, ale nie zapłakałem.
I widziałem taką, gdzie dzieci nie było.
— Tu u nas nie ma dzieci, dziadku — powiedziała kobieta. — Bóg zapłać, żeś i do nas zaszedł.
Czemu poczułem, że chłodne łzy spłynęły mi na palące policzki?
I wszedłem do izby wiaruski.
Rudziak jest sam w izbie; siedzi w kącie przy kominku. Ciemno. Zawieszona przed obrazem lampka rzuca na twarz chłopca smutne zielone światło.
— Dziadku — woła, trzymając mnie mocno za rękę — dziadku, weź mnie z sobą.
— A tobie źle w domu? — pytam.
Lampka syknęła. Drgnął.
— Dziadku, czy ty naprawdę święty?
Dziecko to pierwsze zadało mi to pytanie.
— Tak, chłopcze, jestem święty — mówię cicho, spokojnie, z wiarą.
— Mnie tu źle. Ja chcę iść z tobą.
Zawieszam krzyżyk na jego szyi, daję mu dużo łakoci.
— Módl się, rudziaczku.
— A jak?
— Mów Bogu wszystko, co czujesz.
— Kiedy psie głosy nie idą pod niebiosy.
— Módl się, dziecko. Bóg ciebie wysłucha.
Klęka i szepcze, wpatrzony w obraz.
Opieram się ciężko na kiju i patrzę, nie mrużąc powiek.
I widzę.
Widzę, co mówi Krasieński — dziwnie jakoś i strasznie widzę:
„Wszystkie światy lecą to na dół, to w górę — człowiek każdy, robak każdy krzyczy: — »Ja Bogiem« — i co chwila jeden po drugim konają — gasną komety i słońca. Chrystus nas już nie zbawi — krzyż swój wziął w ręce obie i rzucił w otchłań. Czy słyszysz,

Los, Dziedzictwo

Krzywda, Dziecko

²³⁸szyfkarta — bilet okrętowy. [przypis edytorski]

jak ten krzyż, nadzieja milionów, rozbija się o gwiazdy, łamie się, pęka, rozlatuje w kawałki, a coraz niżej i niżej — aż tuman wielki powstał z jego odłamków. — Najświętsza Bogarodzica jedna się modli, i gwiazdy, jej służebnice, nie odbiegły jej dotąd — ale i ona pójdzie, kędy idzie świat cały”...

(Przypisek późniejszy).

Szanowne opiekunki i opiekunowie ochron i innych filantropijnych instytucji — proszę was, nie pozwalajcie uczyć biednych dzieci wierszowanych podziękowań i hymnów pochwalnych na cześć waszą.

Widzicie, matki na nie ciężko pracują, i doprawdy, ani wdzięczności, ani pociechy nie mają — tylko troski.

A wy za kilka rubli rocznej składki i paczkę pierników chcecie, by was kochały. — To przecież — lichwa.

I druga prośba — do wszystkich:

Nie dawajcie biednej dźwiatwie błyskotliwych upominków. W małych budzi się przekonanie, że od obcych mają więcej niż od rodziców.

Józia dostała od matki na imienniny tylko sześć groszy, a od dobrej pani kosztowny upominek.

Matka czuła się sponiewieraną prezentem „dobrej pani”.

O GRAMATYCE

(Pan Jan ma lekcję z dziećmi na Solcu).

Więc powiadacie, chłopcy, żeście się uczyli gramatyki? I powiadacie, że gramatyka jest trudna i niepotrzebna? Że wymyślili ją po to, żeby męczyć dzieci i dwójki stawiać?

Otóż zaraz się przekonacie, że tak nie jest, że jest tu dużo bardzo ciekawych i ładnych rzeczy.

Więc tak — zaczynam od samego początku:

Weźmy zupełnie małe dziecko, które jeszcze nie mówi i dlatego nazywa się niemowlę. Takie niemowlę umie już odróżnić, co jest dla niego przyjemne, a co nieprzyjemne, i albo się uśmiecha, albo wrzeszczy i krzyczy, co w jego mowie oznacza: „a bodaj wam nosy popuchły za to, że o mnie nie myślicie”. (Śmiech). — Takie niemowlę widzi wokoło siebie dużo rozmaitych rzeczy, słyszy, jak dorośli mówią, samo próbuje mówić: aaa, ooo — co my nazywamy, że ono gaworzy — wreszcie proszę was, powie: mama. — Powie raz: mama — i drugi raz: mama — i okropnie się cieszy, że taką mądrą rzecz powiedział. (Śmiech). Widzi, że wszyscy się cieszą — i wtedy wszystko, co się rusza — będzie dla niego: mama. — I kot, i mama, i tata, i brat, i ptak. Bo taki mały rak widzi tylko to, co się rusza, chodzi, wydaje dźwięki. Taki rak mały, który nie wie, co się z nim dzieje — nazywa swoim „mama” wszystkie rzeczy — rzeczowniki żyjące.

Z rzeczowników nie żyjących mały człowieczek najprędzej nauczy się mówić: papu — jedzenie. Boć przecież jedzenie to nie byle co. I wy pewno wolicie jeść, niż się uczyć?

— E nie, proszę pana.

— Więc jedźmy dalej. — Taki knot już wie, co to jest mama. Ale ot co się dzieje: raz ta mama daje mu jeść, śpiewa, kołysze, pokazuje ładne błyszczące rzeczy, a drugi raz krzyknie, klapnie w tyłek, da mu do picia paskudne lekarstwo albo zostawi mokre, a sama gotuje albo pierze. I taki bąk widzi, że jedna i ta sama mama jest rozmaita. A znowu słyszy, że dorośli raz mówią na niego: cacy, to znowu: be. — I niemowlę myśli, myśli, myśli, myśli, aż sobie namyśli, że ta sama mama raz jest — cacy, a drugi raz — be. — Cacy dla niego będzie znaczyło: jaki? — dobry, jaki? — ciepły, jaki? — smaczny, jaki? — śmieszny. A be będzie dla niego: jaki? — zły, jaki? — zimny. — Patrzenie, co on już za mądry człowiek — pi, pi! — on zna dwa przymiotniki. Niedługo trzeba mu będzie mówić: szanowny panie. (Śmiech).

Nie śmiejcie się: trzeba wam wiedzieć, że dla takiego malca mówienie to taka sama trudna rzecz, jak dla was dzielenie przez dwie cyfry. Co on się musi, biedaczysko, namęczyć, zanim zrozumie, co trzeba zrobić wargami i językiem, zanim się powie literę.

Spróbujcie powiedzieć: *m*, nie zamykając ust. — A co? aha. — Albo: *be*. — A widzicie: nie udaje się. — Najłatwiej powiedzieć: *aaa*. Otwierasz szeroko gębę — i basta. Trudniejsze są litery, gdzie trzeba wywijać językiem, na przykład: *de*, *te*. Tu trzeba końcem języka dotknąć zębów. — A co trzeba zrobić, żeby powiedzieć: *ef*?...

Ślicznie. — Jeszcze trudniej powiedzieć: *er* i *sza* — i jak wiecie, dzieci długo mówią: plose, zamiast: proszę.

Wy teraz już o tych trudnych rzeczach wcale nie myślcie, bo już umiecie. — Przyjrzyjcie się tylko, jak małe guzik zapina: to dziurki nie może złapać, to mu guzik uciekł, to znowu nie chce wejść do dziurki. — Nie śmiecie się: i z wami było to samo — i tak jest ze wszystkim na świecie: najmądrzejsze rzeczy są łatwe, jak się umie; dziś trudne ci dodawanie, a jutro już będzie łatwe; dziś dzielenie trudne, a jutro będzie łatwe.

A teraz dalej:

Pomówimy sobie o języku, ale nie o tym czerwonym, co go macie w ustach, tylko o mowie ludzkiej. — Zdziwicie się bardzo, jak się dowiecie, że język ludzki, czyli mowa ludzka żyje, karmi się, choruje, robi rozmaite interesy — może być bardzo biedna albo bogata.

Więc, proszę was, różni mądrzy podróżnicy jeździli do dalekich krajów i zauważyli, że są tacy dzicy ludzie, którzy mają w swojej mowie bardzo mało wyrazów, że ich język jest bardzo biedny. Ma ten biedny język trochę rzeczowników, bo przecież trzeba jakoś nazywać swoje stołki, garnki i inne rzeczy, ma tam jakąś kupkę przymiotników, bo jedne stołki są duże — a drugie małe, jedne garnki — jakie? — czyste, a drugie — jakie? — brudne — ma tam trochę jeszcze tego i owego — i już koniec. — Taki to sam biedny język, jak naszych małych dzieci.

A im mądrzejszy jest jakiś naród, im więcej wie i więcej umie, tym więcej ma rozmaitych wyrazów — i z każdym rokiem rodzą mu się nowe wyrazy, jak wam rodzą się bracia i siostry.

A może mi tak powiecie, jaki to się wyraz niedawno urodził? — Ano: samochód. Ktoś wymyślił brykę, która jeździ bez konia; trzeba to było jakoś nazwać — i nazwali: samochód. Tak samo, dopóki Gutenberg nie wymyślił druku, nie było wyrazów: druk, czcionki, zecer, książka.

Ale nie myślcie, że tylko rzeczowniki się rodzą. Nie: i przymiotniki także, i inne części mowy. — Są na przykład w polskim języku dwa wyrazy: lubić i kochać. Kocha się Boga, ojca, matkę, a lubi się kolegę, psa, wodę z sokiem. Byłoby lepiej, żeby dla wody z sokiem był inny wyraz niż dla kolegi — i pewnie on się kiedyś urodzi: wymyślą go ludzie — może nawet który z was wymyśli — co? — A weźcie teraz rosyjski język: tam jest tylko jedno: *lubit*²³⁹ — i mówi się: *lublu atca*²⁴⁰ i *lublu prianik*²⁴¹. — A teraz inny przykład: wiecie, co to jest ciekawość? Ciekawość to zaglądać do cudzych garnków — i mówi się, że taka ciekawość prowadzi do piekła. Ale jest i inna ciekawość: co się dzieje na świecie, skąd powstają różne choroby, co było za dawnych czasów, o czym mówią książki — i taka ciekawość to pierwszy stopień do rozumu, do wiedzy, do doskonałości. I patrzcie: i dobra, i zła nazywają się jednakowo: ciekawość. I tu znowu rosyjski język jest bogatszy, bo ma dwa wyrazy: i *lubopytstwo*²⁴² i *luboznatielność*²⁴³ — Może za dwa lata, a może za dwadzieścia język urodzi nowy wyraz dla tej dobrej ciekawości — i będzie wszystko w porządku.

Wiecie, że są wyrazy: zamożny i bogaty. Zamożny to taki, który ma, czego mu potrzeba, a bogaty ma więcej, niż mu potrzeba, i nie wie, co z pieniędzmi robić — i najczęściej głupstwa robi. — Tak samo: *ubogi*, to taki, który ma mniej, niż potrzeba; *biedny* już ma znacznie mniej, niż potrzeba: ani się leczyć nie może jak należy, ani dzieci dobrze uczyć, ani często zjeść tyle, ile potrzeba, aby być silnym i zdrowym. A nędzarz nic już nie ma. — Widzicie, co za bogactwo wyrazów.

I jeszcze jeden przykład: rozumny, wykształcony i inteligentny. — Czyście pomyśleli kiedy, że można być wykształconym, a głupcem przy tym? — Wykształcony to często taki,

²³⁹*lubit* (ros.) — kochać, lubić. [przypis edytorski]

²⁴⁰*lublu atca* (ros.) — Kocham ojca. [przypis edytorski]

²⁴¹*lublu prianik* (ros.) — lubię piernik. [przypis edytorski]

²⁴²*lubopytstwo* (ros. *любопытство*) — ciekawość. [przypis edytorski]

²⁴³*luboznatielność* (ros. *любознательность*) — dociekliwość. [przypis edytorski]

którego rodzice mieli pieniądze, posyłali do szkół i drogo płacili za naukę — potem on skończył na jakiegoś doktora albo adwokata — i wstydzi się swojego krewniaka, dlatego że ten jest biedny albo nie tyle w książkach siedział. — Jest to sobie może i wykształcony, ale cóż, kiedy głupiec? — A rozumny może wcale czytać nie umieć, ale zawsze sam postępuje jak należy i innym da rozumną radę. — I powiedzcie, co by to było, żeby istniał jeden tylko wyraz: wykształcony? — Wtedy często musielibyśmy nazywać mądrym głupca, dlatego tylko, że jego rodzice mieli pieniądze na szkoły.

I jeszcze mało było tych dwóch wyrazów, bo sobie język polski pożyczył od łaciny wyraz: inteligentny. — A tak. — Jeżeli język sam sobie na razie nowego wyrazu wymyśleć nie potrafi, to go sobie pożycza tymczasem. Każdy język ma dużo takich pożyczonych wyrazów. — Mówicie: „amator kwaśnych jabłek” — a amator to łaciński wyraz. — Adie²⁴⁴ — to znowu pożyczone od Francuzów, a kucharz — od Niemców.

Kto pożycza, ten powinien oddać — i język oddaje pożyczone wyrazy. Weźcie sobie, panowie Francuzi, z powrotem swój wyraz: kontent, bo my już mamy swój wyraz no jaki? — A — zadowolony. — Weźcie sobie, panowie Niemcy, swoje: spacerować, bryftregier, banhof, bo my mamy: przechadzka, listonosz, dworzec. — A już sensu nie ma mówić: powiestka z sądu, bo jest wezwanie z sądu.

Widzicie więc, że rodzą się w języku nowe wyrazy, że rośnie, pożycza i oddaje, kiedy sobie na własny wyraz zapracuje — że jest coraz bogatszy, że coraz łatwiej nim ludziom myśleć i mówić...

Zdziwicie się jeszcze bardziej, kiedy wam powiem, że niektóre wyrazy w nim umierają. Wyobraźcie sobie, że mówicie do kolegów:

— Azali zagracie z nami w palanta?

— Zaiste, zagramy — odpowiadają koledzy.

Widzicie: sami się śmiejecie. — Azali, zaiste — są to wyrazy stare, zgrzybiałe, do codziennej mowy wcale niezdatne. Są one siwe i poważne, i usłyszeć je dzisiaj możecie tylko w kościele. — Takich wyrazów, które już zupełnie umarły albo umierają — jest bardzo wiele...

Ciekawe jest bardzo, co język robi, żeby sobie z jednego wyrazu zrobić kupę rozmaitych wyrazów. Wymyślił sobie, mądrała, odmiany. Z jednego wyrazu: *książka*, zrobił: książki, książce, książkę, książką, książek, książkom, książkami, książkach. Z jednego: czytać — zrobił: czytam. — asz — a — amy — acie — ają — czytałem — czytałam — czytaj — czytajcie — i wiele innych. I jeszcze nie koniec: dodaje sobie *prze*, takiego małego przytyka — i to już znaczy co innego. — Czytałem, to jeszcze nie znaczy, że wiem, co było na końcu, a przeczytałem, to znaczy — do końca. — Myślicie, że koniec? Nie. — Jest wyraz: czytanie, i znowu: czytania, czytaniem itd. — czytający, czytająca, czytające. — Aż się w głowie kręci od tego wszystkiego. — Będziemy sobie o tych wszystkich cudach mówili po kolei, powoli — bo od razu, to aż w głowie huczy, co ten język wyrabia...

I teraz, proszę ja was, przychodzi człowiek — i powiada: trzeba tu, do licha starego, zrobić jakiś porządek, bo tak to my nic nie wiemy, co się tu dzieje.

I wyobraźcie sobie tylko taki sklepik: śledzie leżą tam razem z papierosami, węgle do samowara z masłem, nafta z chlebem, karmelki z mydłem. — Przychodzisz po kajet za sześć groszy. Zaczyna się szukanie. Sklepiczarsz mówi, że kajety są tu, a żona mówi, że tam. On krzyczy na nią, a ona na niego — wylewają sobie na głowy balon z naftą, sypie im się na nosy mąka, karmelki wpadają do słoja z kwaszonymi ogórkami. — Nie wiedzą, co mają, czego im brak, co trzeba dokupić — nic nie wiedzą.

A ludzie, naród — muszą przecież wiedzieć, jakie mają wyrazy, co im potrzebne, czego trzeba pożyczyć albo można już oddać — żeby każdy mógł swoim językiem myśleć i mówić.

Im coś jest ważniejsze dla nas, w tym większym porządku i poszanowaniu to trzymamy. Im coś jest droższe, tym pilniej strzeżemy. — Widzieliście, jaki porządek jest w aptekach: każde lekarstwo w osobnym słoiku z napisem.

To samo postanowili zrobić ludzie ze swoją mową. Trzeba wszystkie wyrazy podzielić na gatunki, każdy gatunek pomieścić w innej szufladzie i zaopatrzyć w napis. — Jak wam

²⁴⁴adie (z fr. *adieu*) — do widzenia, żegnaj. [przypis edytorski]

się zdaje: łatwa to czy trudna praca? — Strasznie trudna. — Ale ludzie nie boją się żadnej pracy. — Oni wymyślili telefon i telegraf, oni wymyślili maszynę parową i mikroskop — takie cuda, że jak wam o tym opowiadać będę, to aż oddychać przestaniecie ze zdziwienia.

Więc nasamprzód ludzie ustawili tak jakby cały szereg szuflad i zaczęli gatunkować wyrazy. Na jednej stronie napisali: kto? co? rzeczownik — i kładli: matka, stół, serce, Józio, uczeń, słońce, Wisła, dzwonek, miłość, rzeka, zapalka. W drugiej szufladzie: jaki? czyj? przymiotnik — itd. — A potem zobaczyli, że Wisła i rzeka to niby jedno, a jak powiem: rzeka, to nikt nie wie, jaka, bo rzek jest dużo na świecie. — Słyszeliście o rzeczownikach własnych?

Pomyślcie, co to za śliczny wynalazek te rzeczowniki własne; piszę na kopercie: Stanisław Marczak, Solec Nr... Warszawa — i koniec. — A jak ja bym adresował list, żeby ich nie było? — „Wielmożny ten pan z czarnymi wąsami, co to ma dwóch chłopców i dziewczynkę, co to jeden jest wielki łobuz, ale dobrze się uczy — na tej ulicy, co to jest niedaleko od rzeki — takiej długiej — w tym mieście dużym, co leży na lewym brzegu szerokiej rzeki”. — I tak bym mógł napisać sto stronicy tego adresu, a potem toby szukali dwa lata i oddali list zupełnie komu innemu, bo miast takich i rzek, i ulic, i panów z wąsami jest okropnie dużo na świecie.

Widzicie, co to są rzeczowniki własne?

I tak, proszę was, uczeni ludzie powsypywali do każdej szuflady co innego, potem przyglądali się, co podobne, i ustawiali te szuflady obok siebie. Tak zupełnie, jak np. w sklepiku jest jedna półka z papierosami, a na tej półce dopiero: Polakiewicz, Azis, Zagłoba, Tureckie itd.

Powiem wam o jednym maleńkim wyrazie, a takim mądrym, że aż wierzyć się nie chce. Taki mały wyraz: kto. Stukają do drzwi i ty się pytasz: „kto stuka?” A gdyby nie było tego malca: kto — musiałbyś pytać:

— Czy stuka Kazio, czy Mańka, czy Szczepan, czy ciotka, czy druciarz, czy kum Piotr, czy żebrak?

A tamten odpowiadałby ciągle: „nie, nie, nie”. I mógłbyś tak trzy godziny pytać i nie zgadłbyś wcale. Spociłbyś się jak mysz — wyzłościł — nie jadł — nie spał — tylko pytał ciągle. A tak: „kto tam” — i w tym króciutkim: kto — siedzą imiona wszystkich ludzi na całym świecie. — Kto — jest — zaimek...

Jak wam mówiłem, są w gramatyce części mowy, które się odmieniają: są to bogaci panowie, mogą z jednego wyrazu zrobić dużo wyrazów. A taki pożyteczny, a biedny przysłówek, przymiotnik nie mają odmian. Jest sobie wyraz: zawsze, przy, od — i taki już zostaje na całe życie; ale zobaczcie, że ten *przy* albo *od* jest pożytecznym pracownikiem i pomocnikiem innych części mowy, które go szanują i słuchają go się. — Bo mówi się: *do* ogrodu, ale *w* ogrodzie. — Zobaczcie dalej, jak bogaty przymiotnik pomaga i pożyczka swoje wyrazy przysłówkowi: z „dobry” przysłówek robi sobie wyraz *dobrze* — itd. — Zobaczcie dzięki gramatyce, jakie to cuda kryją się w mowie ludzkiej.

Mowa ludzka, proszę was, to jak stary tajemniczy wielki bór, pełen życia, pełen śpiewów głośniejszych i wesołych, i strasznych, nieznanymi szeptów, pełen wesela i smutku, młodości i śmierci. Są w mowie ludzkiej wyrazy mocne i wielkie jak dęby, które do niebios się wznoszą: męstwo, bohater — wyrazy wesołe, jak: słońce, pieśń — wyrazy ponure jak: ucisk i podłość — wyrazy, które dzwonią jak skowronek w błękitach wiosennego poranku lub syczą jak żmija jadowita, lub skarżą się jak jęk.

Patrzcie, jakie to ogromnie ciekawe: niektóre wyrazy samym brzmieniem swym naśladują to, co wyrażają, na przykład: ryk, grzmot, świst, syk, huk. Stare są to wyrazy, zapewne tak samo pierwsze dla narodu, jak pierwsze dla dziecka: ham — pies, albo muu — krowa. — Pomówimy jeszcze o tym wszystkim.

Wiem, dzieci — że nie lubicie w gramatyce *wyjatków*. Wiecie, chłopcy: my nie powinniśmy się gniewać na wyjątki, bo one dowodzą nam, że mowa ludzka żyje i pragnie być wolną — że nie chce dać się ludziom spętać, ujarzmić. — Można poukładać w szufladzie pierniki albo papierosy, i będą tam leżały aż do końca świata — ale mowa ludzka żyje, rośnie — wyrывa się do wolności — i stąd są owe wyjątki w gramatyce, na które się gniewacie.

— Ale po co nam gramatyka? — zapytacie może.

Bo bez gramatyki nie można dobrze mówić ani tym bardziej dobrze pisać.

— A dlaczego to trzeba bez błędów mówić albo pisać, kiedy i tak mnie zrozumieją?

Bo błąd w mowie — to jak plama tłusta i brzydka na fotografii matki, którą kochasz, to jak niestarannie przyszyta lata na ubraniu, w którym idziesz w gościnę. Źle mówić lub pisać — to znaczy krzywdzić swoją mową tych wszystkich, którzy ją z taką czcią budowali. Język smuci się, choruje, gdy ludzie źle nim mówią. — Pamiętacie, jakim się rozgniewał, gdy któryś z was po raz trzeci powiedział: kajet po arytmetyce. Zdawało mi się wtedy, że ktoś drzazgę lub igłę wsadził za paznokieć żywemu człowiekowi, któremu z bólu łzy napłynęły do oczu.

Gramatyka uczy szanować mowę ludzką i podziwiać rozum ludzki...

Jeszcze tylko wam dodam, że są ludzie, którzy mówią i piszą gramatycznie i ładnie nawet, ale nieuczciwie i głupio, a są tacy, którzy nie znają gramatyki i do szkół nie chodzili, bo szkoły pieniądze kosztują, a oni byli biedni i pieniędzy nie mieli, a warci są stokroć więcej od tych, którzy się w szkołach uczyli...

A teraz bywajcie zdrowi — do jutra.

*

Dwie śpiewki popularne; śpiewają je dorośli, młodzież i dzieci:

Ulica Kościelna, numer domu trzeci,
Konduktor Wiśniewski zabił żonę, dzieci.
Toż od pojęcia nie żyli oboje (bis).
A w niedzielę rano o trzeciej godzinie,
Ach, droga Jadziu, odprowadź że ty mnie...
Ach, drogi Antosiu, nie pójdę ja z tobą,
Bo ty masz kochanki, co chodzą za tobą.
Ach, droga Jadziu, jam im nie ślubował,
Tylko wziął za rączkę, ścisnął, pocałował.
Wziąłeś mnie, Antosiu, od ojca, od matki,
Przyprowadziłeś mnie do tej biednej chatki,
A w tej biednej chatce bił mnie i *hatował* (bis).
Wtem wpada szatan i drzwi otwiera.
Konduktor Wiśniewski z rewolwera strzela.
Idzie rewirowy z dwoma łapaczami:
Szykuj się do drogi, bo ty pójdiesz z nami.
Wyszedł Wiśniewski, ukląkł na kolana:
Och, Matko święta, ratujże mnie sama.
Ach, drodzy panowie, ja nie winowajca,
Tylko swojej Jadzi ja jej jestem zdrajca.
A pani Wiśniewska jeszcze nie skołała,
Półtora tygodnia w szpitalu leżała.

A to druga śpiewka.

Oj wy chłopaki nie jednej matki,
Postroili się jak róży kwiatki;
Jak maszerują, ludzie dziwują,
Jeszcze kontentni, że nie wstępują.
A jak gdzie wstąpi, to tydzień bawi,
Niejedną pannę panią zostawi,
Panią zostawi i sam pojedzie,
A ona za nim wyglądać będzie (bis).
A on pojedzie innym gościńcem,
A ona za nim z małym dziecięciem,
Ona do księdza i do sędziego;
Nie znajdziesz sprawy żadnej na niego...
Rozgniewała się żona na męża,

Wzięła koguta, poszła do księdza.
Oj, dobrodzieju, doradz mi tego,
Co ja mam zrobić na męża złego.
Zagotuj wody, wyparz mu oczy,
Zabierz pieniądze, przyjdź do mnie w nocy.
Zabierz pieniądze, zabierz i skrzynie,
Będziesz ty u mnie za gospodynie (bis).

DYPLOM

26 grudzień

Poszli z wizytą na Wołę. Zmierch. Jestem znów sam z sobą.

Rozglądam się po izbie. Przyglądam się ciekawie prostym sprzętom, naczyniom rozstawionym na półce; przekładam pozostawione w nieładzie rzeczy: oto dorożkarska z numerem ciężka czapa Grosika; robotnicza bluza Wilczka; czerwona flanelowa pocerowana spódniczka Wikty; pielucha Mani; podarte bez guzików codzienne buciki Janka; bluzka perkalowa, wypocona pod pachami, Wikty.

Dziwnie plastyczny sen.

Siadam na niskim stolku i kołyszę pustą kolebkę, wsłuchuję się w jej stuk jednostajny.

Próbuję czytać — nie rozumiem. Pędraki stukają do drzwi: przyszli na bajki — nie otwieram. „Nie ma pana Jana” — mówi jedno. — „Kiedy Wilczki sami szli” — mówi drugie. — „No nie ma”. I odchodzą.

Opieram się o okno i patrzę: chłopcy zbili z desek sanki, wtaczają je na dach lodowni i zjeżdżają. Kręci się koło nich dziewczyna; odepchnęli raz i drugi — odeszła.

Z sieni wychodzą rodziny świątecznie ubrane — w goście. Mężczyźni, pochyleni, z papierosami w ustach, kobiety; z dziećmi na rękach; starsze idą przed nimi.

Rzucam się na łóżko, patrzę długo i nie myślę.

Po co ja tu? Po co ja i tu, i gdziekolwiek indziej?...

Tak skrzywdzić, tak strasznie skrzywdzić człowieka, jak mnie skrzywdzono, tak mu odebrać wszystko, tak mu wszystko, wszystko zabrać, jak mnie zabrano?

Nie powinno tak być.

Oto nie posiadam ani jednej prawdy, którą bym chciał głosić, ani jednej wiary, dla której warto żyć. — Wszystko, co było lub być mogło, zjadł sceptycyzm. — Widzę haniebną, wrogą względność wszystkich bez wyjątku dogmatów i teorii, pozostał mi jeden tylko chwiejny i hańbiący ból życia...

Biali, czerwoni i w kratkę... Mają przewodników, jak barany pastuchów — hasła, jak gwizdki fabryczne. — A pastuchami stad są ludzie, którzy wiele czytali i zdobyli dyplomy. — A czy można wierzyć ludziom, którzy wiele czytali i mają dyplomy?

Oto zaszyłem się w gęstwinę życia, aby zapomnieć o sobie. Upijam się po szynkach, jak inni po gabinetach, patrzę na circenses²⁴⁵ życia, bo mi prawdziwy teatr już dojadł. Błazeństwo, może trochę jaskrawsze — ale nic więcej.

I nic dziwnego...

Coście mi dali, pytam. Kazaliście mi kochać coś prawdziwie, z czego byście sami nie drwili? Jakże miałem wierzyć w sprawiedliwego Boga, kiedy wasz salon był krzyżącą niesprawiedliwością? — Stare zabawki, zniszczone, nudne — dla biednych dzieci? — Marzenia jałowe, ssane z moralnych aż do smrodu powiastek i powieści dla młodzieży i starych dzieciuchów? — Dławiące, bezsenne noce w czasie egzaminów? Dławiąca nauka z dnia na dzień, z roku na rok — zapominana, odświeżana i znów zapominana — na zawsze. — Setki kompromisów, by „wyjść na ludzi”. To brudzi — błoci, tępi na całe życie.

Czy w gruncie rzeczy istnieje jakiś altruizm, czy tylko modna literatura altruizmu? Czy mnie obchodzą przyszłe pokolenia, czy tylko z zajęciem słucham deklamacji, jak na mistycznym koncercie, o tych, którzy się narodzą?

²⁴⁵circenses (łac.) — igrzyska, walki gladiatorów. [przypis edytorski]

A jednak może być inaczej, fabrykancie glicerynowych mydeł — i nie potrzebowalbym, bezradny i zdzienniały — opowiadać malcom bajek o „kocie w butach”...

— Panie Janie — woła przez drzwi Nowak.

— Co? — pytam mimo woli.

— Aa, to pan jest? Może byśmy tak zegrali w warcaby?

— Na piwo? — pytam.

— A niech będzie i na piwo.

Otwieram drzwi: oczy mu się śmieją z radości. Pewny, że wygra.

Wdowa z Woli wyjechała z małą gdzieś pod Łomżę. Wikta zapytała mnie, czy ja naprawdę kochałem się w tej wdowie — i patrzyła mi przenikliwie w oczy.

*

Taka sobie jedna z wielu smutna historia i taki sobie jeden z wielu pan z dyplomem...

Ojciec w fabryce, a kobieta w domu. Starsza córka garbata, chora wiecznie, kaszłąca; jeden chłopiec w terminie u tapicera, drugi w okładzie materiałów piśmiennych i jeszcze dwoje drobiazgu. — Ojciec zarabiał 18 rubli na miesiąc, Broniek — 7 rubli — i żyli.

Ale przyszło nieszczęście: ojciec stracił miejsce, a Broniek zachorował i pół roku przeleżał w szpitalu.

Dziwna choroba Bronka: doktorzy mówią, że wada w sercu — i pytają, czy Broniek nie miał łamania w kościach, i czy mu w stawach nie puchło. — Ano, miał łamanie i kolano mu puchło. Czy nie mieszkali w wilgotnym mieszkaniu? — Ano, mieszkali. Mieszkali w łazienkach Kurtza na Mariensztacie; dawniej były łazienki, a teraz są wilgotne mieszkania. — I co to wszystko może mieć z sercem wspólnego?

Dłaczego Broniek kaszle i boli go z prawej strony brzucha? Jeżeli kaszle, to musi jest coś w piersiach, a nie w sercu — chyba suchoty. Albo może to jeszcze i nie suchoty, i można chłopaka odratować, tylko nie dbają i źle go leczą panowie doktorzy?

A matka właśnie jego — Bronka — najbardziej kochała. Od samego urodzenia nic od tego chłopaka złego nie zaznała. — I Broniek zawsze mówił, że jak będzie subiektem, tylko sam już na wszystko zarobi.

Inny chłopak to pójdzie gdzie, ma kolegów, zabawi się, pobryka — a Broniek nie miał nikogo: jak wrócił ze sklepu, tak zaraz za książkę. — A w niedzielę przed obiadem do szkoły, a potem już aż do nocy. — Te panie z czytelnicy to już go znały. — Czasem się tylko z ojcem trochę przeszedł nad Wisłę, a na wizyty wcale nie chciał chodzić. — Chodź, Broniek. — Ja w domu — mówi — zostanę, to domu od złodzieja popilnuję. — Bo to u nas zdradnie tak mieszkanie samo zostawić.

I z czego przyszło jemu to nieszczęście?

Odebrali go ze szpitala. Matka sprzedała chustkę i pojechała z Bronkiem do owczarza do Miłosny. Owczarz kazał mu pić piwo ze szmalcem i dał smarowanie. — Powiedział, że to nie suchoty, tylko krew zastęła w żyłach.

Potem znów powiedzieli, że u Dzieciątka Jezus jest jeden sławny doktor. Ale ten tylko raz go posłuchał, powiedział coś po łacinie, i już go inni leczyli — sami młodzi, co jeszcze praktykują tylko na chorych.

Raz było już zupełnie dobrze, jak doktor z hrabiowskiego przytułku dał mocne lekarstwo.

Chłopak dychał łżej, mało kaszłał, nogi mu całkiem zelzały i apetyt wrócił. — Wstała matka w nocy co godzina i patrzyła na Bronka; a kiedy widziała, że chłopcu ciężar zelzał w piersi, że dycha lekko i że mu już tak nie gra — to się łzami zalewała i błogosławiła doktora.

I czy się zaziębił, jak szedł na dwór za potrzebą — dosyć, że od tych pór ciągle gorzej i gorzej.

Teraz znowu ojciec został bez miejsca, dobrze że choć ona talerze zmywa w garkucheni...

Prosiła mnie przez Kossowskiego, bym razem poszedł do doktora; może się coś więcej

Lekarz

rozpytam czy jak, może jak doktor zobaczy, to więcej uwagę zwróci.

Poszliśmy: Broniek, matka, ja — i ojciec, żeby chłopaka podprowadzić pod górę.

Tak zwany ambulans bezpłatny.

— No! Kto tu z was chory?

Pan doktor się śpieszy.

— Ten chłopak, proszę pana doktora — mówię pokornie.

— No, a wy wszyscy coo?

— My tylko z nim przyszli, proszę pana doktora — mówię jeszcze pokorniej, a z duszy wysuwają mi się pazury.

— Szkoda, was tak mało; trzeba było jeszcze z dziesięć osób sprowadzić — żeby od razu cały pokój zasmrodzić.

Dusza mi się sprężyła jak do skoku.

— Rozbieraj się... Co mu jest, prędzej gadać!

— Hola, panie doktorze — zawołałem, posuwając się naprzód — hola, panie z dyplomem!

— Co? — urwał krótko.

Twarz jego przybrała obrzydliwie tępy wyraz.

— Nic — odparłem spokojnie.

Mówiłem cicho, prawie szeptem, ale bardzo wyraźnie.

— Co mu jest? — pan pyta. — *Vitium cordis, insufficientia mitralis*²⁴⁶, proszę pana. — W anamnezie²⁴⁷ reumatyzm. — Terapia: *digitalis*²⁴⁸ jeden na 150 — co trzy godziny łyżka; *sparteni*²⁴⁹ dwa *deci* na dziesięć — kroplami. — Prawda, panie z dyplomem? — Z „*res sacra* — *aegetus*”²⁵⁰ — egzaminów ani skrótów nie ma — prawda, panie doktorze?

— O co panu idzie? — zapytał wreszcie głupkowato, ze źle zrobionym niby-ironicznym uśmiechem.

— O co mi idzie? Ho, ho. — Tęgo w dwóch słowach nie powiem.

I mówiłem cicho, prawie szeptem — i bardzo szybko:

— Zna pan szpital, prawda? I wie pan, że w czwartki i w niedziele rodzina odwiedza chorych? — Ale nie wie pan, że na tę niedzielę umawia się wuj chorego z ulicy Burakowskiej, kupuje po drodze papierosy na prezent. — A żona kupuje funt cielęciny — i cielęcina akurat świetnie się udaje — taka krucha jak nigdy. — Biorą Zosię, bo ojciec ją najbardziej kocha, a wszystkich bachorów brać nie można, bo służba krzyczy, że sale zapaskudzą, a szwajcar nie wpuści bez łapówki. — I choremu przynoszą nowiny z miasta: Michałową wyrzucają z mieszkania, Antoniego mają już wypuścić za tydzień, Franka się zaręczyła, Stach siedzi bez miejsca. — A chory opowiada o doktorach; jeden doktor jest bardzo ludzki: wypyta, wysłucha, uspokoi; a drugi to jak zwier: nic nie da sobie powiedzieć, zaraz się zapieni. — Jeden doktor poklepał go i powiedział: „no, no, to z pana zuch”, a drugi pokiwał głową, a trzeci się uśmiechnął. — A w nocy umarł ten stary, co to cały tydzień jęczał i spać nie dawał.

— I cóż z tego — wzruszył ramionami.

— To z tego, że ja żądam, by lekarz, który decyduje się w naszych warunkach praktykować, był bardzo pokorny, kiedy widzi bezpłatnego pacjenta, bo ten bezpłatny chory w osiemdziesięciu wypadkach na sto jest ofiarą kamienicznika, fabrykanta, kapitalisty. Pan powinien się cieszyć, że masz czterech słuchaczy: wytłumacz, jaki istnieje związek między wilgotną izbą a wadą serca, między wadą serca a kaszlem — zrób, żeby ci uwierzyli, żeby nie obstawiali chłopca bańkami i nie poili piwem ze szmalcem. I powiedz, że nadejdzie wreszcie czas, kiedy kamienicznik za wilgotną suterynę lub fabrykant za duszny warsztat sążeni będą jak nożowcy godzący na życie cudze — sprawiedliwie, jak na to zasługują. — Zrób, abyś ty, pan z dyplomem, miał u nich większy posłuch niż owczarz z Miłosny lub chłopiec od golarza. — A wreszcie...

²⁴⁶*Vitium cordis, insufficientia mitralis* (łac.) — wada serca, niedomykalność zastawki mitralnej. [przypis edytorski]

²⁴⁷*anamneza* — wywiad lekarski. [przypis edytorski]

²⁴⁸*digitalis* (łac.) — naparstnica lekarska. [przypis edytorski]

²⁴⁹*sparteni*, właśc. *sparteini* (łac.) — sparteina, substancja roślinna stosowana przy chorobach serca. [przypis edytorski]

²⁵⁰*res sacra aegetus* (łac.) — chory rzeczą świętą. [przypis edytorski]

Machnąłem ręką.

— Bardzo pięknie — odparł pan z dyplomem, jak mi się zdało zjadliwie. — Mógłbym panu jeszcze piękniej odpowiedzieć, ale nie mam czasu na gawędy.

Przyłożył stetoskop, posłuchał.

— Dlaczego zabrano go ze szpitala?

— Bo nie chcemy, żeby go krajali po śmierci — odpowiedziała matka Bronka.

— Niech leży w łóżku.

Podał receptę. Pragnął jak najszybciej nas się pozbyć. Wreszcie ciekawość przemogła. Wykonał niezdecydowany ruch imitujący chęć podania mi ręki i spytał:

— Czym się pan zajmuje?

— Ja?... Gówna wożę, panie doktorze — i cofnąłem w tył ręce.

Wyszliśmy.

— Co też pan Jan zrobił najlepszego? — biadała kobieta.

— Owszem, dobrze mu pan Jan powiedział — zauważył ojciec.

— Ale ja nie dam Bronkowi tego lekarstwa, bo może on przez złość coś złego napisał.

Bronek się blado uśmiechał.

Taką poczułem chęć ciśnięcia kamieniem w kota, a potem pochwycenia go za zadnie łapy i bicia łbem o cegły, o cegły, o cegły.

NIE-„MILUSIŃSCY”

„Milusińscy” — to niemrawe, zdezelowane potworki z salonów; tu ich nie ma.

1 stycznia

Władek jest tak zwanym uczniem księgarskim — z pensją sześciu rubli na miesiąc.

Skończył jedną klasę szkoły miejskiej.

Najtrudniejsza była dla niego arytmetyka.

Jeśli w pamięci dzielił czterdzieści przez dwa, wypadło mu dobrze: dwadzieścia; a jak dzielił na papierze: — dwa. I rób tu, co chcesz.

To samo było z mnożeniem: bo myślał, że zero pomnożone na przykład przez sześć — będzie sześć.

— Nie mogłeś się zapytać którego z kolegów?

— A bo oni powiedzą? Jak który wiedział, to chciał, żeby mu fundować. I jeszcze naumyślnie tak zakręcił, żeby nie zrozumieć...

Idzie dziś „panu” wieszować nowego roku.

Wstał o szóstej rano; pół godziny czyścił buty, umył się do pasa, uczesał przed lustrem i włożył kalosze.

Wrócił zadowolony: pan posadził ich na krzesła, dał po kieliszku wina. Jedli daktyle; ale nie takie, jak w sklepiku, tylko — jak u kupca: każdy osobno.

Dużo opowiadał o panu, o jego mieszkaniu; każdy sprzęt, każdy wyraz, gest — bardzo pamiętał...

Wikta z dziewczętami była wieszować pani w magazynie.

Pani pewnie już zaręczona z tym facetem, który do niej ciągle przychodzi; bo i on był — oboje weseli; żartowali, śmieli się, częstowali panny.

Władek urządza teatr amatorski.

Grali już raz *Bandę zbójcką*. Były afisze, bilety po sześć groszy — i córka rewirowego bezpłatnie. Cała kuchnia pełna była publiczności. Trudności miał co niemiara, bo z takimi szczeniakami trudno co zrobić. Ale to nic; teraz wystawi *Ogniem i mieczem*.

Kapitał zakładowy trupy Władka wynosi czterdzieści dwa grosze. Kupił już dwa pudełka bengalskich zapalek dla oświetlenia bitwy w czwartym akcie.

Wujek Władka pracuje w fabryce żelaznej i obiecał przynieść blachę na hełmy i szable; ojciec ma poprosić pana o złoty papier na czapki i ordery. Matka szwaczka musi dostarczyć atłasu albo pluszu na płaszcz króla. Potrzebna jest jeszcze tapeta z drzewami; szukał po wszystkich sklepach, ale nie ma. Jest podobno na Miodowej wielki skład i tam pewnie będzie tapeta z drzewami.

— Na stole Jana Kazimierza ma stać biust Mickiewicza, a na ścianie wisieć będzie portret Kościuszki.

Kiedy Skrzetuski w końcu pierwszego aktu skoczy do jeziora, za sceną uderzą tarką blaszaną o balię wody.

Od ósmej do ósmej w sklepie — ten dwunastoletni chłopczyna ma czas jeszcze, by przygotowywać się do egzaminu do niedzielnej szkoły handlowej, uczyć dwie dziewczyny po pół rubla na miesiąc — i przedsięwziąć wystawienie Sienkiewiczowskiej trylogii.

*

OGNIEM I MIECZEM

AKT I

Obóz Polaków. Na prawo rzeka. Noc. Księżyc blado świeci. — Zagłoba. Skrzetuski. Wołodyjowski.

ZAGŁOBA

Więc, panie Janie, postanowiłeś i nie odstąpisz od zamiaru?

SKRZETUSKI

Tak, panie Onufry, muszę przedrzeć się do króla.

WOŁODYJOWSKI

Ach, panie Janie, nie chodź pan, bo zginiesz jak Longin i znowu nowego towarzysza stracimy.

SKRZETUSKI

Muszę, bo z głodu pomrzemy; jadła już nie starczy.

WOŁODYJOWSKI

A więc idź, ale daj buziaka. Idź, niech cię Bóg prowadzi.

SKRZETUSKI

Więc idę.

AKT III

Jan Kazimierz. Radziejowski. Lubomirski.

KRÓL

siedzi

Która godzina?

RADZ.

Wpół do dwunastej, mości królu.

Słychać krzyk za drzwiami.

DWORZANIN

Mości królu, jakiś nędzarz domaga się o posłuchanie.

KRÓL

Wpuścić go. *Wchodzi Skrzetuski obdarty, pokrwawiony.* Skąd jesteś — umarły czy żywy?

SKRZ.

Ze Zba... ra... ła. Pomocy, mości kró... lu.

KRÓL

Podajcie mu wina. Jaka siła wojsk nieprzyjacielskich?

SKRZ.

Orda i Chmielnicki.

LUBOMIRSKI

Ale czyż może być, by taka garstka dała radę?

SKRZ.

Trzydzieści bitew wygranych, szesnaście wycieczek, dwie wieże bombardujące zburzyliśmy.

KRÓL

No dosyć. Do drogi gotować się.

RADZ.

Jutro jeszcze mamy czas.

KRÓL:

Żadnych przedstawień — i jazda!...

AKT IV

Bitwa i zwycięstwo Polaków.

*

Czternastoletni Jasiek, w terminie u rymarza²⁵¹, pracuje w sezonie osiemnaście godzin na dobę.

Majster Jaśka, nie cechowy, więc Jasiek nie może chodzić do niedzielnej szkoły rzemieślniczej. Martwi się, że nie będzie się mógł wyzwolić.

Wybiegł czarny, zamorusany, w fartuchu na podwórze i powiedział krótko:

— Panie, niech pan mnie uczy.

Majster mani, że się wkupi, ale jego nie wezmą, bo mają złość, że tylko samymi chłopakami orze — żeby czeladnikom nie płacić. — Znowu na złość każą mu na sztukę siodło zrobić, a on przecie rymarz, a nie siodlarz.

Siedmiu chłopców mieszka przy majstrze, a ósmy przychodni; takiemu to dobrze.

Jasiek żyje „na suchym”: rano ćwiartka chleba z herbatą w sklepiku; obiad — chleb i pół ćwiartki golonki; wieczorem czasem-czasem gorąca kolacja: pieczeń z kapustą i kartoflami za szesnaście groszy. — Ale tylko wtedy, kiedy nie ma sprawunku: buty, zelówki, raty za ubranie, albo kiedy robią po fajrancie i majster dorzuca piątkę za każdą nocną godzinę.

W sklepiku nie dają Jaśkowi prawdziwej herbaty, tylko „kwiat”: kolor z buraków, a słodycz z sacharyny — w sklepiku oszukują Jaśka.

Kupił na Świętokrzyskiej ubranie za cztery ruble, raz tylko włożył w niedzielę i rozlazło się na nic. Jaśka oszukali na czterdzieści gorących kolacji, a chłopaki się z niego śmieli.

Pisaliśmy list do stryja Jaśka do Ameryki.

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Kochany Wuju. Jestem w terminie u rymarza, pana..., na ulicy... Pracuję od 7 rano do 8 wieczorem. Zarabiam...”

— E, ja nic nie zarabiam — mówi.

— Tylko jak?

— W terminie to się liczy na życie.

I piszemy:

„Dostaję na życie złotówkę dziennie. Ale zima tęga, więc musiałem pożyczyć od Józefa”.

— Lepiej nie pisać, że od brata, tylko — od majstra.

„I pożyczyłem od majstra pięć rubli, bo ojciec przysłać nie może, bo umarł latoć Karolek i pogrzeb ojca obiedził²⁵², i matka chorowała, więc musiał przynająć parobka...”

— I jeszcze, proszę pana, kartofle zgniły...

*

Tu dzieci — nie milusińscy.

Cenią ich pracę, poszukują.

Majstrowie chętnie chłopakami orzą i duże magazyny, i duże fabryki orzą dziećmi.

Czeladnik chce zaraz rubla, dorosły chce być syty; a chłopak otrzymuje kąs, obiad i piątkę — usłucha się i boi.

A przy tym zwinniejszy, chętniejszy...

*

Tu dzieci — nie milusińscy.

Ci niepozorni chłopcy w wykrzywionych butach, wyświeconych, postrzępionych portkach, z czapką niedbale zarzuconą na przyszczyżone włosy — zwinni, drobni, niekarni, ruchliwi, niedostrzegalni niemal — są potężną, nieuznaną, nieobliczalną siłą.

²⁵¹rymarz — rzemieślnik wytwarzający uprząż i akcesoria jeździeckie. [przypis edytorski]

²⁵²obiedził — zrujnował. [przypis edytorski]

Oni najszybciej wchłaniają krążące w sokach organizmu społecznego pierwiastki; aspirują szybko każdy powiew chwili, niosą do izb dusznych. — Ta bełtanina grząska wielkiego miasta, z jej ideałami, mętami, zdenerwowaniem, szukaniem nowych form bytu, przesytem, usypianiem świadomości dnia dzisiejszego — przepływa przez nich.

Nie przepaleni spiekotą życia, nie wyszani przez wyzysk, silni nie wiedzieć skąd poczerpniętą siłą — czynni, cisi, rozpierzchnięci, liczni — biedni mali pracownicy jutra.

*

— Teraz wszędzie żądają nauki; bez nauki do sklepu nie przyjmą i do terminu niechętnie biorą — powiada ojciec, i jeśli piśmienny, bierze się rychło do nauczania syna na gazecie, książce do nabożeństwa, kupionym od sąsiada podartym elementarzu — i bije tak długo, aż chłopiec się włoży. — Jeśli zaś sam czytać nie umie, będzie się kręcił, myślał, zabiegał, aż ktoś dzieciakowi litery pokaże.

I płynie tak zwany postęp.

*

Spotykam tu dziesięcioletnich nałogowych palaczy; spotkałem dwunastoletniego pijaka-ateusza, który miał kochankę. — Kurier pisał niedawno, że jedenastoletni chłopiec w obronie katowanej matki zadał ojcu nożem kilka ran. Nazwisko jego: Zieliński, adres: Sprzeczna Nr 4 na Pradze.

*

Pięcioletni Szczepan załatwia sprawunki w sklepiku, niesie w zmarzniętych rączynach wielki bochen chleba, a pod pachą dwie wiązki drzewa. — I zbili go, gdy zgubił złotówkę, a bili mocno.

*

Sześcioletnie dzieci niosą ojcom obiad do fabryki, biegną prędko, żeby nie skrzępl zupełnie przez drogę — przez kilka ulic. I nikt się nie boi, by ich wóz nie przejechał.

*

Mała Stefka pomaga matce przy robieniu kwiatów od świtu do zmierzchu, opiekuje się młodszym rodzeństwem.

*

Dziewięcioletni Antoś w fabryce obsadek pracuje dziesięć godzin na dobę — z sześćzłotową tygodniową płacą.

*

Pan Andrzej za Jerozolimską rogatką ma troje dzieci: dziewczyny — lat trzy i pięć, i chłopiec — lat siedm. — Dzieci wspólną pracą wyżywiają konia. — Bo kiedy chłopci przystaną z wozami siana, trzyletnia z workiem siada z dala na placu, chłopiec wyrывa z fury pęki siana i oddaje starszej siostrze, która je niesie na plac do worka.

Chłopak często batem dostanie, ale zwinny.

*

W czytelnicy dzieci biorą książki dla siebie i rodziców.

Ojciec szewc na zydlu przy pracy, a dziecko mu czyta głośno *Anielkę* Prusa lub *Kordeckiego*²⁵³. Ojciec czytać nie umie.

*

Kiedy Wroński mieszkał na Szmulowiznie i robił słomianki, posyłał malca na cały dzień do Warszawy z towarem. — Późno wieczorem wracał chłopiec, a biegł, co sił starczyło przez Pragę, aby go po drodze nie ograbili z pozostałych słomianek i pieniędzy.

*

Mówił pan Kossowski:

— Jakbym opowiedział panu Janowi, co dziecko zostawione sobie robi od lat dziecieniu, toby pan śmiał się i płakał razem ze mną. Ja nawet chciałem to wszystko spisać, ale nie potrafię.

Spał w piwnicy, gdzie zimą śnieg ze ścian było można zdrapywać, a buty, jak zdjął je czasem, tak zaszyły lodem, że nogi raniły.

— Młodemu się zdaje, że ma sto korcy²⁵⁴ zdrowia, a potem brak, oj, brak. — Takiemu szkrabowi nigdy nie zimno, nigdy nie głodny i żaden ciężar mu nie za duży — w tym jego duma.

*

Chłopak Maja ma chęć do rysowania.

Nakłopotał się Maj, napocił, aż otrzymał list od malarza, i malarz obiecał uczyć darmo chłopca.

Poszedł Kazik do malarza na Krakowskie Przedmieście i wrócił bardzo szczęśliwy. Był jeszcze kilka razy i wciąż wracał bardzo szczęśliwy. Dostał nawet bilet bezpłatny na wystawę Krywulta²⁵⁵. Ale potem dwa razy z rzędu nie zastał malarza, ale dano mu kilka listów, żeby odniósł. To znów podłoga była świeżo umyta, więc go nie wpuszczili. Słukał się i powiedział, że więcej nie pójdzie, chociaż ojciec paskiem groził.

Oddał go ojciec do litografii²⁵⁶, gdzie piękne rysunki robią. Był tam Kazik dwa miesiące, ale chcieli go obrócić na techniczne rysunki, a on nie chce być innym, tylko artystycznym: wyrysował głowę Chrystusa i polskiego huzara na koniu. Znow ojciec pasem groził.

Wybrał się ojciec do pana Strzałeckiego, malarza pokojowego. Aż zdumiał się, jakie tam bogactwa, aż oczy bolały patrzeć. Ale pan Strzałeczki uczniów już nie przyjmuje.

— Ja sam — mówi — nie mam czasu, a subiekt naumyślnie nie pokaże, jak w chłopcu talent zobaczy. Czekajcie, mówi, aż się szkoła otworzy.

Kazik znów się zbeczał, wyrysował całą scenę z głowy i powiedział, że mogą go zabić, a on do innego fachu nie pójdzie.

*

Wikcia trzy noce nie wraca do domu z magazynu, bo karnawał.

— Dziewczysko mi się stera²⁵⁷ — mówi Wilczkowa.

— Ma być zdrowa, to będzie zdrowa. Nic jej nie będzie — twierdzi Wilczek.

*

²⁵³*Kordecki* — powieść historyczna Józefa Ignacego Kraszewskiego (1812–1887). [przypis edytorski]

²⁵⁴*korzec* — dawna miara objętości ciał sypkich. [przypis edytorski]

²⁵⁵*Krywult*, *Aleksander* (1845–1903) — polski mecenas sztuki, organizował wystawy i był właścicielem galerii, w tym Salonu Sztuk Pięknych. [przypis edytorski]

²⁵⁶*litografia* — powielanie rysunku wyrytego na płycie kamiennej. [przypis edytorski]

²⁵⁷*sterać* — zamęczyć. [przypis edytorski]

Tu mówią:

— Jak bachora nie przywalić robotą od maleńkości, to się tylko złego na ulicy nauczy.
I mają słuszość.

*

Ci mali i do teatru się wkręcą, i przy samej pannie młodej stoją na hrabskim ślubie, i wiedzą, co gra orkiestra wojskowa na ślizgawce w Ogrodzie Saskim i kiedy, i z kim wojna będzie.

*

A mnie wstyd tej pracy dzieci — wstyd — wstyd!

Przypisek późniejszy.

Wpadła mi w ręce książka p. Osmały pod nagłówkiem: *Wykształcenie terminatorów rzemieślniczych w Warszawie*.

Oto kilka cyfr z tabeli:

Uczęszcza do szkół Niedzielno-Rzemieślniczych terminatorów:

szewckich 544 — nie uczęszcza 3916
krawieckich 192 — „ „ 728
rzeźniczych 20 — „ „ 690
murarskich 3 — „ „ 487
cukierniczych 0 — „ „ 255
piekarskich 0 — „ „ 251
kucharskich 0 — „ „ 229
itd., itd.

ONO...

Mieszkają tu — o piętro niżej.

On jest dorożkarzem, a ona „wielką damą”: po niemiecku mówi i od dziecka w kapeluszu chodziła.

Mańka chodzi do magazynu. Mańka powiedziała rodzicom, że całą noc w magazynie szyla, bo suknię wykończyła. A tymczasem ojciec się dowiedział, że łgała. Bo Wikcia spotkała koleżankę z tej samej pracowni i wie, że sukni żadnej nie było i nocnej roboty nie było. A Grosik wygadał się przed ojcem Mańki.

— Gdzie byłaś, noo?... Gdzieś ty całą noc była?... Powiedz mi, gdzie ty byłaś?... — pyta ojciec groźnie.

Dziewczyna siedzi na kufierku w czerwonej halce, nogę na nogę założyła, twarz ukryła w dłoniach i niby płacze.

— Ja się ciebie pytam, gdzie byłaś — coo?... Ja się ciebie pytam, gdzieś ty, fładro, nocowała?... Już ty się nie bój: ja z ciebie wyznanie wytrzęsę.

Stoi nad dziewczyną groźny, ogromny, czerwony z gniewu, w czapce dorożkarskiej, z numerem na głowie.

— Już ja tylko na ciebie kija poszukam, bo pasa dla ciebie za szkoda.

Chłopcy siedzą, jeden na łóżku przy stole, a drugi obok mnie na krześle. I jeszcze jeden chłopak od sąsiadów. — Bośmy lekcję mieli akurat.

Matka koło lampki blaszanej, pochylona nad robotą, przyszywa łątę do spodni.

— A ja ci to mówię i powiadam, że już sobie teraz domu paskudzić nie pozwolę. To darmo. Nie pozwolę sobie domu paskudzić, ty latajcu, ty. — Dostyc tego dobrego. — Won z domu i już. Won mi z domu na ulicę — na róg — wont!

Pochwyił ją za ramię.

— Niech ojciec puści — krzyknęła z bólu.

— Ja ciebie puszczę; nago i boso puszczę, koszulę zedrę — ty lafiryndo, ty! — Ja ci będę żółte buciki za czternaście złotych kupował, żebyś się kawalerom podobała? Oni i tak ciebie wezmą. — Naukę ci będę dawał? Do łajdactwa szycie ci niepotrzebne. — Ona w nocy pracuje, córeczka — a pracuje, pracuje. — Won do chłopca — niech ciebie teraz nocuje — jednej gęby od miski ubędzie. — Ale on ma już dosyć: przegoni...

— Ja u koleżanki nocowałam — mówi Mańka.

— A ta koleżanka brodę miała czy tylko wąsy?... A jak tu do ciebie przyjdzie jaka koleżanka kiedy, to ja ją tak...

I uderzył Mańkę pięścią w pochylony grzbiet, ale nieśmiało — nie z całej siły.

Zerwała się matka ze stolka — czerwona — drapieżna.

— Nie rusz jej — rozumiesz?

Wyprostował się. Zwrócił się całą postacią ku żonie. Nogi szeroko rozstawił.

— Aha! — to to taaak?

— Ano tak... Uuuch, ty zbój!

— Aha! — to tak? To ja zbój. Ano dobrze: to ja zbój.

— Mańka, wyjdź.

— Nie, moja pani. Niech ona sobie posiedzi, a ja z mamą zrobię swój rachunek. Ba, ja zbój, a mama bardzo godna osoba i wielka dama.

— A większa od ciebie.

— Pewnie że większa. Ooo, tak — większa.

— A większa od ciebie.

— No tak — bo ja zbój... Bo żona ukradła, a mąż nie chciał, żeby mu się na złodziejskim chlebie popsula, więc poszedł na karę. A ona sobie od trzynastego lata chłopakami handlowała.

— A ty może myślisz, że jakbym była co dobrego, tobym za znajdę wyszła?

— A ja ci już mówiłem, że jak ja znajda, to ja może hrabski syn.

— A tak: hrabia ci plackiem siedzi na chamskim pysku, a matka haczykiem ryje po śmietnikach.

— Ty mojej matki nie tykaj.

— A ty znasz swoją matkę, że się tak o nią wystawiasz?

— Znam czy nie znam — to moje dzieło — a tym mi tym w oczy nie parz. A takie ojcowite²⁵⁸, jak ty, to ja na każdym rogu za złotówkę dostanę. — Ja, głupi, siedzę, a ona sobie z łapaczem²⁵⁹ karnawał odprawia.

— To już milcz!

— A nie: ja na ulicę wyjdę i będę krzyczał.

— Sam sobie wstyd zrobisz, ty chamska duszo.

— Ano to zrobię sobie wstyd... Ja wszystko zrobię. Teraz to już wszystko zrobię... Ja się będę użerał, mało sobie rąk nie urobię: a to jadę za wolno, a to za prędko jadę, a to płacę karę, a to siedzę w areszcie, a to córusi żółte trzewiki kup — a po co? — I jeszcze się dziwię, że błogosławieństwa na moją pracę nie ma. A to ręce mogą mi uschnąć od pracy — i nic z tego nie będzie. A jak ma Pan Bóg błogosławić? Jak tu same tylko świństwa się odprawiają! — Ja już teraz nie wierzę, że mi ten materacyk ukradli — ja nic nie wierzę. On, Szwab, drań, umyślnie tak wyspekulował. Żyd w sądzie uczciwie *świarczył*²⁶⁰. — I o ten groch, to aż się za głowę złapał. „Nyy, powiada, to jak to jest lokator, to on nie ma nad nim właści²⁶¹ o takie głupstwo”. — Ale wy z kumem rajcowali na swoje. — „Żyd — parch, mówicie, ty się będziesz Żyda słuchał?” Ja wtedy rewirowemu na podwórzu powiedziałem: wszyscy słyszeli. A on tylko głową pokiwał; a jak mi powiestkę przyniósł, to ja mu znowu powiedziałem: „panie naczelniku, niech pan tylko powie, czy to tak idzie”. A on tylko mówi: „ja waszych dzieł tu nie znam, no to bardzo, mówi, stranno²⁶² wszystko”. Ale teraz to ja już wiem. A chłopiec bez całej tygodnia ze słomiankami nie chodził. Tyś taka? — Dobrze, to i ja z tobą inaczej potańczę. Ty mojej pracy nie szanujesz, to i ja swojej nie poszanuję. Wszystko sprzedam i wszystko przepię.

²⁵⁸ojcowite — o dziecku: mające rodziców, będące spadkobiercą swoich rodziców. [przypis edytorski]

²⁵⁹łapacz (gw.) — policjant. [przypis edytorski]

²⁶⁰świarczył (gw. warsz.) — świadczył. [przypis edytorski]

²⁶¹właść — władza. [przypis edytorski]

²⁶²stranno (ros.) — dziwnie. [przypis edytorski]

A kobieta przez ten czas do kolacji szykowała.
— Wyszczekałeś się już? To na — żryj.
— Nie, ja muszę porządek w domu zrobić.
— Na, żryj!
— Nie, ja twojego jedzenia nie ruszę.
Zaczął wciągać kapotę.
— Nie dam ci iść.
— To ja ciebie chyba poproszę, jak nie dasz.
Zerwała z niego palto.
— Ja i z gołą głową potrafię.
— Niech pan zostanie, panie Franciszku — powiedziałem łagodnie.
— Nie, panie Janie: ja siebie znam. Ja nie jestem taki jak inni. Ja może znajda, ja może chamski syn, a moja żona i moja córka — hrabina; ale ja swoje wiem. — Ja nie będę rozbijał jak inni. — Patrz pan, panie Janie: moja ręka urobiona od pracy. Jak ja bym ją podniósł na taką gnidę, toby z niej wiórków nie pozbierał. — Już ja wolę sobie trochę wyjść na powietrze.
— A na powietrze: do szynku, ty szpitalny synu — żeby szczeakać na mnie po pijanemu. — Oddawaj pieniądze.
— Pieniądze ci oddać! Ano masz, ja mam u ludzi wiarę, chociaż jestem szpitalny syn, a ty dama — ja bez pieniędzy pójdę — i ludzie za mnie założą.
— A ja ci mówię, że nie pójdziesz.
— Eee, pójdę.
— Mało na mnie naszczekałeś, teraz chcesz dziewczynę oszczekać. — Nie pójdziesz.
— Eee, chyba pójdę.
Wziął ją lekko za ramię — krzyknęła z bólu, odsunął ją z drogi — potoczyła się i głowę o kant łóżka wycięła.
Chłopiec skoczył do ojca:
— Co ojciec od mamy chce, coo?
Wziął go łagodnie pod brodę:
— Ty także za matką? Ano dobrze, dobrze.
I wyszedł.
Kobieta zerwała się z ziemi, podbiegła do córki i wycięła ją trzy razy z całej siły w twarz.
— Dziś już lekcji nie będziemy mieli, chłopcy — powiedziałem.
I wyszedłem za panem Franciszkiem.

*

Ani mi wesoło, ani smutno — jeno bardzo poważnie.
Kielkuje w mej duszy coś nowego, co mnie z niewiadomym mocno splata, co dopiero żyć poczyna, a będzie silne; dopiero lekko drgnęło, a przeniknie, ogarnie, wchłonie i wolę mi pozostawi.
Czy to blask, czy dźwięk, czy woń, czy barwa? Nie wiem, czy bierze mnie ono w opiekę, czy ode mnie wymaga pomocy i opieki, by rosnąć i krzepnąć. I pełen jestem niepokojem.
Jeśli to iskra mała, która się żarzy, należy ją podsycać, by nie zgasła, a łagodnie, aby nie zagłuszyć. — Jeśli płomyk niepewny się kolebie, muszę baczyć, by nie umarł. — Jeśli jest to biały płatek śnieżny, chłód mu potrzebny, by nie stopniał; jeśli roślinka wątła, światła i ciepła dać należy; jeśli dźwięk dzwonka srebrzystego, przestrzeń mu potrzebna, by nie zamilkł, granice owej przestrzeni, by nie uleciał, aby nie powrócić więcej.
Pragnąłbym wiedzieć, czym jest, co się w duszy mojej poczęło — i boję się, by wiedząc, nie spłoszyć, i obawiam, by nie rozplynęło się, nim ujrzę.
Rośnij, maleństwo, choć mi nie przyniesiesz szczęścia; aleś mi tak bliskie i drogie i wiele przecierpiałem, zanim szepnęłoś, że jesteś. — Jam ciebie szukał, a ty czemu tak późno, tajemniczo maleńka, ukochana, poranna? — Życie bez ciebie było mi jednym akordem, wiecznie jednym i nudnym; a drzewa mi były szare, myśli, ludzie, kwiaty, życie — wszystko szare.
Ty mi szczęścia nie dasz, ale cię kocham i tęsknię.

Powiedz mi, proszę, czym jesteś? — Albo nie: nic nie mów i rośnij duże i silne, moje ty wdzięczne... A ja nazywać cię będę w duszy: „ono” — i „moje”...

BAL

Chrzest i bal składkowy: rubla od osoby.

Ojciec, pan Tomasz, niecierpliwie oczekiwany, przyjechał dorożką dopiero o siódmej godzinie. Zapraszając gości, wstąpił na kieliszek z tym i owym. Wesół wrócił. — Miał kram: w cyrkule brakło jakiegoś papieru, więc nie chcieli wydać pozwolenstwa na chrzest. — Antoniowie nie przyjdą, bo dzieciaki im chore. Adam będzie, ale sam, bo mieszkania nie chce zostawić.

Są chrzestni, są świadkowie. Niemowlę w czystej poduszce i białym czepku. — Dwie dorożki. — Jedziemy.

Chcieli nazwać dzieciaka Manią, ale babka się uparła: „jak ma maniść, to niech lepiej już kradnie”. Uparta baba, a liczyć się z nią trzeba: ma sklep i ze trzysta rubli gotówki — bogata stara.

— Anna, to Anna. Byle prędzej, bo się zapóźnimy.

Dzieci z całego domu zalegają się i schody — skranie czyste — przeprowadzają nas do bramy i jeszcze za dorożką biegną i gwizdzą przeraźliwe.

— Prędzej, bo zapóźnimy...

Kancelaria kościelna. — Ponura izba: kraty, księgi — jak w cyrkule. — Już tylko jedna grupa osób z dzieckiem — i my. — Tamtych zapisują.

Imię? — Nazwisko? — Które dziecko? — Mężatka?

— Panna — brzmi cicha odpowiedź.

— Lat? — Dziewiętnaście. — Zajęcie? — Służąca.

Zapisał, kazał podpisać; kto niepiśmienny, podznaczył krzyżykiem — wreszcie wydał kartkę do kasjera.

— No?! — (Kolej na nas). — Dzieciak ma już osiem miesięcy? Dlaczego jeszcze nie chrzczony — coo?

— Tak jakoś — mówi pan Tomasz.

— Wy zawsze wszystko tak jakoś, a ja potem będę odpowiadał za to? — Nie wiecie to, praw nie znacie — pierwszy raz to dziecko podajecie?

Pan Tomasz prawa zna i nie pierwsze dziecko podaje: wsunął skromnego półrubla.

— Niech nam pan nie utrudnia — powiada.

Pisarz mruknął niechętnie pod nosem.

— Trzeba napisać, że ojciec był nieobecny. A dzieciak ślubny?

— Myślę, że ślubny.

— To się spieszcie... Do kasy z tą kartką.

Znów kartka... i już przed Oblicze Pana nad Pany.

Półcień. Cisza. Chłód. Ksiądz siedzi na uboczu i czyta. Czekamy: ich nieślubne — i nasze ślubne. — Spojrzał na zegarek, wziął gruby modlitewnik — podają mu stulę.

Wśród ciszy ponurej rozlega się znużony, senny głos modlitwy.

— Czego żądasz od kościoła?

— Wiary — odpowiada szmer.

— Wiara coć dawa?

— Żywot wieczny.

Przewraca grube karty książki, tchnie w twarz uśpionego niemowlęcia i czyni nad nim znak krzyża dwukrotny. — Pomarszczoną rękę nad nim wznosi i sól do ust jego wkłada. Maleństwo otwiera zdziwione oczy i ssać poczyną.

Zbliżamy się do ołtarza...

— Czy niemowlę wierzy?

— Tak, wierzy.

— Ja ciebie chrzczę w imię Ojca i Syna...

Dziecko płacze: będzie się chowało.

Podają świece. — Znów szepc niezrozumiały.

Dziadek wyciąga rękę po napiwek. — Wychodzimy: tamci z nieślubnym usuwają się we drzwiach z drogi; my wychodzimy pierwsi.

Antysemityzm

Matka czeka nas w domu; chrzestna oddaje dziecko:

— Wzięłam żydówkę, nic dobrego, oddaję wam chrześcijankę.

— Dziękuję.

Uściski, życzenia. — Stół zastawiony.

— Daj nam Boże.

— Najlepszego. — Chaim²⁶³. — Siulim.

Pijemy po jednym, drugim, czwartym.

— Jak Zochę chrzcili, a ksiądz się nad nią pochylił, to go mało za nos nie złapała. — A u Ruskich większa jest ceremonia przy chrzcie. — A lepiej jest przyjść późno, bo nie taki tłok; a ksiądz poustawia cały rząd i myli się w imionach.

Grosik wcześniej wrócił z miasta; Wilczek przybrał się w odświętną tabaczkową kapotę; oboje Tomaszowie, pralniczka z mężem i córką, Maj z żoną, Tarczewski z żoną i siostrą i jeszcze parę innych osób — tylko kawalerów mało. — Wikcia i Mania powinny już były wrócić z magazynu; ale pewnie robota wypadła i pani zatrzymała je po fajrancie.

Adama nie widać.

— Może byś skoczył po niego?

— Nie potrzeba: jak obiecał, to przyjdzie.

U Tomaszów kolacja, a u nas — tańce. Łóżka wyniesione do sionki; szafy, kufry, komoda — do sąsiadów. Pod ścianami oparte na stołkach deski do prasowania. — W kącie wyrostek — muzykant z harmonią.

Po przekąsce idziemy na górę. Rozpoczynają się tańce. Grosik z Tomaszową, Tomasz z bogatą babką-teściową, stary Wilczek z żoną, pan Tarczewski z pralniczką. — Warczy wesoła „Oj-ra” — zabawa leniwie się ożywia. — Młodzieży brak — bo kto ma dać rubla, to woli trzy ruble puścić z kolegami za domem — taka to dzisiaj młodzież.

Pani Tomaszowa lubi się bawić, choć ma już siedmioro dzieci; natańczyła się ona za młodu. Dla niej urządzali specjalne zabawy na Kępie; wtedy jeszcze na Kępie nie było „grandy” jak teraz. — I Grosik, pierwszy tancerz w pulku, ale z słabą głową — już zbyt głośno przytupuje po sześciu kieliszkach, a raz w raz ciągnie kogoś na dół na przepitkę.

— Znów będzie breweriewał²⁶⁴.

Dzieciaki ustawiły się w kącie między kominem a drzwiami i patrzą na zabawę — a w sionce terminatorzy pana Tomasza nie śmiały wejść do izby: i tak ciasnota, ich by jeszcze tylko brakowało.

Zaszła mała sprzeczka między kobietami: o to, że piwa mało, o to, że wszystkie na zabawie, a żadnej przy kominie. Ale nie doszło do kłótni; dopiero po balu pójdą plotki albo i co gorszego.

Izba powleka się obłokami dymu i parą gorących oddechów. — Otworzyli okno, ale wiatr ze śniegiem wpadł ze dwora i jedną lampkę zgasił, a w drugiej tak zakolysał płomieniem, że kopeć poleciał pod sufit. — Śmieje się Grosik, że pocałował w ciemności kogoś, ale kogo — nie powie. Żonę ma zazdrosną, to ją lubi przy tej okazji podrażnić.

— Chodź pan, panie Janie, na kieliszek.

— Przestań chlać, bo do kolacji zbraknie — upomina go żona.

— Jak zbraknie, to dam pięć rubli i musi się znaleźć... Choćby wszystkie monopole na świecie były zamknięte... No, chodź, Janek — niech cię choroba. — Oj, byłem ja cięty na pana, ale teraz to ani ja zazdrosny, ani nic: nie mydło, to się i nie wymydli... Bo ja to taki: jak przyjaciel, to przyjaciel: *wsio popołam*²⁶⁵... No daj pyska.

Zatoczył się, pocałował, wziął pod rękę i ciągnie na dół.

— O, są kozy. Jazda, panie Janie: ja jedną, a pan drugą.

Weszły dziewczęta: Wikcia ma buzię uśmiechniętą i śnieg topniejący we włosach. Wyrwała się i pobiegła przebrać do sąsiadów. Mańkę zagarnął Grosik i rzucił w wir tańca.

— Jak się ten Grosik upije, to nie ma z nim żadnej zabawy; ale nahałasuje się, zmęczony prędko i zaśnie.

Harmonia dusi się w spiekocie, zawodzi, jęczy.

²⁶³ *chaim-siulim!* (gw. warsz., z jid.) — zdrowie, pokój, toast za zdrowie biesiadników. [przypis edytorski]

²⁶⁴ *breweriewać* — zakłócać spokój. [przypis edytorski]

²⁶⁵ *wsio popołam* (ros.) — wszystko po połowie. [przypis edytorski]

Z szyb, ścian spływają wielkie brudne krople. Twarze giną w dymie.

Dziarski zamaszty oberek w ciasnej i dusznej izbie kurczy się, kondensuje, by z tym większą siłą kipieć w małej przestrzeni; małe kółka stają się tym zawrotniejsze. — Hu, ha! — brzmią szerokie, nieszczerze, zdławione okrzyki.

Porywa mnie ów pijany szal mięśni, aż wylękle myśli jak stado spłoszonych gołębi rozbiegają się i tłuką o czaszkę.

— Ej, starzy — bo się rozsypiecie.

Oni nie zważają — bawią się, cieszą — karnawał. Oberek zwija się i rozkurcza, drwi i pobudza — i pcha ten tłum stłoczony spoconych ciał — pcha, miesza, kotłuje.

Z sufitu spadają gęste krople na wilgotne deski nierównej podłogi. Dzieci zasiadły na kominie, podkurczyły pod siebie nogi i patrzą w mgłę.

A z dała dobiegają odgłosy gdzieś drugiej i trzeciej zabawy...

— Wikciu, my teraz...

Opiera rękę na moim ramieniu.

Grosik prze, depcze, roztrąca. Wilczek przytupuje kręcąc się jak skrzydło wiatraka wokół grubej pani Majowej. Przycisnąłem moje dziewczątko mocno. Twarz jej tuż przy mojej twarzy. Ktoś potrącił nas silnie, zaczepił o jej włosy — i spłynęły dwiema falami; szybkim ruchem pochwyciłem warkocze, zarzuciłem między nasze twarze, a żeby nie wyfrunęły, przycisnąłem ustami, i przez jedwabną ich siatkę przywarłem ustami do jej ust. I tak w najboleśniejszym pocałunku wirowałem z nią nieprzytomnie — pchany, bity, deptany.

— Grać — krzyczy Grosik. — Graj, do cholery, bo ja ci...

Powstrzymali go.

— Na kolację.

— Ja — mówi Grosik — tobym tak mógł tańczyć cały tydzień. Jak u nas w wojsku poświęcali znamię²⁶⁶, z żoną gienierała tańczyłem — i tylko mówiła: *lowko, moł, tańcujesz, molodiec*²⁶⁷!

Wikcia ma łzy w oczach.

— Przepraszam, panno Wikciu. Ja pani powiem kiedyś... bo ja muszę dużo pani powiedzieć.

Spojrzała mi w oczy jasnym, czystym wzrokiem.

— Nic nie szkodzi. Niech pan Jan zejdzie: napije się pan Jan wódki i ja coś zjem, bo stara chciała dać herbatę, ale się spieszyłam.

— I pani nic nie jadła od obiadu?

— Ja nie byłam na obiedzie, bo miałyśmy robotę pilną.

— A ten narzeczony starej nie czepia się już?

— A co mnie to może obchodzić? — Chodźmy na dół.

Głodna, cicha pracownica...

Pierwsza grupa zasiadła do stołu. Na górze tańczą.

Wchodzi Adam. — Średniego wzrostu, krępy, łysawy, z bródką w klin — ma wyraz twarzy ostry, stanowczy, prawie niemiły. — Dziwnie odbija jego blada, poważna twarz pośród czerwonych, zaognionych twarzy biesiadników.

— Dlaczego tak późno?

— Zczytałem się — odpowiada.

Usiadł obok mnie.

— Pan Jan, nieprawda?

— Ten sam.

— Czytał pan *Faraona* Prusa?

— Czytałem.

— I cóż? Ani się stary spodziewa, że napisał wielką satyrę na burżuazyjno-biurokratyczny ustrój dzisiejszych czasów. Widzi pan, co to jest talent, co to jest intuicja: on pomimo woli pcha tam, gdzie należy.

Doznałem wrażenia, jak gdyby między moim pocałunkiem a jego mową istniał jakiś związek.

²⁶⁶znamię (z ros. *znamja*) — sztandar. [przypis edytorski]

²⁶⁷lowko, moł, tańcujesz, molodiec (z ros.) — zręcznie, mówi, tańcujesz, zuchu. [przypis edytorski]

Pragnąłem, aby mówił dalej: może mi to pozwoli rozwikłać splątane nici.

— Wiem, że nie znajdę prawdy bezwzględnej, wiem, że po dniach wiary ogarnie mnie znów na czas pewien znużenie i zniechęcenie. Ale rozumiem, że w myślach i uczuciach człowieka nie ma i być nie może ani spokoju, ani jednolitości. A przecież czyny muszą mieć stały kierunek i jednakie natężenie — bo inaczej nic nigdy nie da się zrobić.

— A pan sądzi, że tak można?

Nachylił się ku mnie, położył twardą rękę na stół i powiedział krótko i mocno:

— Trzeba, panie Janie — a więc można...

Posłano do Żyda po kosz piwa. Podano pieczeń z makaronem, kotlety z kartoflami.

Po kolacji Wilczek poszedł spać do Maja, żeby rano nie spóźnić fabryki. — Grosik zasnął jak kamień i położono go z dziećmi u Tomaszów.

Zabawa się rwać poczęła: brakło młodzieży. Tańczono jeszcze godzinę i drugą, ale myśl o jutrzejszym dniu roboczym płoszyła wesele. Kobiety rade by jeszcze pohasać, ale mężczyzn ciągnęło do łóżek.

Godzina druga — bal skończony. Z dała dobiegają odgłosy hulaszczki — tam nad ranem zjechało Pogotowie, bo kogoś zraniono podobno butelką: ostra musiała być butelka...

Wnosimy łóżka — byle dwa — resztę jutro się za dnia zrobi. Kobietom w głowach się kręci od wódki, od tańca i krzątania.

W mieszkaniu naszym nocują tylko: Wilczkowa, Grosikowa, mały Stasiek, który do końca dotrzymał, niemowlę w kołysce i ja.

Leżę z otwartymi oczami. Za oknem wicher wyje i głosi straszne prawdy, ale ja ich nie potrafię zrozumieć. Zmora tłoczy mi piersi: pianę ma na ustach i w oczach, ale ja się jej nie boję. Czasem uchwyć myśl jakąś w locie, ale mi się wnet wyrzywa bez trudu i ucieka. Znużony jestem aż do bólu.

Oto nie ma we mnie ani siły czynu, ani siły chcenia — oto jestem piłką, którą życie podrzuca, uderza nią o ścianę i chwyta dla zabawy — oto jestem członkiem z wydartego z kajetu papieru, które chłopiec puścił na rynsztok i popycha patykami, a lekki podmuch wiatru lub ciężar kamyka zatopi w wodzie ściekowej. Nie ma we mnie ani w życiu moim żadnego dziejowego sensu — istnienie moje z niczym się nie wiąże — odosobnione jakieś i boleśnie żartobliwe — bańka z mydła — balonik na nitce — pozłota wyschlęgo orzecha z choinki — nic, które myśli, rozumie całą swą bezwartość — i cierpi...

Nagle Wikcia płakać zaczyna przez sen. Ciężko chwyta powietrze. Budzi się i szlocha w głos.

— A tobie co? — pyta sennie matka.

— Śniło mi się...

— Owa, śniło się. Wariatka.

Dziewczyna umilkła — stara znów chrapać zaczyna.

— Wikciu...

Czuję, że zadrgała; tchu mi brak.

— Chodź, Wikciu, powiedz, co ci się śniło?

Mówię szeptem, niedostrzegalnymi poruszeniami drżących warg. Słyszę szmer jej kroków. Serce wali.

Usiadła na niskim stolku przy moim łóżku.

— No co?

— Śniło mi się, że ta suknia, cośmy dziś kończyły, to mi się śniło... że jak ją obszywałam, to mi się lampa przewróciła — o Jezu.

— I spaliła się?

— Nie, tylko cały przód — taka wielka plama.

— No nie płacz.

— Kiedy nie mogę.

— No nie płacz, nie płacz... nie płacz...

Gładzę jej włosy...

Rozumiałem coraz wyraźniej, że tak będzie, że się to wszystko układa od bardzo dawna — nie od tego pocałunku wcale — ale znacznie dawniej. Kto wie, czy nie dlatego jestem tu już miesiąc cały, czy nie dlatego właśnie wszystko, com tu mówił i robił, mówiłem

i czynilem — wszystko dla tej jednej chwili! — Jak to się wszystko dziwnie układa, dlaczego nie domyślałem się już wtedy, kiedy pijany Grosik zasypiał, a Wilczek szedł spać do Maja, żeby nie zapóźnić fabryki?... Dlaczego w moich notatkach prawie o niej nie wspominałem?... Dlaczego to się wszystko tak ułożyło zupełnie niezależnie od mojej woli?... Dlaczego jej się przyśniła ta suknia?... Dlaczego ja muszę być papierowym czółnem?...

— Nie płacz... nie płacz... nie płacz...

Tak mi się coś piętrzy i zapada w czaszce z głuchym łoskotem — słyszę wyraźnie jakieś gniewne pomruki — szmer — kołysanie się.

Gładzę jej włosy ruchem wahadłowym — oparła twarz o poduszkę, siedzi skurczona na stołeczku i płacze. — Ogarnęło mnie zabójcze lenistwo myśli...

Utkwiłem wzrok pod okno: tam spod okna patrzyło na nas dwoje oczu. Dziewięcioletni Stasiak nie spał — czuwał — patrzył na nas. — Dlaczego tak się stało — dlaczego ten małe nie usnął znużony — dlaczego się tak dziwnie złożyło? — On pewnie tak patrzył wiele razy, ale i dziś chciał widzieć, co będzie.

Rozróżniam teraz drobną jego postać, uniesioną nad posłaniem na ziemi.

— Połóż się, Wikciu, bo ci zimno tak siedzieć — podłoga zimna, a ty jesteś boso i w spódniczce.

Spojrzała na mnie bez łez.

— Idź, Wikciu, i zapomnij o tym, co ci się śniło.

Wstała powoli i poszła.

Mańka w kołysce zaczęła kwilić, potem płakać coraz głośniej.

— Pani Grosik, dziecko płacze!

Obudziła się.

— Cccicho, lulaj, cccicho!

Po chwili znów cisza.

— Panie Janie — słyszę głos Grosikowej — panie Janie...

Stasiak znów się unosi ostrożnie na swym posłaniu.

Leżę nieruchomo na wznak — oddech nawet wstrzymałem; a w ręce, nogi i piersi wręczając się powoli niewidzialne śruby. Nie czuję bólu, nie czuję nawet znużenia. Wiem, że już niedługo będzie tak, jak jest — że nie mogę być dłużej bezwartościowym „nic”, które tylko myśli i bądź co bądź cierpi chyba.

„Trzeba, panie Janie — a więc można”. — Kto mi to mówił?... Aha...

NA SKRAWKACH

To pewnie ta zbrodnia, co to wczoraj chłopaki wołali po ulicy...

— A to ci przecie mówię, że ta...

Czytam pożyczoną ze sklepiku gazetę:

„W poniedziałek ubiegły w Widzewie pod Łodzią popełniono ohydną zbrodnię. W domu drewnianym na końcu Widzewa mieszkała na facjacie wdowa z trzema córkami: Agnieszką (lat 19), Józefą (lat 15) i Stanisławą (lat 12) oraz robotnicą fabryczną, Julianną. W niedzielę wieczorem wdowa wyjechała do Łodzi. Najstarsza, Agnieszka, sprowadziła do mieszkania swego kochanka, Jana (lat 19), robotnika fabrycznego, i po uprzedniej biesiadzie położyła się spać do łóżka, w którym spała najmłodsza, Stanisława. Podobny postępek starszej siostry wywołał oburzenie 12-letniej Stanisławy, która obiecała, że się poskarży matce”...

— To ona niby z nim?

— A może nie? Uuch, ty twardy łbie.

— Tylko że nie chcieli tak wyraźnie napisać.

— No już dobrze: nie przeszkadzajcie. Niech pan Jan czyta dalej.

„O godzinie 3-ciej nad ranem Jan wstał i posunął zegar na godz. 5-tą, po czym obudził Józefę i Juliannę, aby szły już do fabryki. Gdy wyszły, Agnieszka wstała i odszukawszy tłuczek żelazny, uderzyła nim 12-letnią Stanisławę dwa razy w czoło”.

— Patrzajcie no tylko...

— No cichoże, do choroby.

„Przekonawszy się, że jej nie zabiła, dała Janowi nóż, aby ją dorznął. Ten przerznął jej gardło i zaczął ranić w twarz”.

— Na własną siostrę dała nóż. A niechże cię cholera zatłucze.

— Oj, cichoże.

„Nie pomogły błagania Stanisławy, aby jej darowano życie, ręce zbrodnicze pozbawiły ją przytomności”.

— To jej nie zabili?

— Słuchajcie do końca, a potem będziecie gadać...

„Pogrzeb ofiary...”

— Ano widzisz....

„...odbył się we czwartek wieczorem. Aresztowani Jan i obie siostry, osadzeni w więzieniu łódzkim. Podczas konwojowania Agnieszki tłum kobiet z Widzewa, ustawiwszy się na szosie, sypał gradem kamieni na zbrodniczkę, którą byłyby zakamienowały, gdyby nie obrona policji”.

— I po co to to było za przeproszeniem bronić? Żyło to to jak bydlę, toby i zdechło jak bydlę.

— A kiedy musieli bronić, bo jeszcze sądu nie było.

— I na co to sąd? — Świństwo — i tyle. Chociaż i z tej małej nic by dobrego nie wyrosło.

— No cicho już: niech pan Jan dalej czyta.

— Już skończyłem.

— Bo mnie znowu mówił jeden felczer, że zbrodniczkę można od razu poznać, bo oni mają specjalną głowę i uszy od urodzenia.

— Żeby mi tam felczer sto razy mówił, to ja powiem swoje: że draństwo jest draństwem — i tyle — co tam uszy?

— Ale nie: co tu się spierać? Może i mają: kto ich tam wie.

— Idź ty: ja teraz ciebie huknę w pysk, a jak cię zabiję, to mi inne uszy urosną. — Żeby jeszcze oczy, no to inna rzecz...

A gazeta przechodzi z rąk do rąk — z zastrzeżeniem, żeby oddać sklepikarce z powrotem, bo nie zechce pożyczyć na drugi raz, jak będzie znowu co ciekawego.

*

Wilczek kupił los na żydowską loterię.

— A może i wygram?

— A wygrasz: w maju na fujarce.

*

Praczkі rozmawiają w pralni przy balii...

— Dla mnie, czy chłopak, czy dziewczyna — to jedno.

— A ja jakbym znowu miała dziewczynę, tobym ją znowu oddała do „Dziada”²⁶⁸, a sama poszłabym w mamki do Żydów. A chłopaka będę chowała.

— To wy taka kocia matka.

— Jakbym była kocia matka, tobym ją na śmietnik rzuciła.

— A może jeszcze do klozetu?

— Do klozetu nie można wrzucić dzieciaka; toście pewnie jeszcze go nie widzieli.

— Bo ja u Żydów nie mamkowałam, to i nie widziałam.

— A co wy się nią tak opiekujecie? Nie wydam jej i tak za waszego chłopaka.

— Ja się tam nie opiekuję, tylko że to grzech.

— Jak grzech, to w brzeg, a pokuta za piec. A jeszcze większy grzech mieć dzieciaka z żonatym.

Długa cisza: piorą.

— Co? może jej źle? Albo jest we szpitalu, albo gdzie na wsi.

— A dobrze, dobrze jej... Może tam gdzie nago chodzi?

— A wyście widzieli kiedy, żeby kto nago chodził?

— Wy tak gadacie, co wam ślina przyniesie.

²⁶⁸ *Dziad* — dom wychowawczy przy Szpitalu Dzieciątka Jezus. [przypis autorski]

Cisza.

— Ja to lepiej wiem od was: u nas na wsi była taka jedna; to na nią inaczej nie wołali, tylko szpitalicha.

— Bo to wasza taka dziadowska wieś... A jak nie chciała, to się mogła u mnie nie rodzić... I przestańcie już się mnie czepiać.

Cisza. Piorą.

*

— Pan Jan zanadto się z bachorami cecka. Pan Jan tłumaczy, przełoży, uprości, a to tylko ślepia wypuczy i patrzy. — Zapłacą za godzinę, a pan Jan siedzi dwie godziny. — Ja bym tam w łeb zamalował raz i drugi, toby od razu lepiej poszło do głowy.

*

Ten zmierzch wieczorny, przejrzysty, różowy
Jakieś mu dumki nawiewał do głowy
O wiosnie, ciszy, przyrodzie i Bogu.
Jakieś pytania o życiu, o świecie
Zmąconą falą o duszę mu były...

Czuł, że są wyższe i czystsze uciechy
Nad wrzask pijanej ciżby i muzyki,
Nad wyuzdaną swawolę i śmiechy,
Nad brzęk kieliszków, i kłątwy, i krzyki...

Postał, podumał i poszedł — do szynku.²⁶⁹

— A taki poszedł w końcu do szynku.

Śmieją się z niego: nie chciał, nie chciał — a taki poszedł do szynku.

— Cóż, panie Grosik, ładne?

— Niczego sobie: dobry kawałek.

*

I znów, i znów pogrzeb.
Dziecko umarło garbarzowi.
Przed tygodniem biegał jeszcze pięcioletni Józik i brał w skórę od ojca.
Felczer powiedział, że wrzód na kiszce, i był ze sześć razy. Doktor spojrzął tylko na dzieciaka, powiedział, że dobrze by było do szpitala albo jak.

Chrzestny kupił trumienkę.

Ubrali Józika w białą sukienkę, w rączkę włożyli obrazek — nakryli stół obrusem — dapożyczyli od sąsiadów kwiatów i lichtarzy — ustroili doniczkami i światłem.

Drzwi otwarte. Ludzi chmara: a najwięcej to kobiet i dzieciaków z całego domu. Młodsze patrzą ze zdziwieniem, inne boczą się z lękiem, starsze przeżegnają się albo przyklękają.

Nic to: garbarzowa, tylko patrzyć, znów się rozsypie i znów będzie troje, jak było.

Dziw, że im wszystkie nie pomrą, bo skąpi są i przykrzą sobie dzieci, a takim Pan Jezus nie błogosławi. — Skąpi tacy, że aż wstyd: jak poproszą gości, to do wódki trzy razy tyle wody doleją, wygotują pieprzu i gwoździaków i doprawią, żeby piekła. — Jak masz prosić, to proś, a nie chcesz prosić, to nie proś, ale gościa cyganić — to fe!

I dziś zaprosić niby to mieli, ale się wykręcili. Bo awantura była, że majster zranił chłopaka nożem w rękę za to, że wziął chleb bez sprosu²⁷⁰.

²⁶⁹ *Postał, podumał i poszedł — do szynku* — wiersz Marii Konopnickiej (1842–1910) *Sobotni wieczór* z cyklu *Obrazki*. [przypis edytorski]

²⁷⁰ *bez sprosu* (ros. *bez sprosa*) — bez pozwolenia. [przypis edytorski]

Mówili ludzie późnym wieczorem.

— Nie chcieli prosić, to nie; ale po co było dużo gadać?

A o majstrze mówiła Wilczkowa.

— Podlec on jest: chleba dzieciakowi żalować. Bo mnie to tak matka uczyła: daj każdemu chleb i wodę. Jak ma być zdrow, to i na chlebie będzie zdrow. Ale chleba nikomu nie żałuj.

Józik spędza pierwszą noc śnieżną, ciemną na cmentarzu, w trumience. Takie miał czyste, niebieskie, jasne oczy.

A na Brudnie tyle mogilek...

*

Notuję coraz mniej: na karteczce, na świsteczku, na pudełku od papierosów.

Papieru szkoda, atramentu szkoda. Ci, którzy robią papier i atrament, może by się wzięli do pieczenia chleba.

A Jasiak napisał: chlepie.

— Bój się Boga, chłopcze — powiadam — toś ty myślał, że zjadasz chleb przez p?

Spojrzał na mnie zdziwiony: tyle lat jadł coś innego, niż sądził. — A spracowana ręka drży mu przy pisaniu. — kiedy na niego wypadła kolej myć podłogę w warsztacie, dał koledze dziesiątkę, żeby on umył, żeby lekcji nie stracić. — A dziesiątka — to pół kolacji: pieczeni z kapustą.

*

Pan Michał mówi:

— Jak byłem w terminie, com dopiero buty czyścił — nic więcej — tom miał w tym swoją dumę, żeby się tak świeciły, jak niczyje inne. — A jak idę przez ulicę, to na nic innego nie patrzę, tylko jak kto ma buty wyczyszczone i że ja bym lepiej wyczyścił. — Od takiego szczeniaka było we mnie, żeby dobrze odrobić swoją robotę. Niech sobie mówią co chcą — ja swojego rzemiosła na nic nie pomieniam. — A jak postawię²⁷¹ parę kamaszków bez feleru, to we mnie aż dusza skacze. — A inny co? — Skopyci²⁷² byle jak: prosto, krzywo, byle żywo. — Trzeba kochać swój fach — i basta — koniec.

*

Pan dyrektor ojca wysłał na montaż, a jego córkę wziął do siebie. Czy ani na chwilę nie poczuł wstydu? — A o jednym z ogólnie szanowanych, o których piszą kurierki, mówi kobieta:

— To drań z drani, panie Janie.

Służyła u niego: zna go.

Tu mówią o was, tu znają was, panowie.

*

Chłopcy mają zdawać do szkoły niedzielno-handlowej. Podła szkoła.

Co wieczór stawiają karty, czy dobrze pójdzie.

WICHER

Czoło pali. W głowie dzwoni. A za oknem wicher wyje.

Szu... Hu-hu... Szuu... Ha-hu... Huuuuu!

Dziecko się rodzi.

Cha — cha — chaaaa...

Dziecko małe, słabe, białe.

Huuuuu!

²⁷¹postawić (z ros. *postawit*) — dostarczyć. [przypis edytorski]

²⁷²skopycić — włożyć na kopyto, drewniany przyrząd, na którym szewc robi buty. [przypis edytorski]

Dziecię, które płacze bez łez.
 Ti — pit. Ti — pit.
 Rodzi się nagie dziecię człowieka — na ból.
 Hu-szszszuuu!...
 Wiedźmia mać woła wiedźmy na tan. Smolne pochodnie się jarzą. — Na tan — na tan. — Hu-huuuu! — Na bal — na tan, wiedźmia mać.
 Eech pokraki — ech wściekle — a złe.
 A zły ich wzrok, a zły — zły śmiech, a zła ślina — jad; a zły, zły, zły śmiech, a zły — zły — zły wzrok.
 Hu — huuuuu...
 Dziecko drżące, ślepe — na świat, tu na świat — dziecko — łup, dziecko — kat, dziecko — wróg, ślepe i bezradne.
 Szszuuu...
 Beczki z gorzałą na wozach, brzegiem torfowiska — beczki pełne, duże, ciężkie. — Byle w bagnie nie zagrzęzły.
 Hhuuuuu!
 Ciągną wiedźmy; na miotłach jadą, co bogatsze — błotem unurzane — nagie — kwaśnym potem śmierdzące. — Suche łody — piszczele, ostry nos, kocie oczy złem świecą — na bal, na weselisko; kocie oczy złem świecą.
 Hu — huuuuu...
 Ciemna noc — wicher dmie — wicher gnje gałęzie — wicher psiakrew dęby łamie.
 A dziecko kwili — drży — niemowlę tycie, maleńkie.
 A wiedźmięta na drzewa się drapią, sowom oczy wypijają, ćmy wysysają — korę z drzew zgryzują białymi zębietami — w wydęte pępki kułakami biją — z piskiem, kwikiem — skowyttem...
 Wicher huczy — puchacz szydzi, czarne kruki biją czarną noc skrzydłami; wilki wyją, smoła syczy — a wiedźmy się nawołują.
 Niemowlę ludzkie drży.
 Wicher huczy: hu — hu, huuuuu...
 Ciszą; liczą, kogo brak. Łody chęcią drżą do tańca; suche łapy pazurami drą powietrze; nawet kruki milczą — zawisły czarnymi plamami na niebie — nawet chmury czarne przystały, tylko się zwijają, kłębią nad torfowiskiem zgniłym, opasują dokoła złowrogim pierścieniem...
 Dziecko rączęta wyciągnęło w górę, palce maleńkie rozstawiło szeroko, nóżętami kopie łoże matczyne, patrzy szeroko rozwartymi, niewidzącymi oczami — pije zimne powietrze, wargami ssie chciwie — małe, bezradne, liche — grzechu pełne dziecię człowieka. I już chce żyć.
 Eche — che: chce żyyyć...
 Wiedźmy sieć w jezioro zarzuciły, co ją rybak na krzakach rozwiesił — na wyspie jeziora. Mają one łów obfity. — Do beczek z gorzałą żywe żaby i pijawki ciskają — na zaprawę a zakąskę — na ten wielki bal.
 A wiedźmięta — szczenięta obsiadły chojaki²⁷³ aż po wierzchołki i na widowisko czekają. — Chwieją się konary, ciężarem stłoczone.
 Wicher huczy — instrumenty stroi stary grajek wiedźm plugawych.
 Syczą rzadkie smolne beczki, krwawym światłem się kołyszą, plują czerwonymi ostrymi językami w górę, liżą żelazne obręcze — to w cieniu konają.
 Rozwaliły wiedźmy torfu sążeń²⁷⁴, prasowanych cegieł brunatnych naznosiły — zbudowały ni to stos, ni ołtarz, ni kołyskę — i czekają, patrzą w dal...
 Akuszerka w białym fartuchu chodzi cicho na palcach. Chora oczy przymknęła, a przed powiekami iskry z nocnej lampki cieniami się snują. A dziecina usteczkami porusza pracowicie, na pokarm czeka, a płuca chciwie piją powietrze. Tak, niemowlę chce żyć...
 Huuu. Szu — buuu...

²⁷³chojak — sosna, świerk. [przypis edytorski]

²⁷⁴sążeń — dawna miara długości, ok. 190 cm. [przypis edytorski]

W bok odskoczyła odtrącona chmura. Załopotały czarne skrzydła ptaków nocnych. Ustawiły się wiedźmy w dwa sznury, pochyliły poczochrane łby, a z piersi zawyły radośnie.

Piorun nakreślił trzy ostre kąty na chmurach, padł skośnie na ziemię, węzem czołgał się — skoczył — i naraz wszystkie beczki smolne pożarem ogarnął. I jasność była, ale tylko na chwilę, i znów dawny półcień.

Mać wiedźmia dziecię ludzkie niesie — na kołysce torfowej je złożyła.

Ręce brunatne obnażyła po łokcie. — Inne wieńcem ją złowrogim obstały — patrzą — milczą — czekają; piana w kątach ust, kołtuny na łbach, trucizna w oddechu...

Niemowlę śpi, wyczerpane płaczem niespokojnie śpi; ono przeczuwa, rozumie, wie — i drży — i przez sen nawet chce żyć.

Jego drobne wargi coś szepczą, z kimś się żegnają, czy o litość proszą. To drobna pierś westchnieniem się podniesie, to rączka mała poruszy się, jakoby odpychała, to czyni ruch przestachu, jak gdyby ktoś zagroził małości. — Poruszyło głowę, jakby natrętne odgarniając myśli; to dłonią ku czołu zmierza, jakby zetrzeć zeń coś chciało, to powiekami drgnęło niby groźnie, a z lękiem; to oddech wstrzyma, to szybko oddycha, to skrzywi boleśnie usteczka, jak człowiek, który pragnie, a przebaczyć nie może, to mruknięciem cichym czy się skarży, czy nie zgadza, czy błaga...

Wiedźmia mać krzywe palce w piersi dziecka zatopiła i duszę jego wyjęła. — Wyjęła — na dłoń oślizgła kładzie, ostrymi pazurami, jako grzebieniem rozczesuje — i grzechy, jak wszy z niej chwyta — z duszy niemowlęcia. — A każdy grzech porykiem radosnym wita — wiedźmy wtórują i wicher wtóruje.

Hu — hu — o — są. — Są — wszystkie są.

Rozpusta ojca — jest — jest tu u niemowlęcia — i noce jego niedospane — pijane noce. Radujmy się!

Hu — huuuuu...

I rozczesuje duszę krzywymi pazurami i grzechy jak wszy chwyta — radosnym porykiem wita je i żegna — i znów na urost puszcza.

Są — ooo, są! — Niewola matki — uczuć pęta — myśl w kajdanach — marzenia krwią ociekłe — targowisko — sprzedażne ciało — serca handel — i burze zmysłów na białym łóżku dziewiczym.

I dziadów grzechy — jak wszy. — Radujmy się!

Hu — huuu...

Syknęła szelma — sparzyła dłoń.

Zawyła wiedźmia i potoczyła wokół krwią nabiegłym okiem. — I cisza była wielka i lęk — i cisza stała się wielka i lęk. Sparzyła dłoń: tam iskra była w duszy człowieczej.

Jęzorem miele w gębie; policzkami zapadłymi wyciska ślinę — jęzorem ją zbiera — i plunęła jadem w duszę, trzymaną w ręku.

Iskra w duszy niemowlęcia jękla, zbladła, przykurczyła się, zda się w kłębuszek trwożny zwinęła — nie zgasła; — zbladła — nie zgasła.

I cisza była wielka i lęk.

— O sobacze plemię człowiecze — bodaj się twoim ścierwem robactwo grzechów pasło — na wieki.

— Na wieki — zawtórował chór.

— Wraże plemię człowiecze — zgnij w pijaństwie i rozpucie — zgnij w gwałtach i rozbojach — zgnij w krzywdzie i nienawiści — zatoń w myśli własnych i zbrodni własnych powodzi.

— Na wieki — zawtórował chór.

— Ci, którzy cię chcą wieść prostymi drogami — niech oszaleją i w trzęsawiska cię wiodą. — Ci, którzy miłość głosić będą, niech sami w nią nie wierzą; niech brzuchy ich obrastają sadłem, a dusze — pleśnią; — niech myśli ich kłamią słowem, a słowa przeczą czynom — i miłość niech ośmieszoną będzie. — Niech nikt nikomu nie wierzy — a jeśli uwierzy, niech zrozumie źle — i niech nienawidzą.

— *Oderint — in saecula saeculorum oderint.*²⁷⁵

²⁷⁵*Oderint — in saecula saeculorum oderint* (łac.) — Niech nienawidzą, na wieki wieków niech nienawidzą. [przypis edytorski]

— A ci, którzy głoszą prawdę, niech wiary nie mają — kłamstwa siewcy; a posiew zgody i miłości czystej — niech nienawiści mienią siewem. — A iskra, którą mnie sparzyłeś, pomioście ludzki — niech przekleństwem ci będzie — niech mózg i serce ci parzy, aż bielmem zajdą. — I tylko pierwszy grzech niech ciebie niepokoi, a dalsze paciorkami różańca narastają — i stworzą koło, z którego nie masz wyjścia — i pragnij żyć! — Przeklinam cię błogosławieństwem zła, błogosławię przekleństwem dobra.

— *Oderint* — *in saecula saeculorum oderint*. — Niech nienawidzą — na wieki.

— I wsze grzechy przodków twoich, środowiska i narodu twego, i ludzkości całej — które wątłym pyłem ruchliwym dzisiaj — niech dębami wzrosną w wyziewach życia. — Noś piętno twego urodzenia w hańby wieku. — *Oderint!*

— *Oderint* — odpowiedział szmer...

Zapłonęły wszystkie beczki smolne: i te — na wybrzeżu — i te na jeziorze — i na wyspach — i w dali na trzęsawisku. I zadał wicher we wszystkie instrumenty naraz — i gra — i gra — i gra — i gra. — I chmury, i wiedźmy, i ptaki nocne — puściły się w tan.

A niemowlę patrzy niewidzącymi oczyma i... drży...

Wilczek mówi:

— Ktosik się dziś w nocy powiesił na tę wicherę.

Bierze blaszankę z kawą i skibę chleba i idzie do pracy.

Ciemno... Lampka przyćmiona miga.

...BO POKĄSAM

Poszedłem do najgorszych — na Starówkę.

Chciałem powiedzieć najgorszym, czego im nikt nie powiedział.

Noc. Mgła i śnieg topnieje.

Stare Miasto liczy moje kroki.

Na podwórzu gwar głosów pijackich.

Na stołach szklanki. Chmura dymu w izbie. — Grają w kości.

— Janek, pieska twoja zielona... Moja wygrana.

— A jo!

— A myśmy się zakładali, czy wrócisz... Skomlałeś nad pijaczyną... „Biedny Juras” — a ty w bek. — Uuu, psiacie...

— A co z nim?

— Powiadam ci, Jasiek: stękać; pewnie kitę odwalił. Szkoda go, bo pijaków nie stanie: nowi się nie rodzą... Fater, jeszcze szklankę! Na — chleję. — Bogato u nas: obraliśmy gorala... A oni, frajery, mówili, że się z oćcem upieścisz i wrócisz.

— Nie wrócę.

— A moja wygrana! — Morda — stawiaj teraz.

Mówię:

— Przypomniało mi się coś bardzo smutnego.

Umilkli. Patrzą na mnie w złym przeczuciu.

— Gadaj.

— A wiecie, co to jest prosektorium?

— My by czego nie wiedzieli... Tam gdzie nieboszczyków krajają.

— Tak: tam gdzie umarłych krajają.

— Bo co?

Mówię:

— Raz na stole w prosektorium leżał trup.

— Trup.

— Trup nagi, chłodny i obojętny.

— Tfu; psiamm...

Wlepili oczy, na usta moje patrzą.

— Trup młodego mężczyzny.

— Młodego.

— I ktoś mu żartem włożył w usta ogarek cygara.
 — Eeech.
 — I leżał na stole biały, zimny, twardy i obojętny trup nagi młodego mężczyzny z ogarkiem cygara w sinych wargach.
 — I co?
 — Patrzyłem na niego długo, długo, długo.
 — Długo.
 — Na piersi nieruchomej, stężalej — na bohaterskiej piersi leżał niedbale krzyż. Trup był z więzienia przysłany.
 — Z więzienia. Nnno...
 Pełnie śmierć, zagłada im w oczy. Witają ją beznadziejnym przerażeniem.
 — I co?
 — I spełniłem prośbę trupa: pocałowałem go w czoło.
 — A prosił?
 — Ooo, prosił. Ja wtedy długo, długo, długo na niego patrzałem.
 Chcę zawołać, ale nie mogę; wyrazy dławią, bo są twarde i mają ostre brzegi. — Oni milczą. — Milcząc piją i palą... palą.
 Śmierć zasiadła im między powiekami.
 — Oni wtedy byli źli na ciebie. Ale ty, Janek, dobry chłop. Bo była bryndza²⁷⁶...
 Niech cię cholera zdusi. Na, chleję.
 Piję. — Milczą.
 — Pójdziemy do Komety?... Chodźcie: przepijem do niego.
 W szynkownianym powietrzu wytworzyły się drgnienia, których się ulękli i pragną uciec.
 — Te, Fater. Dla każdego po czterdzieście w kieszeń — i płacić.
 Każdy bierze flaszkę w kieszeń. Jest nas siedmiu. Pusto na ulicy. Mury dziwnych domów liczą nasze kroki...
 Ciemne, wąskie, skrzypiące, straszne gdzieś w dół schody; niski, czarny, długi korytarz — drzwi.
 Zapalają cienki stoczek. — Na łóżku kobieta i chory.
 — Eej, Kometa.
 — To wy?
 — Ano: żyjesz jeszcze?
 — Aaa. Chyba do szpitala: niech dorzną.
 — My tu wypić z tobą. Masz zdychać, to na ostatni raz.
 — Ciasno: chyba do Pajęczyny.
 — A zwleczesz się?
 — Co nie ma się zwlec — pomożemy.
 — To chodźcie...
 Izba za podwórzem — kwadratem, czarnymi schodami na dół i w górę — jak we śnie.
 Cztery łóżka. Jedni śpią, drudzy głowy unoszą.
 — Jest Pajęczyna?
 — A ja.
 — Patrzaj, kto z nami?
 — Kometa? — A ja się już na serek²⁷⁷ szykowałem.
 — Gospodarze — kto pije, mordy spod pierzyny.
 Głowy senne podnoszą się. — Butelka pierwsza przechodzi od łóżka do łóżka. Potem druga.
 — Wiesz: Gabryś ujął... Ruda już się tuknęła i lepiej... A Leszcz także cwany.
 — Bo noo?
 — Bednarz czekał, aż mu wyszykują. — Koza odeszła od Kaliny: poczeka, jak ja mu nastreczę. — A Brodaty lujów ściąga, ale się narwie²⁷⁸.
 — To ręka?

²⁷⁶bryndza (gw. warsz.) — bieda. [przypis edytorski]

²⁷⁷serek — stypa. [przypis edytorski]

²⁷⁸się narwie (gw. warsz.) — natnie się, doczeka. [przypis edytorski]

— Ano: ręka.

— Pamiętaj.

— No... no...

Silne to — gniew, zmusza i nie pozwala przeczyć. Lata nawarstwiały moc czarną, bezwzględna i mściwą. — Tu bezkarnie zaglądać nie można.

Butelka od ust do ust. Pustą w kącie ciska i w nową uderza dłonią, żeby korek wyskoczył.

— Macie i wy, chrabąszcze.

— Nie dawać im.

— Niech piją: nic!

Krzyk rozpycha gardło, rani tchawicę — wydziera się w tę noc.

— Jasiek, chodź do mnie.

Kometa zachłysnął się, rękami przycisnął piersi, zerwał się rozpaczliwym ruchem — wstał, przechylił naprzód, oparł o poręcz kołyski i rzygnął kaszlem suchotniczym — śmierdzącą ropą, zmieszaną z alkoholem.

— Nie mogę już pić.

— To zdychaj... Chodź, Janek.

— Gdzie?

— Chodź ze mną.

— A Kometa?

— Niech zdycha. Kiedy pić nie może, to niech zdycha... Ty myślisz, Janek... Co będziesz tu z tą hołotą robił?... Ty nie znasz Pajęczyny i Komety: sitwa im się rozlazła... Cholery, psiekrwie... Oni wiedzą... Chodź na zakąskę... Ty także, psiacie... Ooo!

Bełtało się w nim coś, rozpierało — szykowało.

— Chodź na kwaśną zakąskę... My już razem, co?... Jedną trochę utyka... Ja na do-robku... Ty edukowany, będziesz listy galante²⁷⁹ pisał... Ja głowę mam, tylko to draństwo krew pije... Nic nie wyjdzie... A po wódce dobre kwaśne jabłka... Oni tylko dla siebie wszystko... Wy tak, to i ja tak... Ja jeszcze wyrachuję...

Zagłuszał się — zmagał.

Zaułek, czarna sień — kwadrat stęchłego podwórza. — Uderzył w drzwi. — Haczyk z wewnątrz odskoczył...

— Eee...

Odkręcił knot lampki, płomień z sadzami buchnął w górę.

Zatoczył szerokim ruchem półkole. Wybelkotał:

— To bogactwo moje.

Nora straszna, gdzie musi żyć zbrodnia.

Tknął palcem w powietrze:

— No, ta moja, a ta twoja, albo ta moja, a ta twoja... Utyka, ale to nic: zatańcować można.

Patrzę w jego oczy zamglone, szklane, nieprzytomne, zbielałe.

Nieludzką siłą opanowałem krzyk bladego przerażenia... Utkwił klinem stężałym: ani przelknąć, ani wykrztusić.

— Janek... Janek... Janek, ty świni... Co?... Ja ci mówiłem... Ja ci mówiłem, że kwaśna zakąska... Ja ci psiaakrrr... mówiłem.

Siedzą obie na nędznym łóżku, nieme i nieruchome... Czarny śnieg sadzy płatami fruwa w powietrzu.

Trzymam go za rękę... Wpływam się pazurami... Tracę moc pogromcy... Zmagamy się wzrokiem.

Tupnął nogą.

— Tyyyyyy...

Twarz mu dygotała.

— Ty myślisz, że ja drań... Ty... Ja ciebie...

Sięgnął chorym ruchem ku cholewie.

— Ja ci bebechy...

Szarpnął rękę, uderzył w lampkę — spadła i zgasła.

— Jezus — usłyszałem szept — zabije.

²⁷⁹galante (gw. warsz.) — idealnie, dobrze. [przypis edytorski]

Zaszamotało się jakieś ciało i runęło. Upadłem. — Skurczona ręka biła moją rękę o podłogę.

Ushyślałem bose kroki.

W piekle tak jest.

— Gdzie zapalki? — pytał głos dziecinny.

— Zaraz.

Ciało biło się, podzrucane, po podłodze.

— Niech pan wstanie.

Zaświeciły stoczek.

— Niech się pan nie boi: on ma ciężką chorobę... Żeby nie to, to mógł pana dźgnąć...

On od wczoraj już breweriował.

Chory przeżył się i rozkurczał — pluł pianą gęstą. — Szedł od niego zgnily smród.

— Trzeba go rozebrać... Niech pan pomoże... Bo to nasz stryj.

Koszula jej się rozwarła: zobaczyłem pierś dziecka, pełną sińców. Starsza mogła mieć lat trzynaście; utykała: gruźlicze zapalenie stawu biodrowego.

Gdybym ujrzał w lustrze własną twarz, tobym się przeraził... One nie jego, ale mnie się bały.

— Idź pan sobie — iiiiidź.

Jeszcze się odwróciłem... Bił głową o podłogę. One w kukki przy nim.

— Fela, trzymaj głowę.

Wyszedłem.

Na ulicy stanąłem pod murem...

Stróż nocny się zbliża. Stoi przede mną.

— Idź do domu — mów.

A ja mu cicho odpowiadam:

— Odejdź, bo ciebie pokąsam. Odejdź, bo ciebie pokąsam.

— Bo cię zaaresztuję.

— ...Bo pokąsam... bo posąkam... bo pokąsam... bo sąpokam... bo pokąsam... bo po...są...ką...są...sam...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/korczak-dziecko-salonu/>

Tekst opracowany na podstawie: Janusz Korczak, Dziecko salonu, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1980.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska, Biuro Rzecznika Praw Dziecka

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) we współpracy z Biurem Rzecznika Praw Dziecka. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Adrianna Paduch, Magdalena Nowakowska, Paulina Choromańska, Sylwia Głuszak, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0379-4

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).